

ANDRE NORTON

MISTRZ ZWIERZAŁ

ROZDZIAŁ 1

- Panie Komandorze, jutro wyrusza transport do tego sektora. Moje dokumenty są w porządku, prawda? Mam chyba wszystkie niezbędne zezwolenia i zaświadczenia...

Młody mężczyzna w zielonym mundurze Komanda Galaktycznego, z rzucającym się w oczy emblematem przedstawiającym ryczącego lwa, uśmiechał się łagodnie.

Oficer westchnął w duchu. Dlaczego takie sprawy trafiały zawsze na jego biurko? Był człowiekiem nad wyraz sumiennym, a teraz znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Przedstawiciel czwartego pokolenia kolonizatorów Syriusza, kosmopolita, w którego żyłach płynęła krew wielu ras, w głębi serca był przekonany, że nie udało się rozgryźć tego chłopaka nikomu, nawet psychiatrom, którzy wystawili mu pozytywną opinię. Jeszcze raz przełożył papiery i zerknął na ten leżący na wierzchu. Nie musiał czytać - znał go już na pamięć.

Hosteen Storm. Stopień: Mistrz Zwierząt. Rasa: Indianin amerykański. Planeta: Ziemia, Układ Słoneczny...

To właśnie było przyczyną jego rozterki. Po ostatnim, desperackim ataku najeźdźców Xik z Ziemi - ojczyzny Konfederacji - r pozostał tylko przeraźliwie niebieski, radioaktywny kopeć, a Centrum musiało borykać się z problemem bezdomnych weteranów.

Przyznawano im tereny na innych planetach, spotykali się z pomocą wszystkich skonfederowanych światów, ale nic nie mogło wymazać z ich pamięci widoku mordowanych ludzi, nic nie mogło przywrócić im spokoju. Niektórzy postradali zmysły już tu, w Centrum, kierowali broń przeciw swoim sojusznikom. Inni popełnili samobójstwo. W końcu wszystkie ziemskie oddziały rozbrojono siłą. Komandor w ciągu ostatnich paru miesięcy był świadkiem wielu okrutnych rozdzierających serce scen.

Naturalnie Storm był przypadkiem wyjątkowym - tak jakby ni wszyscy nie byli wyjątkowymi przypadkami. Takich jak on była tylko garstka. Z tego, co wiedział Komandor, kwalifikacje tego rodzaju posiadało nie więcej niż pięćdziesięciu ludzi. A z tych pięćdziesięciu przeżyło niewielu. Kombinacja szczególnych cech umysłu i charakteru, jaką powinien posiadać prawdziwy Mistrz Zwierząt, zdarła się niezwykle rzadko. Ludzie ci byli wprost bezcenni w ostatnich miesiącach szaleńczej walki przed spektakularnym upadkiem imperium Xików.

- Moje dokumenty, panie Komandorze - znów ten sam, łagodny głos.

Ale Komandor nie lubił, gdy go przynaglano.

Storm nigdy nie okazywał wzburzenia. Nawet gdy próbowali go sprowokować, jak wtedy, kiedy doręczyli mu przesyłkę z Ziemi, która została dostarczona do jego bazy za późno, już po tym, jak wyruszył na swoją ostatnią misję. Zawsze starał się współpracować z personelem Centrum, pomagając w opiece nad tymi, którzy według lekarzy mogli jeszcze być uratowani. Nalegał tylko, by pozwolono mu zatrzymać zwierzęta, ale nie spowodowało to żadnych kłopotów. Obserwowano go uważnie przez wiele miesięcy, oczekując objawów opóźnionego szoku, który według nich musiał wystąpić. Ale w końcu lekarze niechętnie przyznali, że nie mogą dłużej odkładać jego zwolnienia.

Indianin amerykański czystej krwi. Może rzeczywiście był inny, lepiej przygotowany na taki cios? Ale Komandor ciągle miał wątpliwości. Chłopak był zbyt opanowany.. Co będzie, jeśli wypuszczą go, a załamanie nastąpi później i pociągnie za sobą inne ofiary? Jeśli... jeśli...

- Widzę, że zdecydowaliście osiedlić się na Arzorze - ciągnął rozmowę odwołując się do podjęcia decyzji.

- Materiały Sekcji Badawczej wskazują, że klimat na Arzorze jest podobny do klimatu mojego kraju, a głównym zajęciem jest hodowla frawnów. W Urzędzie do Spraw Osadnictwa zapewniono mnie, że jako wykwalifikowany Mistrz Zwierząt nie będę miał kłopotów ze znalezieniem tam pracy...

Prosta, logiczna, zadowalająca odpowiedź. Dlaczego mu się nie podobała? Znowu westchnął. Przeczucie? Nie może odmówić Ziemianinowi z powodu przeczucia. Niechętnie przesunął zezwolenie na podróż w kierunku pieczęci. Storm wziął dokument i wyprostował się, lekko się uśmiechając. Grymas kończył się na ustach, nie zmieniając ani na jotę wyrazu ciemnych oczu.

- Dziękuję za pomoc, panie Komandorze. Naprawdę ją doceniam. - Zasalutował i wyszedł. Komandor pokręcił głową, wciąż niepewny, czy postąpił słusznie.

Storm po wyjściu z budynku nie zatrzymał się nawet na chwilę. Był pewien, że otrzyma to zezwolenie. Tak pewien, że przygotował się już do drogi. Jego bagaż był w punkcie załadunkowym. Była tam też jego drużyna, jego prawdziwi towarzysze, którzy nie wystawiali go nigdy na próbę ani nie analizowali jego zachowania. Tylko przy nich mógł poczuć się znów sobą, a nie przypadkiem poddawany wnikliwej obserwacji.

Hosteen Storm z plemienia Dineh, czyli Ludzi, chociaż ci, których skóra była biała, nadali jego braciom inną nazwę - Nawajowie. Byli to jeźdźcy, artyści tworzący w metalu i wełnie, pieśniarze zamieszkujący pustynię. Z tą surową, lecz barwną krainą łączyła ich mocna więź. Przemierzali ją niegdyś jako myśliwi i hodowcy.

Wygnaniec odepchnął wspomnienia. Wszedł do magazynu, który przeznaczono dla niego i jego małego, osobliwego oddziału. Zamknął drzwi, a na twarzy pojawiło się ożywienie.

- Ssst... - na syk, będący jednocześnie wezwaniem przyszła skwapliwa odpowiedź. Rozległ się łopot skrzydeł i szpony, mogące rozszarpać ciało na strzępy, łagodnie spoczęły na ramieniu człowieka. Czarny orzeł afrykański, będący oczami Czwartej Grupy Dywersyjnej potarł w pieszczotliwym geście dziobem o brunatny policzek Storma.

Dwa małe meerkaty zaczęły się wspinać po jego spodniach. Pazurami, którymi niszczyły wielokroć sprzęt wroga, chwyciły lekko materiał nogawek.

Baku, Ho, Hing i wreszcie Surra. Orzeł - królewski i wielkoduszny - był uosobieniem majestatycznej potęgi. Meerkaty - dwoma wesółkami, parą zabawnych łotrów, kochającą nade wszystko dobrą kompanię. Ale Surra - Surra była cesarzową odbierającą należne jej hołdy.

Jej przodkami były małe, tchórzliwe, płowe koty zamieszkujące tereny pustynne. Miały łapy pokryte długą sierścią zapobiegającą zapadaniu się w sypki piasek, ostre lisie pyszczki i szpiczaste uszy. Obdarowane przez naturę nadzwyczajnym słuchem, żyły w ukryciu, nie znane niemal człowiekowi.

Kiedy rozpoczęto eksplorację nowo odkrytych światów, okazało się, że instynkt dzikich zwierząt bywa niejednokrotnie bardziej przydatny od stworzonych przez człowieka maszyn i urządzeń. Za pomocą hodowli i krzyżówek tworzą nowe gatunki, o cechach najbardziej pożądanym.

Surra - tak jak jej przodkowie - miała płowe futro, lisie uszy i pysk oraz długą sierść na łapach. Była jednak czterokrotnie większa - wielkości pumy - a jej inteligencja przerosła oczekiwania hodowców. Storm położył dłoń na jej głowie, a ona łaskawie przyjęła pieszczotę.

Dla postronnego obserwatora mogli być teraz grupką zadumanych, odpoczywających istot. Ale łączyła ich świadomość, będąca niczym innym, jak rozmową bez słów. Nie mógł się w nią włączyć nikt spoza ich grona. To ona jednoczyła ich w harmonijną całość. Jeśli trzeba było, byli niebezpiecznym przeciwnikiem, ale dla siebie byli zawsze najwierniejszymi towarzyszami.

Baku zatrzepotał niespokojnie skrzydłami. Nie znosił klatki i zgadzał się na nią tylko w ostateczności. A podróż, której obraz przekazał im Storm, oznaczała właśnie klatkę. Żeby go uspokoić, Indianin przedstawił im teraz myślowy obraz tego, co na nich czeka: góry, doliny i prawdziwa, niczym nie skrupowana wolność. Orzeł uspokoił się. Meerkaty pomrukiwały, zadowolone. Dopóki są wszyscy razem, nic nie zmąci ich radości. Najdłużej

zastanawiała się Surra. Musiałaby zgodzić się na to, co zawsze wywoływało w niej zacieklej opór - na obrożę i smycz. Ale obraz przekazany przez Storma był tak obiecujący, że przeszła przez cały pokój i wróciła trzymając w pysku znieawidzoną smycz i obrożę.

- Yat-ta-hay - wyszeptał w starożytnym języku swego plemienia Storm. - Yat-ta-hay... dobrze, bardzo dobrze.

Promem, na który wsiadła drużyna, wracali na swe ojczytne planety weterani Konfederacji. Wracali po wyniszczającej wojnie pod swe nieba oświetlone żółtymi, niebieskimi i czerwonymi słońcami, złączeni jednym uczuciem: pragnieniem pokoju.

Kiedy Storm zapinał pasy przed startem, usłyszał ciche warknięcie Surry. Odwrócił się i spojrział w żółte oczy. Uśmiechnął się.

- Jeszcze nie teraz, Biegnąca po Piasku - znów użył języka, który umarł razem z jego planetą. - Raz jeszcze musimy napiąć strzałę, wznieść modły do Duchów Przodków i Odległych Bogów. Nie zeszlśmy ze ścieżki wojennej!

W jego oczach malowała się determinacja, której domyślał się Komandor. W małej galaktyce panował już pokój, ale Hosteen Storm znów wyruszał do walki.

Na statku spotkał mieszkańców planety Arzor. Było to trzecie lub czwarte pokolenie potomków zdobywców kosmosu. Przysłuchiwał się ich głośnej paplaninie, starając się wyłowić z niej informacje, które mogłyby mu się przydać w przyszłości. Byli to ludzie z Pogranicza, pionierzy w tym półdzikim jeszcze świecie. Na ich planecie nie było właściwie niczego, co mogłoby zainteresować człowieka. Niczego, z wyjątkiem frawnów. Zwierzęta te cenione były ze względu na swoje mięso i wełnę, z której produkowano nieprzemakalną tkaninę o połysku jedwabiu. Dzięki nim na Arzorze można było zbić niezłą fortunę.

Stada frawnów zamieszkiwały rozległe równiny planety. Ich grzbiety, pokryte gęstą, niebieską wełną, opadały ku tyłowi w wąskie, niemal zupełnie nagie zady. Łby wieńczyły korony silnych, zakrzywionych rogów. Sprawiały wrażenie przyciężkich i niezdarnych, co było jednak dalekie od prawdy. Frawny doskonale potrafiły się bronić.

Ich mięso stanowiło przysmak w całej galaktyce. Nic nie mogło się równać ze świeżym stekiem z frawna. Podobnie żadna tkanina nie wytrzymywała konkurencji z frawnią wełną.

- Mam dwieście kwadratów ziemi od Vakind aż do wzgórz. Dajcie mi dobrych poganiaczy i... - perorował z przejściem jasnowłosy mężczyzna noszący, jak się Stormowi zdawało, nazwisko Ransford.

- Weź Norbisów - włączył się jego towarzysz. - Nie zgubisz z nimi ani jednej sztuki. Zapłacisz im końmi. Quade zawsze ich zatrudnia...

- Ja tam wolę naszych chłopaków niż te dziwolągi - wtrącił się trzeci z weteranów.

Storm na chwilę stracił wątek myśląc intensywnie. „Quade” to nie było popularne nazwisko. Przez całe życie słyszał je tylko raz.

- Nie mów, że wierzysz w te łągarstwa! - Drugi z rozmówców zwrócił się ostro do trzeciego. - Wrogo nastawieni, też coś! My z bratem zawsze bierzemy Norbisów do pędzenia frawnów. I mamy zawsze najmniejszy zespół w okolicy. Dwóch tubylców pracuje lepiej niż tuzin naszych.

Ransford wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie wymądrzaj się, Dort. Wszyscy wiedzą, co wy, Lancinowie, myślicie o Norbisach. Są niezli, zgoda, ale jak wiesz, jest jeszcze problem z tymi znikającymi sztukami...

- Pewnie. Ale nikt nie udowodnił, że to robota Norbisów. Jak ich ktoś zechce wykiwać, to dadzą mu nauczkę, ale jeśli będziesz w porządku, to zawsze możesz na nich liczyć. Rzeźnicy z Gór to nie Norbisowie...

- Rzeźnicy z Gór są złodziejami bydła, prawda? - spytał Storm próbując skierować rozmowę na interesujący go temat.

- Tak - potwierdził Ransford - są złodziejami. Słuchaj, to ty jesteś tym Mistrzem Zwierząt, który chce się u nas osiedlić. No, jeśli te historie, które o was opowiadają, są prawdziwe, to szybko znajdziesz robotę. A Rzeźnicy to prawdziwy problem. Płoszą stada, a potem zgarniają tyle sztuk, że robią na tym niezły interes. Człowiek przecież wszystkiego nie upilnuje. Dlatego opłaca się zatrudniać Norbisów - znają każdy kąt, każdą ścieżkę...

- A gdzie Rzeźnicy .sprzedają swoje łupy? - spytał Storm. Ransford zmarszczył brwi.

- Każdy chciałby to wiedzieć. Jest tu tylko jeden port kosmiczny, a w nim celnicy sprawdzają wszystko cztery razy. Chyba, że mają drugi port gdzieś w górach i tamtędy idzie przemysł. Wiem tyle samo co ty. W każdym razie kradną...

- Albo to Norbisowie kradną, a potem zwalają wszystko na bandytów - wtrącił kwaśno trzeci rozmówca.

- Przestań, Balvin! - zaperzył się Lancin. - Brad Quade przecież zatrudnia tubylców. On i jego rodzina rządzą Dorzeczem od Pierwszego Statku i dobrze znają Norbisów. To przez wybuch w Limpiro Rangę zmienił zamiar...

Storm spojrział na swoje ręce spoczywające na stole. Szczupłe, brązowe, ze starą blizną na grzbiecie lewej dłoni. Nie drgnęły. Jego rozmówcy nie zauważyli też nagłej zmiany w wyrazie oczu Ziemanina. Usłyszał to, na co czekał. Brad Quade - żeby spotkać tego człowieka, wyruszył w tę daleką drogę. Brad Quade, który zaciągnął krwawy dług wobec

ludzi ze świata zmarłych. Dług, który Storm miał odebrać. Jako mały chłopiec złożył przysięgę przed człowiekiem o mocy i wiedzy przewyższającej wiedzę ras zwących siebie dumnie „cywilizowanymi”. Potem wybuchła wojna, walczył w niej, a teraz leciał na drugi koniec galaktyki...

- Yat-ta-hay - szepnął do siebie. - Dobrze, bardzo dobrze. Odprawa celna i imigracyjna była - z jego dokumentami - tylko formalnością. Ziemianin i jego zwierzęta wzbudzili jednak duże zainteresowanie wśród pracowników portu. Opowieści o zwierzęcych drużynach docierające na Arzor były tak przesadne, że z pewnością nikt nie zdziwiłby się, gdyby Surra przemówiła ludzkim głosem, a Baku zamachał emiterem promieni obezwładniających, trzymanym w szponiastej łapie.

Arzorczycy nosili broń, ale posiadanie śmiertelnych rozpylaczy i igielników było zabronione. Różnice zdań były więc rozstrzygane za pomocą pięści lub emiterów, które - zatknięte za pasem - nosili wszyscy mężczyźni.

Skupisko betonowych budowli stłoczonych wokół portu kosmicznego nie było tym, czego szukał Storm. Kopuła liliowego, tak niepodobnego do ziemskiego, nieba i wiatr od rdzawoczerwonych gór obiecywały jednak upragnioną wolność.

Surra zwróciła głowę w stronę, z której wiał wiatr, jej oczy otwały się szeroko, a Baku rozpostarł skrzydła. Nagle Storm zatrzymał się, rozejrzał i głęboko wciągnął zapach przyniesiony z wiatrem. Woń była tak obiecująca, że nie mógł się jej oprzeć.

Stada frawnów pasły się na rozległych przestrzeniach, a ludzie, którzy na swych macierzystych planetach korzystali z mechanicznych środków transportu, prędko odkryli, że tutaj nie zdają one egzaminu. Maszyny wymagały fachowej obsługi i części zapasowych, które trzeba było sprowadzać za bająnskie sumy z innych planet.

Był jednak nie psujący się środek transportu, nie używany od dawna w codziennym życiu, ale zachowany przez sentyment dla jego piękna i wdzięku - koń. Pierwsza grupa, sprowadzona na Arzor w ramach eksperymentu, znalazła tu doskonałe warunki i w ciągu życia trzech pokoleń ludzkich osadników zwierzęta rozprzestrzeniły się i zadomowiły zmieniając życie i gospodarkę zarówno przybyszów, jak i tubylców.

Życie Dinehów było od stuleci związane z końmi, a miłość do tych zwierząt stała się ich cechą wrodzoną. Zapach koni, niesiony przez wiatr, przypomniał Stormowi dzień, kiedy wsadzono go - trzyletniego brzdąca - na grzbiet statecznej, starej kobyły, by wziął swą pierwszą lekcję jazdy.

Wierzchowce, które zobaczył w korralu w okolicy portu kosmicznego, nie przypominały małych, silnych kuców, jakie znał z rodzinnych stron. Były większe, dziwnie

umaszczone: z czerwonymi lub czarnymi plamami na białym lub szarym tle i czerwonymi grzywami albo też o jednolitej ciemnej maści z kontrastującymi jasnymi grzywami i ogonami.

Storm poruszył ręką i Baku wzbił się w powietrze, by po chwili przysiąść na gałęzi drzewa o bulwiastym pniu. Surra i meerkaty ułożyły się pod drzewem, a Storm zbliżył się do zagrody.

- Niezłe stadko, co? - mężczyzna stojący obok przesunął na tył głowy płaski, słomkowy kapelusz z szerokim rondem i uśmiechnął się przyjaźnie do Ziemianina. - Przywiozłem je z Cardol cztery czy pięć dni temu. Doszły już do siebie i jutro wyruszamy. Faceci na aukcji zdębieją na ich widok.

- Na aukcji? - uwagę Storma przykuł młody ogier kłusujący wokół korralu. Każdy ruch sprawiał mu radość, widać ją było w uniesieniu ogona i w tańczących kopytach. Jego lśniąca, jasnoszara sierść usiana była rudymi okrągłymi plamami wielkości monety, najwyraźniejszymi na zadzie. Rude były też grzywa i ogon konia. Zapatrzony w zwierzę, Storm nie zauważył zainteresowania, z jakim przyglądał mu się osadnik. Zielony mundur mógł być nie znany mieszkańcom Arzoru - komandosi stanowili niewielką część wojsk Konfederacji, a Ziemianin był zapewne jedynym człowiekiem w tej części galaktyki, noszącym na piersiach podobiznę lwa. Ale to nie ubiór interesował osadnika.

- To sztuki rozplodowe, przybyszu. Trzeba je sprowadzać z planet, gdzie hodują konie dłużej niż u nas. Nie kupisz już ogiera czystej ziemiańskiej krwi. Popędzimy to stado do Krzyżówki Irrawady na wielką wiosenną aukcję...

- Krzyżówka Irrawady? To gdzieś w Dorzeczu, prawda?

- Zgadza się. Szukasz pracy czy własnych kwadratów?

- Pracy. Znajdzie się coś?

- Jesteś pewnie weteranem? Przyjechałeś tym promem, co? Ale chyba nie pochodzisz stąd. Jeździsz konno?

- Jestem z Ziemi.

Nagle zapadła cisza. Konie w korralu rżały, wierzgały i stawały dęba. Storm nie odrywał wzroku od rudo-szarego ogiera.

- Tak, jeżdżę konno. Mój naród hodował konie. A ja jestem Mistrzem Zwierząt.

- Ach tak? - wolno powiedział tamten. - No to pokaż, że umiesz jeździć, a masz pracę u mnie. Jestem Put Larkin, a to moje stado. Zapłacę ci końmi i dołożę tego, na którym będziesz jechał.

Storm wspinał się już na ogrodzenie. Dawno nie był tak podekscytowany. Larkin chwycił go za ramię.

- Hej, one wcale nie są łagodne! Storm roześmiał się.

- Nie? Ale muszę pokazać, co jestem wart. Przechylił się, szukając wzrokiem ogiera, którego zdążył już przeznaczyć dla siebie.

ROZDZIAŁ 2

Storm przechylił się przez ogrodzenie i szarpnął rygiel bramy korralu w momencie, w którym zwierzę się do niej zbliżyło. Rudo-szary koń wybiegł kłusem. Nie zdążył poczuć, że przez chwilę był wolny. Ziemianin skoczył ku wahającemu się zwierzęciu tak szybko, że Larkin zamrugał ze zdumienia. Szybkie ręce chwyciły kasztanową grzywę ściągając głowę zaskoczonego ogiera w dół, ku twarzy człowieka. Oddech Storma połączył się z oddechem rozdętych nozdrzy. Nie zwolnił uścisku czując, że koń usiłuje stanąć dęba.

Zwierzę stało drżąc, a ręce człowieka przesunęły się po wygiętej szyi, pogładziły nos, przykryły na moment szeroko otwarte oczy i powędrowały dalej przez grzbiet, brzuch, nogi, aż każdy skrawek ciała młodego konia doświadczył spokojnej pieczyoty łagodnych, brązowych dłoni.

- Masz kawałek liny? - cicho zapytał Storm. Wokół zebrała się już grupka gapiów. Handlarz końmi wziął od jednego z nich zwój mocnego skórzanego powrozu i podał Mistrzowi Zwierząt. Ten przerzucił go przez grzbiet konia tworząc pętlę tuż za przednimi nogami, potem jednym zwinnym ruchem dosiadł go, wcisnął kolana pod pętlę, a dłońmi chwycił lekko za grzywę. Ogier drgnął i zarżał czując uścisk nóg jeźdźca.

- Uwaga!

Na głos Storma koń obrócił się w koło i skoczył do przodu. Ziemianin pochylił się nad grzywą, której ostre włosy wiatr ciskał mu w twarz. Mruczał stare słowa, które kiedyś, w przeszłości związały konie z jego własną rasą na niezliczone lata. Pozwolił zwierzęciu biegiem wyrazić cały lęk i zaskoczenie.

Port gwiazdny został daleko za nimi. Wyglądał jak sznur białych paciorków rozsypanych na czerwonożółtej ziemi tej planety. Ściągnął konia kolanami, zmuszając do zwolnienia kroku, jednocześnie głosem i dotknięciem uspokajał go, aż zwierzę truchtem zawróciło do korralu.

Nie zatrzymał się jednak przy grupie oczekujących - skierował konia do drzewa o bulwiastym pniu, gdzie wylegiwała się jego drużyna. Ogier spłoszył się czując obcy i przerażający zapach dzikiego kota. Storm szepnął coś łagodnie. Surra podniosła się i powoli podeszła do nich ciągnąc za sobą smycz. Kiedy człowiek poczuł, że koń jest bliski paniki, znowu ścisnął go kolanami, zamruczał coś i siłą woli narzucił mu posłuszeństwo tak, jak to robił ze swoimi zwierzętami. Wtedy kot uniósł przednie łapy i przysiadł na zadzie, a jego

żółte oczy sięgnęły prawie pokrytych pianą chrap. Ogier kilkakrotnie podrzucił trwożliwie głową i nagle uspokoił się. Storm zaśmiał się.

- No, dasz mi pracę? - zawołał do Larkina.

- Chłopie! - handlarz koni nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia. - Masz u mnie posadę ujeżdżacza od zaraz! Gdybym nie widział tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył. Jeśli chcesz, możesz jechać na nim aż do Krzyżówki. A to co za cudaki?

- Baku, czarny orzeł afrykański - ptak na dźwięk swojego imienia rozłożył skrzydła przesywając dumnym wzrokiem Larkina.

- Ho i Hing, meerkaty - błazeńska para zadarła nosy do góry wężąc ostentacyjnie.

- Wreszcie Surra, kot pustynny. Wszystkie pochodzą z Ziemi.

- Hm, koty i konie to niespecjalnie zgrane towarzystwo...

- Tak. Widziałeś ich spotkanie - odparł Storm. - Surra nie jest dzikim zwierzęciem, jest starannie wyszkolona, pracowała jako zwiadowca.

- W porządku - Larkin uśmiechnął się. - Wierzę ci na słowo, synu. W końcu jesteś Mistrzem Zwierząt. Wyruszamy dzisiaj. Masz całe wyposażenie?

- Będę miał - Storm zawrócił konia do korralu, żeby odpoczął z resztą stada.

Widać było, że konwój był zorganizowany przez człowieka znającego się na rzeczy. Wymagania Storma były wysokie, ale docenił to, co ujrzał po jakichś dwóch godzinach, gdy dołączył do reszty.

Ransford i Lancin towarzyszyli mu od punktu demobilizacyjnego. Chcieli nająć się jako poganiacze, by jak najszybciej wrócić do zwykłego dla nich trybu życia. Razem z Ziemianinem kupili mały dwukołowy wózek na bagaże - można go było potem przyczepić do wozu z żywnością. Kiedy już go załadowali, meerkaty wgramoliły się na górę tobołów, aby zażyć przejażdżki. Baku i Surrze pozostawiono wolny wybór sposobu podróżowania.

Storm skorzystał z rad Larkina gromadząc swój ekwipunek. Zanim opuścił Centrum, posłusznie wymienił swój śmiercionośny rozpylacz, pochodzący z czasów wojny, na dozwolony tu emiter promieni obozwardniających i nóż myśliwski, jakiego używali osadnicy. Zmienił ubranie na bryczesy ze skóry jorisów podszytej tkaniną z wełny frawnów, mocne jak stal i prawie jak ona wytrzymałe. Włożył wysokie buty z tego samego materiału, tyle że podwójnej grubości. Ciepłą zieloną bluzę zamienił na koszulę z niebarwionej frawnej wełny w kolorze srebrzystoniebieskim. Naśladując towarzyszy nie zawiązał jej na piersiach - czuł się dobrze w tym swobodnym stroju. Całości dopełniał kapelusz z tradycyjnym szerokim rondem. Przejrzał się w lustrze i zaskoczyła go przemiana, jakiej dokonał strój. Zresztą Larkin nie rozpoznał go, kiedy Storm dołączył do reszty. Ziemianin uśmiechnął się:

-To ja...

Larkin zachichotał.

- Chłopie, wyglądasz jakbyś się urodził w środku Dorzecza! To cały twój bagaż? Bez siodła?

- Bez siodła. - Lekki pled i prostą uzdę zrobił sam. Nikt, kto widział go na koniu, nie dziwił się temu wyposażeniu, gdy dosiadał rudo-szarego ogiera.

Na Arzorze cywilizacja galaktyczna skupiła się wokół portu gwiazdowego, jak wokół oazy. Pozostawili budynki za sobą i ruszyli naprzód w mgiełce późnego popołudnia. Storm odetchnął głęboko, patrząc na odległy łańcuch gór. Baku wzniosł się spiralą w liliowe niebo, ciesząc się z odzyskanej wolności. Surra wylegiwała się na wózku i, ziewając, oczekiwała nadejścia swojego czasu - nocy.

Droga przeszła nagle w kamienisty trakt, ale Storm wiedział, że Larkin chce jechać na przełaj przez step pasąc stado szybko rosnącą trawą pory deszczowej. Była wiosna i żółto-zielona roślinność była wciąż gęsta i delikatna. Za mniej więcej trzy miesiące płynące z gór rzeki miały wyschnąć, kobierce soczystej trawy obumrzeć, a stada czekać na jesień, gdy pora deszczowa znowu ożywi ziemię na kilka krótkich tygodni.

Kiedy wieczorem rozbili obóz, Larkin wyznaczył warty. Zmiany miały następować co cztery godziny.

- Po co warty? - spytał Ransdorfa Storm.

- Pewnie tak blisko miasta są niepotrzebne - zgodził się weteran - ale Put chce, by wszyscy dograli się, zanim wejdziemy na dzikie tereny. To stado to dobre sztuki, warte majątek w Dorzeczu. Niech tylko Rzeźnicy spłoszą je nam, a będą mogli wyłapać mnóstwo rozproszonych po stepie zwierząt. Poza tym, niezależnie, co o tym mówi Dort Lancin, jest sporo szczepów Norbisów, którzy niekoniecznie chcą pracować, żeby zdobyć konie. Prowadząc takie stado na pewno ściągniemy ich sobie na kark. No i wreszcie jorisy - to dla nich smaczny kąsek - a joris, kiedy jest podniecony, zabija więcej niż jest w stanie pożreć. Pozwól temu śmierzącemu jaszczurowi zbliżyć się do konia, a załatwi go w mgnieniu oka.

Surra otworzyła oczy, przeciągnęła się po kociemu i podeszła do Storma. Przykucnąwszy spojrział jej w oczy i określił telepatycznie niebezpieczeństwa, jakich należało się spodziewać. Wiedział, że poznała już zapach każdego człowieka i każdego konia w stadzie. Jeśli w nocy pojawi się ktoś lub coś obcego, z pewnością Surra się tym zainteresuje.

Ransford popatrzył za odchodzącym kotem.

- Wysłałeś ją na patrol?

- Tak. Nie sędzę, żeby Surra przegrała z jorisem. Ssst... - syczące wezwanie sprowadziło Ho i Hing w krąg światła ogniska. Wspięły się po nogach Ziemianina aż do piersi i zaczęły się czule do niego łąsić.

- Po co ci one? - spytał Ransford. - Mają spore pazury, ale są zbyt małe na wojowników.

Storm pogładził siwe łby. Sierść na pyskach zwierząt była czarna, wyglądało to, jakby nosiły maski na oczach.

- Były naszymi dywersantami - odparł. - Tymi pazurami odkopywały rzeczy, które według innych powinny być ukryte. Przynosiły też do bazy sporo łupów. To urodzeni złodzieje, ściągają wszystko do swych legowisk. Możesz sobie wyobrazić, jak wyglądały po ich przejściu polowe instalacje wrogów...

Ransford gwizdnął.

- Ach, więc to one odcięły dopływ energii do posterunków na Saltarze i nasi chłopcy mogli się tam przedrzeć! Słuchaj, powinienes wyruszyć z nimi do Zamkniętych Grot. Może udałoby się wam tam dostać i zdobyłbyś nagrodę rządową.

- Zamknięte Groty? - w Centrum Storm dowiedział się tyle, ile mógł o Arzorze, ale z taką nazwą na pewno się nie zetknął w archiwach Agencji Emigracyjnej.

- To jedna z tych górskich legend - wyjaśnił Ransford. - Powinienes posłuchać, jak Quade o tym opowiada. On doskonale zna Norbisów, zawarł braterstwo krwi z jednym z ich wielkich wodzów. No i opowiadali mu o Grotach. Albo Norbisowie kiedyś byli bardziej cywilizowani, albo nie jesteśmy pierwszymi przybyszami z kosmosu, którzy wylądowali na Arzorze. Tutejsi mówią, że gdzieś w górach są miasta lub coś, co kiedyś nimi było, i że Dawni Ludzie, którzy je zbudowali, zstąpili do tych grot i zasypali za sobą wejścia. Mózgowcy z Galwadi strasznie się tym kiedyś podniecili i wysłali w góry kilka ekspedycji. Ale w górach jest ciężko o wodę, potem wybuchła wojna i nic z tego nie wyszło. Wyznaczyli jednak nagrodę dla faceta, który je znajdzie: całych czterdzieści kwadratów i czteroletnie zezwolenie na import.

Ransford owinął się kocami i wsadził siodło pod głowę.

- No, masz o czym pomarzyć po drodze.

Storm pozwolił meerkatom wśliznąć się do swojego śpiwora. Baku pozostał na brzegu dwukółki w ulubionej pozycji ptaków drapieżnych: z jedną nogą schowaną w piórach. Człowiek wiedział, że będą spokojne, chyba że wezwie je na pomoc.

Ogier, którego nazwał Krople-Deszczu-Na-Drodze z powodu ubarwienia, był jeszcze zbyt niepewny na nocną straż. Osiodłał więc drugiego z koni wyznaczonych mu przez

Larkina i wjechał bez wahania w ciemność. Przez ostatnie lata zbyt często noc była mu schronieniem, by miał się jej obawiać.

Kończył już prawie swą wachtę, gdy odebrał bezgłośny sygnał od kota: impuls ostry jak jego pazury. Coś zbliżało się od północnego wschodu. Ale co czy może kto...? Skierował tam wierzchowca! wtedy usłyszał ryk Surry. Teraz ostrzegała już głośno, a z obozu dobiegł głos Baku. Chwycił latarkę i w jej świetle ujrzał przed sobą głowę gada gotowego do ataku. Joris!

Koń pod nim przysiadł i usiłował wyrwać się, rżąc z przerażenia, gdy dobiegł ich piżmowy zapach wielkiej jaszczurki, a jej ostry syk przeszył uszy. Nic nie mogło zmusić go do zbliżenia do pokrytego łuską potwora. Storm zeskoczył więc prosto w smugę gadziego smrodu, który niósł się z wiatrem w kierunku stada, skąd dobiegał tętent rozbiegających się w panice koni. Skupiony na walce, rozważał jednocześnie dziwaczność ataku. Z całą pewnością jorisy były przebiegłymi kłusownikami, atakującymi zawsze z zaskoczenia. Żaden nie mógłby dognać przerażonego konia. Dlaczego więc stwór podchodził stado z wiatrem, płosząc zapachem własną kolację?

Teraz osaczony jaszczur przysiadł na zadzie i młócąc zawzięcie łapami o wielkich pazurach usiłował dosięgnąć Surry. Był on uosobieniem brutalnej siły, kot zaś poruszał się jak w tańcu, atakował, cofał się, drażnił i prowokował, zawsze poza zasięgiem potwornych szponów.

Storm gwizdnął przenikliwie, starając się przedrzeć przez syk gada. Nie musiał długo czekać. Chociaż noc nie była ulubioną porą polowania dla Baku, wielki orzeł nadlatywał już, by zaprezentować swój zabójczy cios. Spadł na łeb potwora wbijając się weń pazurami i bijąc skrzydłami po oczach. Jaszczur podrzucił głowę, by chwycić intruza, ukazując na moment miękkie podgardle. Na tę chwilę czekał Storm. Posłał w to miejsce pełny ładunek obezwładniającego, który zadziałał jak nagle zaciągnięty strzyk: jaszczur zacharczał, przez chwilę bił powietrze łapami i upadł. Indianin skoczył ku niemu z nożem w rękę. Lepka krew spłynęła mu po palcach - ten joris już na pewno nie zapoluje.

Jaszczur był martwy, lecz żył wystarczająco długo, by doprowadzić do nieszczęścia. Gdyby zdarzyło się to kilka dni później, mieliby małe szansę na odzyskanie koni, które rozbiegły się w panice. Teraz były tak słabo zaaklimatyzowane i tak niepewnie czuły się w nowym świecie, że jeźdźcy mieli nadzieję, iż uda się je otoczyć, chociaż zajmie to pewnie kilka cennych dni.

Zbliżało się południe następnego dnia. Larkin podjechał do wozu z żywnością. Był ponury i zmęczony.

- Dort! - pozdrowił weterana, który przybył chwilę wcześniej.

- Słyszałem, że gdzieś nad Talarpem jest obóz myśliwski Norbisów. Kilku, ich tropicielei bardzo by się nam przydało - zsiadł z zajeżdżonego wierzchowca i z trudem podszedł do wozu. - Znasz mowę palców. Mógłbyś ich odszukać. Powiedz wodzowi, że za pomoc dostanie ogiera albo dwie roczne klacze.

Westchnął i chciwie łyknął z podanego mu przez kucharza kubka.

- Ile koni udało się chłopcom sprowadzić? - spytał po chwili. Storm wskazał na sklecony naprędce korral.

- Siedem. Trzeba będzie kilka ujeździć, jeśli nie uda się odnaleźć więcej koni pod wierzch. Tych parę, które mamy, to za mało...

- Wiem! - warknął Larkin. - Nie przypuściłbyś, że te czworonogie głupki mogą pędzić tak szybko i tak daleko, nie?

- Owszem, jeśli były spłoszone celowo. - Ziemianin czekał na efekt tych słów. Obaj mężczyźni patrzyli na niego w osłupieniu.

- Tenjoris atakował z wiatrem...

Dort Lancin chrząknął z uznaniem.

- Chłopak ma rację, Put! Można, pomyśleć, że ten gad chciał narobić takiego zamieszania.

Spojrzenie Larkina stwardniało, zacisnął usta.

- Gdybym w to uwierzył... - ręka powędrowała do emitera. Dort zaśmiał się złośliwie.

- Kogo chcesz uśpić, Put? Jeśli jakiś gość to zaplanował, nie czeka tu, żebyś go złapał. Tyłeś go widział...

- Ja nie, ale może Norbisowie. Storm, jesteś zielony i jesteś przybyszem, ale masz głowę na karku. Pojedziesz z Dortem. Jeżeli złapiecie jeszcze jakieś konie, weźcie je ze sobą. Może ten twój koci mądrała je przypilnuje. Chcę tu mieć Norbisa zwiadowcę, który wy-niuchałby, co to za historia z tym jorisem.

Surra z łatwością dotrzymywała kroku zmęczonym koniom. Baku szybował w górze - czwarta, bystra para oczu. Zbliżali się do łożyska rzeki. Konie, czując wodę, przyspieszyły kroku, lawirując między kępami białych krzaków, na których bezlistnych gałęziach zwisały niezwykle białe kwiaty wyglądające jak kłęбки waty. Futro Surry miało kolor tutejszej trawy i trudno było ją odróżnić od otoczenia, gdy biegła przodem, płosząc dziwaczne gryzonie zamieszkujące tę ubogą okolicę.

Dort gwałtownie ściągnął cugle, unosząc ostrzegawczo rękę. Storm natychmiast zatrzymał konia. Surra przypadła do ziemi, niewidoczna wśród traw, a Baku zniżył lot wydając ostry natarczywy krzyk.

- Zdaje się, że nas dostrzeżono? - spytał Storm.

- Tak, ale my nie zobaczymy Norbisa, dopóki on tego nie zechce - odparł Dort.

- Heeej! - zawołał puszczając cugle i podnosząc obie ręce do góry, dłońmi do przodu.

Odmienność budowy krtani Norbisów uniemożliwiała porozumiewanie się z nimi za pomocą głosu. Ale wykształcono inny sposób komunikacji, który zastosował Dort. Jego palce poruszały się tak szybko, że Storm z trudnością rozróżniał poszczególne znaki. Ten, dla którego wiadomość była przeznaczona, zrozumiał jednak, bo nagle zza pnia drzewa wynurzył się cień.

Storm po raz pierwszy zobaczył tubylca, nie licząc oczywiście hologramów, z którymi zapoznał się w Centrum. Były one dokładne i barwne - miały zachęcać do osiedlenia się na Pograniczu. Ale nie ma porównania między hologramem, nawet najlepszym technicznie, a rzeczywistością.

Ten Norbis był wysoki w rozumieniu ziemskim, miał dobrze ponad dwa metry, przerastał Storma o głowę. Był bardzo szczupły. Miał dwie nogi, dwie ręce, regularne, nawet ładne rysy twarzy. Skóra była czerwonożółta, zbliżona kolorem do gleby Arzoru. Był jednak jeden szczegół zwracający uwagę przybyszy od pierwszego wejrzenia- rogi. Barwy kości słoniowej, długości około piętnastu centymetrów, wyrastały z czoła wyginając się łukowato ku tyłowi nad bezwłosą czaszką.

Storm starał się na nie patrzeć i skoncentrował się na ruchach palców Dorta. Pomyślał, że musi się jak najszybciej nauczyć tego języka. Potem, zakłopotany, zaczął się przyglądać strojowi i uzbrojeniu tubylca. Szeroki pas ze skóry jorisa tworzył rodzaj puklerza pokrywającego tułów Norbisa. Rozcięcia na biodrach umożliwiały swobodne ruchy. Na nogach miał buty z wysokimi cholewami, całkiem podobne do tych, które nosili osadnicy chroniąc się przed ciernistymi krzakami. Powyżej bioder puklerz wzmocniony był dodatkowym pasem z jaszczurczej skóry, z którego zwisało kilka sakiewek wyszywanych czerwonymi, złotymi i srebrnymi paciorkami oraz wzorzysta pochwa z nożem o długości zbliżonej do miecza. W dłoni o sześciu palcach myśliwy trzymał broń dobrze znaną Stormowi. Dłuższy niż te, które dotąd widział, był to na pewno jednak łuk. Ostatni element stroju pełnił jednocześnie funkcję ubrania, zbroi i ozdoby. Był to szeroki, wykonany z wygładzonych zębów jorisa kołnierzyk, który sięgał z boków do ramion, a z przodu zwisał prawie do pasa. Jeżeli wszystkie te zęby zdobył sam, uzbrojony jedynie w łuk i nóż, to z

pewnością był to łowca, któremu należał się szacunek każdej myśliwskiej kompanii w galaktyce.

Dort opuścił ręce na siodło i tubylec odpowiedział coś w mowie palców. Nagle Lancin zeszywniał.

- Uważaj na kota! - krzyknął.

Norbis napiął łuk z szybkością, która zadziwiła Ziemianina.

Storm syknął wzywając Surre. Wychynęła z kryjących ją traw i podbiegła do niego. Norbis nie opuszczał łuku. Dort coś szaleńczo sygnalizował, ale Storm miał własną metodę przekonywania. Zeskoczył z siodła. Surre podeszła i z kocią czułością zaczęła ocierać się o jego nogi. Wtedy przyklęknął, a kot wspiął się przednimi łapami na ramiona swego pana i przytulił nos do jego policzka.

ROZDZIAŁ 3

Usłyszał śpiew ptaka. Uniósł wzrok i napotkał parę zdumionych oczu o kocich, pionowych źrenicach. Tubylec odezwał się. Był to ostry świergot, głos nie pasujący zupełnie do postury. Palce zasygnalizowały pytanie.

- Wezwij też orła, jeśli potrafisz. Zrobięś na nim wrażenie, a to może się nam przydać.

Ziemianin podrapał Surre za uchem i podniósł się. Rozstawił nogi i napiął kark przygotowując się na przyjęcie ciężaru ptaka. Gwizdnął. Wielki orzeł z łopotem sfrunął na ramię Storma. W bezlitosnym, południowym blasku arzorskiego słońca jego czarnogranatowe pióra lśniły metalicznie, a pas jasnożółtego puchu wokół groźnego haczykowatego dzioba wyglądał jak namalowany farbą.

- Ssst...- Na wezwanie pana obie głowy: ta pokryta sierścią i ta upierzona, obróciły się ku nieznanemu, a dwie pary błyszczących, drapieźnych oczu spojrzały na niego z zainteresowaniem.

- Nieźle! - powiedział Dort z ulgą. - Ale pilnuj ich, kiedy będziemy wchodzić do obozu.

Storm skinął głową wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał tubylec. Ziemianin był dumny ze swoich talentów zwiadowcy, potrafił stopić się w jedno z otoczeniem, ale ten Norbis bił najlepszych na głowę.

- Obóz jest nad rzeką. - Dort zsiadł z konia. - Pójdziemy pieszo i... - wyciągnął emiter promieni obezwładniających i wypalił w powietrze. - Nie wchodzi się z nabitą bronią, to niegrzeczne.

I tym razem Storm zastosował się do rady osadnika. Baku wzięcia! w górę, a Surre szła przed nimi i tylko czasem drgnienie ogona zdradzało jej zaciekawienie otoczeniem. Czula dziwne wonie gotowanego pożywienia i jeszcze dziwniejsze żywych istot, a kiedy zbliżyli się do szczytu wzgórza, jej uszu dobiegł cichy gwar.

Obóz Norbisów nie miał regularnej zabudowy. Kopulaste namioty zbudowane były na szkieletach z drzewa kalmowego, elastycznego, gdy mokre, ale twardego jak stal po wyschnięciu. Na takiej ramie rozpięte były przemyślnie połączone trofea myśliwskie każdej rodziny: błękitne futra frawnów i czerwone rzecznym gryzoni sąsiadowały ze srebrzystożółtymi skórami j orisów. Największy namiot był oblamowany na dole, a u wejścia wisiała zasłona z ptasich skórek ułożonych w barwny wzór.

Nie widzieli ani jednej kobiety, za to przed każdym namiotem stali mężczyźni. Starzy i młodzi, wszyscy uzbrojeni. Zwiadowca, który ich spotkał, czekał przed wzorzystą zasłoną. Przybysze podeszli do tego namiotu, jak gdyby nie dostrzegając milczących wojowników i zatrzymali się przed wodzem. Storm trzymał się o krok z tyłu, przyglądając się spod oka otoczeniu. Naliczył około dwudziestu namiotów. Wiedział, że każdy z nich zamieszkiwało piętnascioro - lub więcej Norbisów. Mężczyzna, żeniąc się, wchodził do klanu swej żony jako młodszy syn do czasu, kiedy doczekał się tylu dzieci, że mógł usamodzielnić się jako głowa własnej rodziny. Było to więc, jak na tutejsze warunki, średniej wielkości miasteczko. Jego totemem był Zamł, stylizowany rysunek tego drapieżnego ptaka widniał na tarczy przed siedzibą wodza.

- Storm - mruknął Dort, witając jednocześnie mową palców niepokornych tubylców. - Przywołaj swojego ptaka. Oni są...

- Z klanu Zamła - skinął głową Ziemianin. - Więc mój ptasi totem zrobi na nich wrażenie?

Znowu gwizdnął, wzywając Baku, i napiął mięśnie w przygotowaniu jego lądowania. Tym razem jednak nadlatujący orzeł nie przysiadł na jego ramieniu, ale nagle wydał okrzyk wojenny, załopotał skrzydłami i, podając tułów ku tyłowi, wyciągnął szpony w kierunku namiotu, jak gdyby ta budowla ze skóry i futra była nieprzyjacielem. Storm rzucił się do przodu. Baku siadł na ziemi i przechadzał się teraz gniewnie przed wodzem Norbisów z na wpół rozłożonymi skrzydłami. Co mogło go tak rozdrażnić? Nagle, od namiotu oderwała się zielona błyskawica i pomknęła ku ptakowi. Na szczęście, Storm był szybszy i złapał za nogi orła, zanim ten zdążył uderzyć na napastnika. Baku skrzeczał i bił skrzydłami, ale człowiek trzymał z całej siły, starając się jednocześnie narzucić zwierzęciu telepatycznie swoją wolę. Wódz Norbisów toczył podobny pojedynek ze swoim pierzastym wojownikiem. Wreszcie któryś z tubylców zarzucił małą sieć na rozwścieczonego Zamła i, związanego, ukrył we wnętrzu namiotu. Baku uspokoił się i Storm umieścił go na grzbiecie konia przymocowując tak, aby ptak nie mógł się sam uwolnić.

Ciężko dysząc odwrócił się i zobaczył, że wódz stoi obok, przyglądając się Baku. Tubylec poruszył palcami.

- Krotag pyta, czy ten ptak jest twoim totemem - przetłumaczył Dort.

- Tak - Storm kiwnął głową w nadziei, że ten gest znaczy na | Arzorze to samo, co na Ziemi.

- Storm! - W głosie Dorta słychać było skrywane podniecenie.

- Możesz pokazać im jakąś bliznę? To ważne. Udowodniłbyś im, że jesteś prawdziwym wojownikiem. Może nawet wódz uznałby cię za równego sobie.

Jeżeli to miało pomóc... Ziemianin szarpnął za troczek bluzy i obnażył nieregularną białawą bliznę na lewym ramieniu. Była to pamiątka po spotkaniu z pewnym zbyt czujnym wartownikiem na planecie, której słońce było na nieboskłonie Arzoru ledwie widoczną gwiazdką.

- Jestem wojownikiem, a mój wojenny totem uratował mi życie.

- Mówił wprost do wodza, jak gdyby tamten mógł go zrozumieć. Norbis odpowiedział w swojej swiergoczącej mowie i poruszył rękami. Dort wyszczerzył zęby.

- Udało ci się, chłopie. Uwierzyli ci i chcą nas przyjąć jak przyjaciół.

Krotag przysłał im pięciu tropicieli. Larkin był zachwycony, chociaż było jasne, że tubylcy uważają spłoszenie stada za dar bogów:

Wysokich-Którzy-Ciskają-Pioruny-w-Górach. Dzięki nim ich szczerp wzbogaci się w konie.

Pracowali teraz w parach z Norbisami, wyszukując zagubione konie. Sugestia Storma potwierdziła się. Chociaż nawet tropiciele nie znaleźli śladów jeźdźców, było jasne, że konie dzielono na małe grupy, a następnie ukrywano w jarach i wąwozach. Brak danych dla ustalenia, kto był sprawcą paniki, był zresztą tak zupełny, że słyszało się pogłoski, jakoby mieli się za tym kryć ludzie Krotaga. Mogli ukryć wierzchowce, żeby teraz ich dzielnie poszukiwać, za co czekała ich nagroda w postaci ogiera i trzech czy czterech klaczy z chorymi kopytami, które obiecał im Larkin.

Dzień lub dwa później Storm zastanawiał się nad tym, jadąc w chmurze rudego pyłu wzbitego kopytami grupki zwierząt, którą pomagał odstawić do punktu zbiórki. Chustę, którą miał na szyi, naciągnął na nos i usta, chroniąc je przed kurzem. W dali ujrzał jeźdźca. Poznał go po białym wierzchowcu - był to Coli Bister. Storm winien był mu wdzięczność, bo to właśnie on odnalazł De-szcza, konia, na którym Ziemianin teraz jechał. Ale były komandos nie czuł do niego sympatii. Bister należał do grupy, która otwarcie występowała przeciwko Norbisom, a poza tym widać było, że jest wrogo nastawiony do Storma z nieznanym temu ostatniemu powodów.

W obozie Ziemianin trzymał się zwykle na uboczu, korzystając z wymówki, jaką były jego zwierzęta. Mimo to został zaakceptowany łatwiej, niż mógł tego oczekiwać jako przybysz. Zawdzięczał to w znacznej mierze swojej umiejętności obchodzenia się z końmi. Larkin zlecił mu ujeżdżanie dodatkowych wierzchowców, które miały zastąpić konie robocze

utracone po ataku jorisa, i zazwyczaj ci, którzy nie wyjeżdżali akurat na poszukiwania, zbierali się, aby popatrzeć, jak je obłaskawia.

Gdyby tylko chciał, łatwo zdobyłby uprzywilejowaną pozycję. Jego szczególne uzdolnienia, zrównowazenie, rzetelność, z jaką wykonywał wraz z nimi nudne zajęcia, były cechami, które poganiacze doceniali. Akceptowali jego powściągliwość, która podczas pobytu w Centrum wzrosła do tego stopnia, że zamknął się w sobie jak w skorupie. Dla ludzi z Pogranicza starożytna planeta, z której pochodzili, była egzotyczną tajemnicą. To, że Ziemia już nie istniała, było tragedią i nie dziwiło nikogo, że Ziemianin bardzo to przeżywa. Śmierć rodzinnego świata przydawała Stormowi w oczach Arzorzan majestatu wygnańca.

Jedynie z Larkinem i Dortem Lancinem łączyło go coś więcej niż wspólna praca na szlaku. Dort uczył go mowy palców i wszystkiego, czego zdołał dowiedzieć się od Norbisów. W stosunku do Ziemianina był wręcz zaborczy, jak nauczyciel wobec zdolnego ucznia. Z Larkinem zaś łączyły Storma konie, temat, na który obydwaj mogli godzinami mówić przy nocnym ognisku. Tych dwóch poznał i trochę polubił, nie stać go było teraz na silniejszą więź. Ale Bister zaczynał być problemem i to problemem, przed którym Storm nie chciał stanąć. Nie, żeby bał się walki, gdyby tamten posunął swą niechęć aż tak daleko. Bister był potężnym mężczyzną o niewątpliwie ciężkiej ręce, ale w czystej walce, pomimo że wagą ani wzrostem mu nie dorównywał, Storm był pewien zwycięstwa. W czystej walce - oblizał zakurzone wargi - dlaczego mu to przyszło do głowy? I dlaczego właśnie teraz tak się przejął na widok oczekującego go Bistera. Chociaż nigdy nie sprowokował bójki, nigdy też nie unikał kłopotów, jeżeli trzeba było stanąć z nimi twarzą w twarz. Dlaczego więc nie chciał uporać się z problemem, jakim, wcześniej czy później, stanie się ten typ?

Inny jeździec zrównał się z Deszczem i żółtawa dłoń uniosła się w pozdrowieniu. Norbis też naciągnął chustę na dolną część twarzy, ale Ziemianin rozpoznał Gorgola, najmłodszego z tropicieli.

- Dużo kurzu - tubylec sygnalizował powoli do początkującego w nauce Storma. - Droga sucha.

- Chmury... nad górami... idzie deszcz? - nadał Ziemianin. Norbis spojrzał przez ramię na czerwone niebo.

- Idzie deszcz... potem błoto...

Storm wiedział, że Larkin bał się błota. Deszcz, a raczej ciężkie, wiosenne ulewy mogły z dnia na dzień zamienić step w niebezpieczne trzęsawisko.

- Ty wojownik z totemem ptaka - to było stwierdzenie, nie pytanie.

Młodzieniec jechał z naturalną gracją. Dostosowywał krok swojego niedużego, czarno-białego wierzchowca do kroku konia Storma, aż cwałowali obok siebie, równo, jak na paradzie.

Ziemianin kiwnął głową. Gorgol sięgnął lewą ręką do rzemyka na szyi, na którym wisiały dwa zakrzywione, czarne i błyszczące przedmioty. W postawie tubylca była jakaś nieśmiałość i zażenowanie, kiedy podniósł znów rękę, aby nadać:

- Ja jeszcze nie wojownik... tylko myśliwy... byłem w wysokich górach... zabiłem złego lotnika...

Storm w odpowiedzi zadał stosowne pytanie:

- Zły lotnik?... Ja przybysz... nie wiem, co to zły lotnik...

- Wielki! - Palce Norbisa rozpostarły się w geście oznaczającym coś ogromnego. - Ptak... zły ptak... poluje na konie... poluje na Norbisów... zabija! - Palec wskazujący i kciuk przecięły powietrze ruchem oznaczającym nagłą i gwałtowną śmierć, a potem podniosły się znowu do zawieszonych na szyi trofeów.

Storm wyciągnął rękę w geście uprzejmego zapytania, a chłopiec zdjął naszyjnik i podał go przybyszowi. Przedmioty zawieszane na rzemyku były ptasimi pazurami. Porównując je ze szponami Baku, Storm stwierdził, że nieznanne zwierzę musiało być rzeczywiście ogromne, bo każdy pazur był długości jego dłoni, od nadgarstka do końca środkowego palca. Zwrócił wisior dumnemu właścicielowi.

- Ty wielki myśliwy - Storm energicznie skinął głową dla podkreślenia tego, co sygnalizował. - Pewnie trudno zabić złego lotnika...

Twarz Gorgola była ukryta, ale całym sobą pokazywał, że te słowa sprawiły mu przyjemność.

- Zabiłem... czyn mężczyzny... jeszcze nie wojownik... ale myśliwy - tak...

Storm pomyślał, że chłopiec ma prawo się chwalić. Jeżeli rzeczywiście zabił tego potwora polując samotnie, a Ziemianin dowiedział się już o zwyczajach Norbisów wystarczająco wiele, żeby wiedzieć, że czcze przechwałki nie leżały w ich naturze, to miał pełne prawo nazywać siebie myśliwym.

- Ty hodowca frawnów?... - ciągnął Norbis.

- Nie... nie mam ziemi... ani stada...

- Ty myśliwy... zabijasz złego lotnika... zabijasz jorisa... sprzedajesz skóry...

- Ja przybysz...- Storm nadawał pomału, bo porwał się na wyrażanie bardziej złożonych myśli. - Norbisowie polują na ziemi Norbisów... Przybysze tak nie polują...

Prawo łowieckie było jednym z niewielu ściśle przestrzeganych praw ustanowionych przez swobodnie zawiązany rząd Arzoru. Uprzedzono go o tym już w Centrum i ponownie w porcie gwiezdny. Chroniło ono Norbisów. Hodowcy mogli zabijać jorisy lub inne stworzenia drapieżne atakujące stado, ale polowania na zwierzęta zamieszkujące góry lub tereny zajmowane przez tubylców były zakazane.

Gorgol sprzeciwił się:

- Ty wojownik z totemem ptaka... ptak totem ludu Krotaga... ty polujesz na ziemi Krotaga... nikt nie mówi nie...

Coś drgnęło w Stormie. Jakieś uczucie, umarłe od dnia, kiedy wrócił z trzymiesięcznego, ryzykownego wypadu poza linie wroga i odkrył, że jest bezdomny. Poruszył się niespokojnie na koniu. Deszcz parsknął nerwowo, jak gdyby poczuł to samo. Ziemianin walczył ze sobą, ze swoją reakcją na życzliwą propozycję chłopaka, ale twarz jego pozostała nieporuszona.

- Coś późno dzisiaj - ochrypli od kurzu głos Bistera podrażnił nie tylko uszy. Storm czuł go wszystkimi, przebudzonymi właśnie nerwami.

- Pędzicie niezłą gromadkę. Pewno ten kozioł zaprowadził cię tam, gdzie je sam przedtem pięknie zapuszkował, co? - Wrogość w jego głosie była nowym bodźcem dla przemiany, która zachodziła w Stormie. Nie lubił Bistera i nie miał zamiaru dłużej znosić jego złośliwości. Musi mu dać nauczkę. Nie wiedział, że oczy, zwykle lepiej kontrolowane, tym razem go zdradziły. Coli Bister był bardziej wyczulony na drobiazgi, niż na to wyglądał.

Osadnik ściągnął chustę z twarzy i splunął.

- A może nie wierzysz, że te kozły mają tyle oleju w głowach, żeby to sobie zaplanować?

Storm słuchał jednym uchem, obserwując z uwagą leniwy, wahadłowy ruch prawej ręki Bistera. Wokół nadgarstka owinięty był długi harap ze skóry jorisa.

- Nie znaleźlibyśmy połowy koni, gdyby nie ludzie Krotaga. Storm siedział na koniu swobodnie, z rękami daleko od broni". Czuł jednak, co wisi w powietrzu, i wiedział, co robić.

Rozhuśtane ramię wzniosło się w momencie, kiedy mijał ich ostatni z pędzonych koni. Być może, Bister chciał popędzić strudzonego roczniaka, ale Storm w to nie wierzył. Nagłym ściśnięciem kolan poderwał konia do przodu i bicz, zamiast spaść na nagie udo Gorgola, ze świstem chlasnął w skórzaną nogawicę Ziemianina. Napastnik nie był na to przygotowany. Nie był też przygotowany na uderzenie, jakie otrzymał w odwecie. Wielki mężczyzna zwałił się na ziemię z ręką zdrętwiałą do łokcia. Z rykiem wściekłości poderwał się na nogi tylko po to, żeby runąć znowu pod ciosem otwartej dłoni. Storm przemyślał swoją strategię z

wyprzedzeniem. Ale ku jego zaskoczeniu Bister nie zaatakował ponownie. Stał dysząc ciężko, twarz miał purpurową z gniewu.

- Jeszcze nie skończyliśmy - splunął - Słyszałem o was, komandosach. Potraficie zabić człowieka gołymi rękami. Dobra. Poczekaj, aż będziemy w Krzyżówce, wtedy zobaczymy, jak sobie poradzisz w walce na emityry! Nie skończyłem jeszcze z tobą... ani z twoimi kozimi kumplami!

Storm był zdumiony i zbity z tropu. Nagły odwrót Bistera nie pasował do tego, co o nim dotychczas myślał. Te groźby nie były na pewno rzucane na wiatr. Patrząc w ciemne z wściekłości oczy osadnika, Ziemianin zastanawiał się, czy to możliwe, żeby go tak nieprawidłowo ocenił. Ten człowiek w żadnym razie się nie bał, był pewny siebie i pełen nienawiści! Dlaczego więc nie chciał walczyć? Obserwował, jak tamten gramoli się na siodło. Pozwoli mu wykonać następny ruch - może dowie się czegoś o stawce gry?

- Pamiętaj - powtórzył Bister kryjąc kwadratową twarz pod chustą - nie skończyliśmy jeszcze...

Storm wzruszył ramionami. Z pewnością będzie na niego uważał, ale Bister nie musi o tym wiedzieć.

- Idź swoją drogą - odparł krótko. Ja pójdę swoją. Nie szukam kłopotów.

Kiedy tamten odjechał, odwrócił się do Gorgola. Chłopak zrównał się z nim i zadał pytanie:

- On zaczął, ale nie walczył... dlaczego?

- Tyle wiem, co ty. - Mruknął Storm i nadał: - Ja nie wiem... ale on nie lubi Norbisów... - Sądził, że ostrzeżenie może zaoszczędzić chłopcu kłopotów w przyszłości.

- To wiemy... myśli, my kradniemy konie... ukrywamy, a potem znajdujemy dla Larkina... Może to dobre dla Nitra... dla dzikich ludzi ze Szczytów... nie dla ludu Krotaga... Mamy układ z Larkinem... dotrzymamy układu...

- Ktoś napuścił jorisa i ukrył konie - zauważył Storm.

- To prawda. Może bandyci. Dużo bandytów w górach. Nie Norbisowie, ale najeżdżają nasze ziemie. Norbisowie walczą... zabijają.

Gorgol pognał konia za znikającym stadem, a Ziemianin z wolna podążył za nim. Miał swoje powody, dla których przyleciał na Arzor i wyruszył w region Dorzecza. Na pewno nie miał ochoty mieszać się do cudzych sporów. Panika w stadzie po prostu przytrafiła się i Storm nie mógł nie pomóc handlarzowi, ale nie chciał wdawać się w dalszą kłótnię z Bisterem ani walki między osadnikami a Norbisami.

Deszcz, którego się obawiali, lunął wreszcie wieczorem przy akompaniamencie piorunów. Po nawałnicy przyszła kolej na uciążliwą, długotrwałą ulewę. Jeźdźcy nie mieli teraz czasu na myślenie o czymkolwiek poza trudami dalszej drogi.

Surra wczołgała się pod plandekę wozu do meerkatów i powar-kiwała niechętnie przy każdej propozycji wystawienia nosa na mokry świat. Nawet Baku wyszukał sobie schronienie. Wciskająca się wszędzie wilgoć była czymś, czego zwierzęta nigdy przedtem nie doświadczyły i czym były wyraźnie oburzone. Storm czuł zresztą to samo, gdy grzęznął po kostki w błocie, wzmacniał niepewne odcinki drogi gałęziami i trawą lub wjeżdżał w burzliwe wody rzeki, żeby przeprowadzić luzaki wzdłuż lin, którymi Norbisowie zaznaczyli wątpliwej jakości bród.

Pod koniec drugiego dnia deszczu był już pewien, że nie prze-szliby nawet mili bez pomocy tutejszych tropicieli. Błoto nie sprawiało kłopotów żyłastym, muskularnym koniom tubylców, chociaż stale chwyciło w pułapkę zwierzęta przybyszów. Norbisowie również nie zdradzali żadnych oznak zmęczenia, zawsze gotowi zakrzętnąć się, żeby naręczami gałęzi wypełnić niebezpieczne doły.

Na szczęście, trzeciego dnia zaczęło się przejaśniać. Mówiono, że do miasta są jeszcze tylko dwa dni drogi. Tę wiadomość wszyscy przywitali z ulgą.

ROZDZIAŁ 4

Ziemia chłoneła wodę jak gąbka. W ciepłych promieniach słońca pokryła się roślinnością, której bujność zaskoczyła Storma. Trzeba było ograniczać czas wypasu koni, a Ziemianin musiał zwrócić baczniejszą uwagę na Ho i Hing, które z zapamiętaniem rozkopywały miękki grunt. Trudno było uwierzyć, że za sześć tygodni ta kwitnąca okolica zamieni się ponownie w pustynię.

- Pięknie, co? - Dort podjechał do stojącego na niewielkim pagórku Storma. U ich stóp ścielił się zielonożółty kobierzec traw usiany białymi, złotymi i purpurowymi kwiatami. - Ale poczekaj miesiąc i... - pstryknął palcami - wszystko uschnie. Piach, skały, trochę ciernistych krzaków i tyle. To najszybciej zmieniająca się okolica, jaką widziałeś!

- Ale w Dorzeczu chyba pastwiska nie wysychają tak szybko? Czy też cały czas musicie przeganiać stada?

- Nie. Trochę wody i ta ziemia urodzi ci, co zechcesz. W Dorzeczu mamy wodę przez cały rok, a i trawa jest inna - z długimi, mocnymi korzeniami. Tędy możesz przepędzać stada wiosną i jesienią, ale nie da się ich tu wypasać. Frawny to żarłoki, potrzebują dużej przestrzeni. Mój tata ma siedemdziesiąt kwadratów i trzyma na nich około dwóch tysięcy sztuk przez cały rok.

- Urodziłeś się na Arzorze, Dort? - Storm po raz pierwszy zadał osobiste pytanie.

- Pewnie! Wtedy mój tata miał małe gospodarstwo niedaleko Quipawa. On też się tu urodził. Pochodzimy z Pierwszego Statku - dodał z dumą. - Jesteśmy tu od trzech pokoleń i teraz nasza rodzina ma już pięć posiadłości: mojego taty, mojego brata i moją, mojej siostry i jej męża w okolicy półwyspu, wujka Waggera i jego dwóch synów - oni mają własne: Borggy i Szczeliny na stokach Cormbal.

- Miło tu wracać, co? - wzrok Storma pobiegł ku górcom, które przyciągały go, odkąd je ujrzał po raz pierwszy.

- Tak. - Dort zerknął na Storma i szybko odwrócił wzrok. - Tu jest dobrze... przestronnie. Można tu swobodnie odetchnąć. Kiedy byłem w armii na Grambage i Trzeciej Wilka i jeszcze na kilku innych planetach, gdzie jest tak strasznie ciasno, to pomyślałem sobie, że nie mógłbym tak żyć.

I - jakby ciekawość przemogła w końcu dobre wychowanie - zapytał:

- Wygląda na to, że znałeś już podobne miejsce. Czujesz się tu jak w domu...

- Tak, znałem... kiedyś. Miało inne barwy, ale były tam góry i pustynia, krótkie wiosny przechodzące w gorące, suche lata, otwarta przestrzeń...

- To nie była wojna... to była zwykła zbrodnia! - twarz Dorta poczerwieniała, a oczy błyszczały w bezsilnym gniewie. Storm wzruszył ramionami.

- Stał się. - Puścił wodze i koń wolno ruszył w dół.

- Słuchaj no, - Dort znów go dogonił - słyszałeś o tym, że weteranom dają ziemię?

- Tak, mówili mi - dziesięć kwadratów na osadnika.

- Dla Ziemianina dwadzieścia - poprawił go Lancin. - Wiesz co? Mój brat i ja mamy ładny kawałek ziemi na wschodnim brzegu Staffy, a za nim ciągną się aż do wzgórz Paszo tereny niczyje. Jeśli nie zamierzasz pracować dłużej u Larkina, pojedź ze mną i rozejrzyj się tam. To niezła okolica. Może trochę sucha na krańcach, ale Staffa nie wysycha nawet w czasie upałów. Mógłbyś wziąć swoje dwadzieścia kwadratów gdzieś koło Szczytów. Quade ma tam kawałek ziemi...

- Brad Quade? - przerwał Storm. - Sądziłem, że w Dorzeczu...

- Tak, tam ma dużą posiadłość. Jego rodzina też pochodzi z Pierwszego Statku, chociaż on sam zaczepił się w Sekcji Badawczej i parę razy opuszczał Arzor. Sprowadził konie i próbował hodować owce z Ziemi, ale już pierwszego roku złapały jakąś zarazę i padły. W każdym razie gospodarstwo pod Szczytami kupił dla syna...

- Syna? - ciemna twarz Storma pozostała bez wyrazu, ale zaczął słuchać bardzo uważnie.

- Tak. Logan to jeszcze dzieciak, ale jakoś nie mogą się dogadać. Chłopak nie cierpi wypasu i ciągle urywa się gdzieś z Norbisami. W tropieniu jest tak dobry, jak oni. Próbował się zaciągnąć do armii, ale wyśmiali go, bo był za młody. No więc jakieś dwa lata temu Brad dał mu ten dziki kawałek ziemi, żeby się na nim sprawdził. Nie wiem, jak mu się teraz powodzi - Dort zaśmiał się. - Kiedyśmy sobie wojowali, nowiny z domu nie docierały tak szybko.

- Hej! - krzyknął do nich Larkin. - Wy dwaj! Okrążcie je, zatrzymamy się tu na noc!

Storm ruszył w prawo, a Dort w lewo. Postój tutaj oznaczał, że do Krzyżówki dotrą dopiero jutro późnym popołudniem. Larkin chciał, żeby konie wypoczęły przed aukcją. Więc Brad Quade miał syna. To zmieniało trochę plany Ziemianina. Zamierzał przedtem stanąć naprzeciw Quade'a tam, gdzie go spotka, i zakończyć sprawę. Nadal chciał go odnaleźć, oczywiście, ale dlaczego miał dla niego znaczenie fakt, że jego wróg ma rodzinę? Zostawił to pytanie bez odpowiedzi.

Jak zwykle, sprawnie wypełniał swe obowiązki, rad, że ma się czym zająć. Reszta była w świątecznym nastroju. Nawet Norbisowie świergotali coś między sobą i nie zamierzali opuszczać obozu, chociaż otrzymali już zapłatę. Tutaj grupa miała się rozdzielić. Weterani, którzy przyłączyli się w porcie kosmicznym na czas podróży, mogli wyruszyć do swych gospodarstw albo szukać pracy u wielkich posiadaczy, którzy przybyli na aukcję, będącą nieformalnym punktem zatrudnienia. Wielki spęd odbywał się dwa razy do roku i przerywając monotonię codziennych zajęć był jednocześnie okazją do załatwienia interesów, jarmarkiem - rodzajem karnawału, na który zjeżdżała się cała okolica.

- Storm - Larkin usiadł przy ognisku obok Ziemianina. Meerkaty mocowały się ze sobą, a Surra leniwie lizała łapy. - Zamierzasz osiąść gdzieś na stałe? Masz prawo do ładnego kawałka ziemi.

- Jeszcze nie. Dort opowiadał o okolicach nad Staną, gdzieś pod Szczytami. Chyba wybiorę się, żeby je obejrzeć. - „Wymówka tak samo dobra jak każda inna” - pomyślał ze znużeniem.

Larkin rozpromienił się.

- Tak, to dobre tereny. Sam o nich ostatnio myślałem. Zarobiłem trochę na tych koniach, ale to nie jest interes na dłuższą metę. Pewnie, można na Argol kupić takie jak te albo inne, ale one są za delikatne na tutejsze warunki, ziemiańskiej odmiany już nie ma, więc wymyśliłem coś. Założę hodowlę - wezmę kilka tych, które przygnaliśmy, kilka tutejszych, z co najmniej drugiego pokolenia urodzonego na Arzorze i jeszcze kilka od Norbisów. Skrzyżuję je i spróbuję stworzyć nową odmianę, która będzie potrzebowała mniej wody, mniej paszy i nie padnie po całym dniu kłusowania za stadem. Ty, synu, masz rękę do zwierząt. Pojedź tam i rozejrzyj się. Gdybyś chciał zająć się tym razem ze mną, znajdziesz mnie tu na jesiennej aukcji.

Jeszcze jedna próba skruszenia muru, który Storm zbudował wokół siebie. To była już trzecia propozycja, którą otrzymał ostatnio: najpierw od Gorgola, potem od Dorta i wreszcie od Larkina. Poruszył się lekko i odparł wymijająco, jak niejednokrotnie czynił w Centrum:

- Najpierw obejrzę ziemię, Larkin. Pogadamy jesienią.

Ale do tego czasu powinien spotkać Quade'a. A może i jego syna.

Trochę, żeby uciec od własnych myśli, zgodził się pojechać wieczorem do Krzyżówki. Zostawił swoją drużynę w obozie, a sam ruszył z Lancinem i Ransfordem.

Miasto było zupełnie niepodobne do tych, które widywał. Miało około stu ziemskich lat, ale była w nim jak as surowa świeżość. Pomiędzy trwającymi tydzień aukcjami Krzyżówka Irrawady przypominała miasto-widmo, chociaż była jedyną osadą na obszarze

kilkunastu tysięcy kwadratów. Dzisiaj wrzała i tętniła życiem. Daleko odbiegała zarówno od spokojnych miasteczek, jakie Storm pamiętał z Ziemi, jak i od surowego, zdyscyplinowanego Centrum.

Ledwo zdążyli uwiązać konie, od razu trafili na zakończenie jakiegoś sporu. Dwaj mężczyźni wyciągnęli jednocześnie emitery i padli nieprzytomni na ziemię. Nieco dalej grupka ciekawskich obserwowała z zainteresowaniem dyskusję prowadzoną przez dwóch młodzieńców za pomocą pięści.

- Chłopcy się niezłe bawią, co? - roześmiał się Dort.

- Czy ktoś próbował tu kiedyś załadować emiter nabojami do rozpylacza? - spytał Storm.

- Pewnie - lodowato odparł Ransford. - Bandyci. Ale żaden facet, który tak zrobi, nie pożyje długo. Nie trzymamy z mordercami. Jeśli chłopcy chcą postrzelać z emiterów, będzie ich potem tylko cholernie bolała głowa. Jeśli chcą komuś pięścią poprawić urodę - ich sprawa. O rozpylaczach nie ma mowy!

- Kiedyś jacyś poganiacze użyli ich w jakiejś rozróbie z Norbisami - wtrącił Dort. - Wyglądało to okropnie, a zwycięzcy wylądowali w Istabu u psycholi. Pewnie, jeśli Norbis wyzwie wojownika, to walczy na śmierć i życie, ale takie są ich obyczaje, a nam nie wolno się do nich wtrącać.

Ransford skinął głową.

- Wojna plemienna to dla nich rodzaj religii. Żeby móc się ożenić albo zabrać głos na radzie szczepu, chłopak musi zostać ranny w walce. Mają ustalony system punktów, które musi zdobyć mężczyzna, zanim będzie go można wybrać wodzem - strasznie to wszystko skomplikowane. Hej, chłopie, uważaj!

Jakiś człowiek zatoczył się na Dorta, nieomal zwalając go z nóg. Lancin odepchnął go łagodnie, ale tamten obrócił się szybko, już bez zaburzeń równowagi, które prezentował przed chwilą, i wyciągnął emiter, kierując go nie w stronę zaskoczonego Dorta, ale prosto w Storma. Komandos poruszał się teraz z wyćwiczoną precyzją. Uderzył w nadgarstek przeciwnika wytrącając mu broń, zanim palec tamtego nacisnął spust. Ale napastnik nie miał zamiaru się poddać i rzucił się do przodu, gdzie trafił na cios o sile trąby powietrznej. Padł na ziemię, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, że coś się dzieje.

Storm, oddychając nieco szybciej, stał nad nieprzytomnym nieznajomym. Zastanawiał się, czy tutejsze obyczaje nakazują zająć się swym niedawnym przeciwnikiem, czy też powinien zostawić go tam, gdzie upadł. W końcu chwycił go pod pachy i z trudem przeciągnął duże, bezwładne ciało pod ścianę pobliskiego budynku. Kiedy się wyprostował,

ujrzał w mroku oddalającą się szybko ciemną sylwetkę. W świetle padającym z kafejki rozpoznał Bistera. Czyżby napastnik został nasłany przez niego? Ale dlaczego Coli Bister sam nie zmierzył się ze Stormem?

- Na Wielkie Rogi! - zachwycił się Dort. - Jak to zrobiłeś? Wyglądało, jakbyś go klepnął, a on padł jak rażony piorunem! A ty nawet nie wyciągnąłeś emitera!

- Szybko i dobrze - skomentował Ransdorf. - Komandos?

-Tak.

Ransdorf nie podzielał entuzjazmu Dorta.

- Uważaj, chłopie - ostrzegł. - Pokaż, jaki z siebie twardziel, a zaraz znajdzie się mnóstwo chętnych, żeby cię zmiękczyć. Może i nie używamy rozpylaczy, ale zbierzesz niezłe baty, jak rzucają się na ciebie całą zgrają. I nie pomogą ci twoje pięści...

- Widziałeś kiedyś, żeby chłopak szukał zaczepki? - zaprotestował Dort. - To najspokojniejszy facet w obozie! A swoją drogą, dlaczego skoczyłeś na tego typu, Storm?

- Jego oczy - odparł krótko Ziemianin. - Chciał prawdziwej walki.

- Za szybko wyciągnął emiter, Dort - przytaknął Ransdorf - i celował w niego. Rwał się do bójki. Tylko nie stawiaj się, jeśli nie musisz, Storm.

- No, zostaw go już w spokoju, Ranny. Czy on kiedyś tknął kogo palcem?

Ransdorf zachichotał.

- No, tego faceta to tknął raczej całą dłonią. Chcę go tylko ostrzec. Dziś będzie tu gorąco, a ty jesteś przybyszem, Storm. Jest tu sporo chłopaków, którzy chętnie dołożyliby nowemu.

Storm uśmiechnął się.

- Do tego jestem przyzwyczajony. Ale dzięki, Ransdorf, będę uważał. Nigdy nie biję się dla zabawy.

- No właśnie. Może byłoby lepiej, gdybyś to robił. Jeśli zostawi się ciebie w spokoju, to jesteś łagodny jak ten twój kociak. Ale nie sądzę, żeby on miał być miły dla kogoś, kto mu przypadkiem nadejrze na ogon. No i mamy Zgromadzenie. Zobaczymy, kto już jest w mieście?

Z uchylonych drzwi bił blask światła i dobiegał gwar. Budynek był jednocześnie barem, teatrem, klubem i giełdą. Można tu było spotkać najbardziej szacownych mieszkańców Krzyżówki oraz przyjezdnych, przybyłych na aukcję.

Kiedy przekroczyli próg, uderzył ich harmider, blask oraz wymieszane zapachy potraw, alkoholu, koni i spoconych ludzi. Nie było tu niczego, co mogłoby zainteresować Storma, i gdyby był sam, wróciłby do obozu. Ale Dort już przepychał się przez tłum w stronę

stołu, przy którym grano w Kor-sal-slam, żądny sprawdzenia swego szczęścia w grze, która w ciągu dwóch ostatnich lat podbiła wszystkie światy Konfederacji.

- Ransdorf! Kiedy wróciłeś?

Brunatna dłoń opadła na ramię weterana, obracając go w kierunku rozmówcy. Storm ujrzał nagle, że wokół nadgarstka o skórze równie ciemnej jak jego własna... Nie dał po sobie poznać, jak jest poruszony. Było tylko jedno miejsce, z którego mogła pochodzić ta ozdoba. Ketoh - bransoleta wojownika wykonana ze starego łuku Nawajów. Skąd wzięła się tutaj, na ręce osadnika?

Nie zdając sobie z tego sprawy, przyjął postawę obronną. Rozstawiwszy nogi balansował ciężarem ciała, podczas gdy wzrok wędrował ku twarzy nieznanego. Ten odsunął się nieco od Ransdorfa, więc Storm cofnął się pod ścianę nie chcąc być przez niego widzianym.

Twarz osadnika była równie ciemna jak jego dłonie, ogorzała od słońca i wiatru. Nie był Nawajem. Chociaż włosy miał tak samo czarne jak Storm, nie miał indiańskich rysów. Była to wyrazista, sympatyczna twarz, z szerokimi ustami, wokół których rysowały się zmarszczki spotykane u ludzi lubiących się śmiać. Spod gęstych brwi patrzyły niebieskie oczy.

Storm był na tyle blisko, że usłyszał powitanie Ransdorfa:

- Quade!

Weteran chwycił spoczywającą na jego ramieniu dłoń i potrząsnął nią serdecznie.

- Właśnie przyjechałem. Pędziłem z Portu stado Larkina. Wiesz, Brad, ma on tam kilka niezłych ogierów.

Szerokie usta tamtego rozchyliły się w uśmiechu.

- To ci nowiny, Ranny. Ale cieszymy się, że wróciłeś, chłopie, i to w dodatku w jednym kawałku. Dochodziły tu złe wieści o tym, co się tam działo pod koniec.

- Nasz oddział wyruszył za późno. Mieliśmy tylko jedną dużą bitwę i kilka potyczek. Słuchaj, Brad, chciałbym, żebyś poznał...

Storm cofnął się szybko i tłum wchodzących mężczyzn ukrył go przed wzrokiem Ransdorfa. Chociaż raz jego niski wzrost przydał się na coś.

- Dziwne... - w głosie weterana słysząc było zdumienie. - Przecież stał tu za mną. To przybysz, dobry chłopak. Pracował przy stadzie Larkina, a jak on sobie radzi z końmi! To Ziemiańcin...

- Ziemiańcin? - powtórzył Quade poważniejąc. - Ci przekłęci Xikowie! - Zaklął potem kwiecicie używając zwrotów nie znanych Stormowi. Każdy ze światów tworzył własne

przekleństwa. - Mam tylko nadzieję, że bandziory, które to zrobiły, też usmażyły się jak frytki. Ten chłopak - musimy mu pomóc. Zobaczymy... facet, który zna się na koniach to skarb. Słyszałem, że wybierasz się do Vakind...

Odeszli, ale Storm został na miejscu. Ze zdziwieniem i wstydem spostrzegł, że dłonie mu drżą. Takie spotkanie nie pasowało do jego planu. Nie potrzebował ciekawskiej widowni. Powinni stanąć naprzeciw siebie uzbrojeni w rozpylacze albo jeszcze lepiej w noże. To nie miała być jedna z tych bezkrwawych bójek, jakich był dzisiaj świadkiem, ale walka na śmierć i życie.

Miał właśnie odejść, kiedy zatrzymał go głos przypominający ryk wściekłego byka.

- Quade! - przy człowieku, który wydał ten krzyk, Brad Quade wydawał się tak wiotki jak Norbis.

- Słucham, Dumaroy - serdeczność, która chwilę przedtem dźwięczała w jego głosie, znikła bez śladu. Storm znał ten ton - oznaczał kłopoty. Nie mogąc opanować ciekawości, został na sali.

- Quade! Twój szczeniak znów wtyka nos w nie swoje sprawy. Przypilnuj gówniarza albo ktoś to zrobi za ciebie!

- Na przykład ty, co? - spytał lodowato Quade.

- Na przykład. Napadł na jednego z moich chłopców koło ran-cza pod Szczytami...

- Dumaroy! - zabrzmiało to jak trzaśnięcie biczem. W sali zaległa cisza, zebrani w niej mężczyźni otoczyli tych dwóch, jakby oczekując bójki.

- Dumaroy, twój poganiacz napadł na Norbisa i dostał to, na co zasłużył. Wiesz, do czego mogą doprowadzić spory z tubylcami. A może chcesz, żeby rzucili na ciebie klątwę noża?

- Norbisowie! - Żachnął się z obrzydzeniem Dumaroy. - Na mojej ziemi nie będę niańczył tych dzikusów. I nie pozwolę, żeby mi jacyś smarkacze udzielali rad. Jak tak ich kochacie, to grajcie sobie z nimi w łapki. Ja za te kozły nie dałbym złamanego szeląga...

- Klątwa noża...

Dumaroy wpadł mu w słowo.

- Klątwa noża, klątwa noża, a niech sobie rzucają. Ciekawe, jak długo będzie działać, kiedy moi chłopcy zrobią z nimi porządek? Te kozły zmykają, aż się za nimi kurzy, kiedy im pokazać zęby. Pewnie mają dla ciebie jakąś nazwę w tym swoim głupim języku...

Quade chwycił nagle za koszulę na piersiach tamtego.

- Słuchaj, Dumaroy - wycedził cicho. - Tutaj przestrzega się prawa i nie będziemy zachowywać się jak Rzeźnicy. Jeśli masz ochotę na wizytę Oficerów Pokoju, to na pewno cię ona nie minie!

- A ty jeśli masz zamiar wtrącać się w nie swoje sprawy, zamień emiter na rozpylacz - Dumaroy jednym szarpnięciem wyswobodził się z uchwytu Quade'a. - Sami troszczymy się o swoje interesy i nikt nie będzie wtykał w nie nosa. Jeśli nie chcesz, żebyśmy zabawili się z twoimi kozłami, każ im, żeby się trzymali od nas z daleka. I niech nie tykają zabłąkanych sztuk. A dzieciaka na twoim miejscu lepiej bym ustawił. Wściekły Norbis nie przygląda się dokładnie, komu pakuje strzałę - jego wzrok przesunął się po twarzach zebranych. - Nikt z Dorzecza nie będzie rządził Szczytami. Jak wam się nie podobają nasze metody, to trzymajcie się z daleka. Nie macie bladego pojęcia, co się dzieje w górach. Tamtejsze plemiona są zupełnie inne niż te oswojone kozły, które u was pracują. Ale te wasze dzikusy mogą się czegoś nauczyć od tamtych. Przez ostatnie pięć miesięcy zginęło mnóstwo zwierząt, a wódz Nitrów, stary Muccag, odprawiał w górach jakieś czary. Szykuje się coś większego niż wojna plemienna. Nie chcemy mieć obozów Norbisów na naszych ziemiach, kiedy to się zacznie. Jeśli macie choć trochę rozumu, zgodzicie się ze mną.

Storm nie wiedział, co o tym myśleć. Zaczęło się od osobistej sprzeczki, a skończyło wystąpieniem przeciw tubylcom. Było to równie dziwne jak postępowanie Bistera. Poczł nadciągające niebezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ 5

Ziemianin tak głęboko pograżył się w myślach, że nie zauważył, L kiedy Quade się odwrócił. Nagle zorientował się, że osadnik patrzy na ' niego. Jego niebieskie oczy spoglądały badawczo, dziwnie oczekująco t i przez chwilę wydawało się, że Brad go poznaje. Było to oczywiście L niemożliwe, nigdy się nie spotkali. Ale Quade skierował się ku niemu, l więc Storm cofnął się, przekonany, że w półmroku ulicy tamten go i nie znajdzie, jeśli on sam tego nie zechce.

Nie odszedł daleko, gdy dobiegł go ostrzegawczy krzyk. Gdyby nie ten krzyk i nie to, że napastnik chciał być trochę za szybki, mógłby już leżeć na zakurzonej drodze z długim nożem Norbisów między łopatkami. Ale były komandos żył wystarczająco długo w stałym niebezpieczeństwie, więc jeszcze raz dał powodować sobą odruchom i zanurkował na prawo, przywierając do ściany. Ktoś przemknął za nim i ledwie widoczna sylwetka wtopiła się w mrok bocznej uliczki. Przez moment tylko błysnął refleks światła na nagim ostrzu noża.

- Zranił cię?

Storm oparł dłoń na rękojeści noża. Blask padający z uchylonych drzwi oświetlał stojącego przed budynkiem Brada Quade.

- Zobaczyłem nóż - ciągnął Quade - nie trafił? Ziemianin odsunął się od ściany .

- Nie - odparł tym samym uprzejmym tonem, jakiego używał w Centrum. - Jestem winien panu wdzięczność.

- Nazywam się Brad Quade, a ty?

Storm nie mógł się zmusić do przyjęcia wyciągniętej ręki. Wszystko było nie tak i nie radził sobie z sytuacją tak bardzo różniącą się od tej, jaką wyobrażał sobie przez lata. Był zbity z tropu i musiał się stąd prędko wydostać, niezależnie od tego, ilu jeszcze zabójców czyhało na niego w zaułkach Irrawady. Czy jego nazwisko powie coś Quade'owi? Wątpił, ale nie był pewien. Z drugiej strony nie mógł skłamać. To, co miał zrobić, nie pozwalało na stosowanie małych oszustw tego typu.

- Storm. - Odparł krótko i skłonił głowę w nadziei, że tamten uzna, iż podawanie ręki nie leży w zwyczajach jego rasy. Na różnych planetach obowiązywały różne maniery, a jego akcent zdradzał przybysza.

- Jesteś z Ziemi!

Quade był zbyt szybki, ale Storm nie mógł zaprzeczyć.

-Tak.

- Quade! Hej! Brad Quade! Proszę cię... - krzyknął od drzwi jakiś człowiek. Kiedy osadnik obejrzał się, przybysza już nie było. Był pewny, że Quade nie będzie go szukał. Ostrożnie, z uwagą wypatrując możliwych pułapek i zasadzek, dotarł do stajni. Spokojnie odetchnął dopiero wtedy, gdy dosiadł konia i wyjechał z Krzyżówki, obiecując sobie omijać to miejsce w przyszłości.

Dawno temu obmyślił spotkanie z Quade'em aż do najdrobniejszego szczegółu. On, Storm, miał wybrać czas i miejsce i przedstawić zarzuty... człowiekowi zupełnie nie przystającemu do tego Brada Quade, którego poznał dzisiejszego wieczoru. Ten nie był wcale łajdakiem, jakiego sobie wyobraził.

Zresztą, rachunki z nim nie mogły być wyrównywane na ludnej ulicy przygranicznego miasta zaraz po tym, jak osadnik uratował mu życie. Chciał... musiał spotkać się z nim po swoimemu.

Storm wzdrygał się przed ciągnięciem tych rozważań. Nie wiedział, tak naprawdę, dlaczego dziś uciekł - bo przecież uciekł - przed Bradem. Przybył na Arzor tylko po to, by go spotkać. Ale spotkać kogo? Postać, którą stworzył w myślach, by usprawiedliwić swoje działania, czy człowieka, z którym się dziś zetknął? To, co robił, zaczynało być równie niezrozumiałe jak czyny Bistera...

Nie - ścisnął konia obcasami i Deszcz posłusznie poderwał się do galopu -- jego pobudki były słuszne, Quade zasługiwał na to, co miał dostać. Co z tego, jeżeli nawet jego ostrzeżenie uratowało jemu, Stormowi, życie? Przecież nie przyjechał tu, żeby mścić się za jakąś osobistą krzywdę. Nie mógł, nawet gdyby chciał, wymazać tego, co Quade winien był zmarłym.

Jednak tej nocy nie spał dobrze, a następnego dnia zgłosił się na ochotnika do pilnowania stada. Larkin zaprowadził pierwszą partię zwierząt do miasta i wrócił dopiero koło południa, zadowolony z cen, jakie uzyskał. Przyprowadził z sobą nieznanego.

Storm nigdy go przedtem nie widział, ale jego ziemisty uniform Sekcji Badawczej był mu dobrze znany. Spotykał już tych ludzi, byli jego nauczycielami w obozie szkoleniowym dla Mistrzów Zwierząt. Nie był zdziwiony, gdy Larkin skinął na niego.

- Sorenson, archeolog - przedstawił się przybysz. Mówił w języku galaktycznym lekko sepleniąc, co zdradzało, że pochodził z Lydii.

- Storm, Mistrz Zwierząt w stanie spoczynku - równie formalnie odparł Ziemianin. - W czym mogę pomóc, specjalisto Sorenson?

- Słyszałem od pana Larkina, że nie podpisał pan jeszcze żadnej umowy i nie zamierza też występować na razie o przydział gruntów. Czy zechciałby pan w takim razie wziąć udział w naszej wyprawie jako zwiadowca?

- Jestem tu nowy - powiedział Storm, chociaż propozycja go pociągała. Była tym, czego w tej chwili potrzebował. - Nie znam jeszcze terenu.

Sorenson wzruszył ramionami.

- Mam norbiskich przewodników i kwatermistrza osadnika. Larkin powiedział, że zachował pan swoją drużynę w komplecie. Wiem, co można osiągnąć z takim składem, moglibyście się przydać...

- Tak, mam drużynę - Storm skinął w kierunku swego legowiska. Rozłożyła się tam Surra, mrużąc oczy w słońcu, obok niej baraszkowały meerkaty, a Baku usadowił się na brzegu wozu.

- Kot pustylny, meerkaty, orzeł afrykański...

- Wystarczy - Sorenson rzucił zaledwie okiem na zwierzęta. - Wybieramy się na tereny pustynne. Słyszał pan o Zamkniętych Grotach? Możliwe, że znajdują się w regionie Szczytów.

- Słyszałem, że to legenda.

- Uzyskaliśmy ostatnio nieco dokładniejsze informacje. Ten obszar jest w znacznej mierze nie. naniesiony na mapy i byłby pan bardzo użyteczny. Mamy zezwolenie na polowanie.

- To chyba niezły interes, chłopie - wtrącił się Larkin. - Chciałeś pojechać w rejon Szczytów. Zapłacę ci końmi. Będiesz mógł albo sprzedać je wszystkie, albo zatrzymać ogiera i tę czarną juczną klacz, a ja wystawię na aukcji pozostałe dwa. Jak znajdziesz tam jakiś niezły teren, opalikuj go i zarejestruj po powrocie.

- Mógłby pan zresztą wynagrodzenie za pracę u mnie odebrać w państwowych bonach ziemskich - szybko dodał Sorenson. - Byłoby to bardzo przydatne, gdyby chciał się pan osiedlić na nowych terenach. Można je też wykorzystać do uzyskania zezwolenia na import.

Storm był poruszony. Czuł, że go ponaglają, a to budziło sprzeciw. Z drugiej strony wyprawa stwarzała mu okazję do opuszczenia Krzyżówki i zgubienia zarówno nożownika - kimkolwiek był - jak i Quade'a. Miałby czas na decyzję, co zrobić w sprawie tego ostatniego. No i w końcu - w Szczytach mieszkał Logan Quade, a Storm chciał się dowiedzieć o nim czegoś bliższego.

- W porządku - zgodził się i prawie natychmiast tego pożałował.

- Przykro mi, że pana poganiam, Storm - Sorenson był w tej chwili uosobieniem skutecznego działania - ale wyruszamy jutro wczesnym rankiem. Deszcze w górach nie potrwa już długo, a jesteśmy od nich uzależnieni, jeśli chodzi o wodę. To tereny zupełnie jałowe i będziemy musieli wracać z początkiem Wielkiej Suszy. Proszę przynieść swój ekwipunek, my dostarczymy resztę.

Ponad szczupłym ramieniem Sorensona Ziemianin zobaczył dwóch jeźdźców zbliżających się do wozu. Ransdorf i... Brad Quade! Przyglądali się koniom, ale wystarczyłby niewielki ruch głową, żeby osadnik zobaczył Storma.

- Gdzie się zbieramy? - spytał szybko.

- Na wschód od miasta, przy brodzie, o piątej,

- Będę tam - obiecał Storm i zwrócił się do Larkina. - Zatrzymam Deszcza i tę klacz, jak radzisz. Ustalimy cenę za pozostałe dwa, kiedy wrócę.

Facet z Sekcji odszedł, a Larkina jakby kto na sto koni wsadził.

- Miej tam oczy otwarte, synu, i wyszukaj jakiś niezły kawałek gruntu. Mówię ci, trzy, cztery lata i wyhodujemy takie źrebaki, że niech się schowają wszystkie sprowadzone z Ziemi! Ta kobyła to dzielna staruszka, jest w sam raz na ciężką podróż. Jak chcesz tu coś przechować, zostaw po prostu na wozie, przypilnuję ci tego.

Storm był zbyt spięty, by zastanawiać się nad uczynnością Larkina. Chciał stąd zniknąć, zanim Quade wyjdzie z prowizorycznego korralu. Ale niełatwo było uciec. Tym razem zatrzymał go Ransdorf.

- Storm! - głos był tak rozkazujący, że Ziemianin nie ośmielił się go zignorować. Zaczekał, aż tamten zrówna się z nim.

- Słuchaj, chłopcze. Quade powiedział mi, że w mieście wyskoczył na ciebie jakiś facet z nożem. W co wdepnąłeś?

- W nic... o czym bym wiedział. Ransdorf zmarszczył brwi.

- Próbowałem dowiedzieć się czegoś o tym poganiaczu, którego uspiłeś, ale nikt go nie zna. Jesteś pewien, że to nie był on?

- Być może. Nie widziałem twarzy, tylko sylwetkę. - Storm bardzo chciał się od niego uwolnić. Quade zsiadał z konia i z pewnością zaraz miał się do nich przyłączyć.

- Wysłałem Dorta, żeby zasięgnął języka - ciągnął Ransdorf. - Zna tu, na aukcji, prawie wszystkich. Jeżeli komuś zależy na twojej skórze, to Lancin na pewno się o tym dowie i wtedy będziemy mogli coś zrobić.

Dlaczego wszyscy wtrącali się w jego sprawy? Zapragnął nagle wyśliznąć się stąd, wezwać drużynę i wyruszyć samotnie w dżunglę. Nie pragnął troskliwości, wręcz go drażniła.

Nie prosił o nic więcej oprócz samotności i wolności wyboru. A tu byli Larkin... Ransdorf... i Dort... i nawet ten Norbis, Gorgol, wszyscy darzący go uwagą, dobrymi radami lub wspaniałymi planami na przyszłość. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego, podobnie jak nie rozumiał, czego chce od niego Bister.

- Jeśli ktokolwiek na mnie poluje - odparł starając się nie zdradzać rosnącego rozdrażnienia - nic mu z tego nie wyjdzie. Jutro rano wyjeżdżam z miasta. Zgłosiłem się jako zwiadowca na wyprawę Sekcji Badawczej.

Ransdorf odetchnął z ulgą.

- Masz głowę na karku. Możliwe, że ten napaleniec wypił po prostu za dużo i, kiedy wytrzeźwieje, nie będzie niczego pamiętał. Dokąd się wybierasz?

- Do Szczytów.

- Do Szczytów - jak echo powtórzył Quade. A potem dodał w języku, którego Storm nie spodziewał się już więcej usłyszeć. - Dokąd zmierzasz, człowieku z Dinehów?

- Nie rozumiem - odpowiedział we wspólnym języku galaktycznym.

Quade potrząsnął głową, niebieskie oczy spojrzały na Storma przenikliwie.

- Jesteś Ziemianinem - mówił teraz w zwykłym języku kosmicznych szlaków - ale jesteś też Nawajem...

- Jestem Ziemianinem, czyli człowiekiem znikąd - odparł krótko Storm. - Nie rozumiem pana.

- Myślę, że rozumiesz - sprzeciwił się Quade. W jego głosie nie było natarczywości, a tylko jakiś żal. - Usłyszałem, że zaciągnąłeś się jako zwiadowca na wyprawę w rejon Szczytów. Są tam dobre ziemie, rozejrzyj się. Mój syn ma tam posiadłość.

Spuścił oczy, ręce nerwowo skręcały ramię cugli. - Gdybyś go spotkał... - ale nie dokończył tego zdania. Zamiast tego powiedział:

- Chciałbym, żebyście się spotkali. Jesteś Ziemianinem i Navajo. No cóż, powodzenia, Storm. Jeśli byś czegoś potrzebował, możesz na mnie liczyć.

Nogę miał już w strzemieniu, wskoczył na konia i odjechał, zanim Ziemianin zdążył odpowiedzieć.

- Jeżeli spotkasz Logana - przerwał ciszę Ransdorf - mam nadzieję, że chłopak nie siedzi po uszy w kłopotach. Utrzymać go w ryzach jest równie łatwo jak stado jorisów. Quade jest facetem, z którym zawsze się dogadasz, jeśli jesteś w porządku i robisz, co do ciebie należy, a z własnym synem nie może dojść do ładu. Nikt nie wie, dlaczego. Logan ma bzika na punkcie polowań, bardzo przyjaźni się z Norbisami, ale nigdy nie zrobił niczego podłego. To uczciwy dzieciak, zupełnie jak jego stary. Ci dwaj po prostu nie mogą ze sobą

wytrzymać, najdalej po tygodniu dochodzi do awantury. Wielka szkoda, bo Quade jest bardzo dumny ze swego syna, chciałby go na współnika. Gdybyś usłyszał coś dobrego o chłopaku, powtórz Bradowi po powrocie, to dla niego ważne. Wiesz, przypadłeś mu do gustu. No, powodzenia, chłopcze. Zdaje się, że zrobiłeś dobry interes. Sekcja dobrze płaci, a ich papiery możesz potem zamienić na zezwolenie na import albo coś w tym guście.

Storm czuł się nieswojo. Nie chciał wcale słuchać o osobistych sprawach Quade'a. Po dwóch spotkaniach z wrogiem, którego sam wybrał, czuł, że stracił sporo z przewagi, której mógł potrzebować w przyszłości. Zaakceptował Quade'a-przeciwnika, ale ten drugi Quade rozbijał coraz bardziej swój troskliwie ułożony obraz. Pośpiesznie zaczął przygotowywać się do wyjazdu, szczęśliwy, że ma się czym zająć.

Surra ułożyła się na lewym boku, a meerkaty plątały mu się pod nogami szperając i węsząc, gdy Storm układał, sortował i pakował wszystko w dwa toboły. Jeden musiał zostawić Larkinowi, drugi zawierał to, co będzie mu potrzebne na szlaku. Do rozpakowania zostało jeszcze tylko jedno zawiniątko. Zostawił je na koniec, z niechęcią myśląc o rozcięciu zaszytego w innym świecie nieprzemakalnego opakowania, które przechowywało zawartość nie tkniętą przez całe dwa lata. Usiadł, oparł dłonie na paczce i zamknął oczy. Wiedział, że gdy przetnie impregnowany brezent, gdy zobaczy to, co na pewno jest w środku, będzie musiał ostatecznie uznać się za pokonanego- przyznać przed samym sobą, że nie ma powrotu.

Cóż ci obcy - tu, w obozie, albo w mieście, albo w Centrum, którzy tak mu się przyglądali przez długie miesiące, ten Komandor, który z taką niechęcią przystawił stempel na jego przepustce do wolności - co oni wszyscy wiedzieli o Duchach Przodków i o tym, jak przemawiają do człowieka? Jak mogliby zrozumieć, kim był jego dziadek, Śpiewak, znający starożytną wiedzę, stąpający po ścieżkach wiary niedostępnych innym rasom, człowiek, który widział rzeczy niewidzialne, słyszał to, czego nikt inny nie mógł usłyszeć?

Storma i świat czystych wierzeń jego dziadka, który dopiero pod przymusem oddał go na naukę do państwowej szkoły, dzieliła kurtyna wiedzy białego człowieka. Jako dziecko przyjmował tę wiedzę w całości, nie potrafiąc oddzielić ziarna od plew. Dopiero później zdał sobie sprawę z tego, że może wybierać z niej to, co zaakceptuje. A potem było już niemal za późno, odszedł bardzo daleko od źródeł wewnętrznej siły swoich braci. Dwukrotnie odwiedzał rodzinne strony, raz jako chłopiec i raz jako młodzieniec, zanim opuścił Ziemię udając się na misję. Ale między nim a nauczaniem Na-Ta-Hay'a zawsze stała przeszkoda, którą stanowiły nowoczesne poglądy wnuka, budzące opór starca graniczący z wrogością. Niewiele więc udało mu się ocalić z przeszłości. Coś się jednak uratowało, bo śpiewał teraz w

myślach stare pieśni, coś na wpół zapomnianego poruszało go, kiedy wiał wiatr od gór, a usta układały się w słowa, które nie miały już nigdy zabrzmieć na świecie, z którego pochodził.

Storm powoli przeciął gruby materiał. Musiał temu stawić czoła. I Odwinął brezent, Ho i Hing przypadły do niego zaciekawione dziwnymi zapachami unoszącymi się z zawiniątka. Bo pakunek zawierał również zapachy - tego się nie spodziewał. Szorstka wełna |pledu drapała go w palce. Patrzył na znany wzór: czerwone, białe u niebiesko-czarne pasy, na których rozrzucone były zębate, koncentryczne motywy. I ten zapach uwięziony w ciasno złożonych fałdach, zapach hoganu - owiec, pustyni, kurzu i piasku. Storm wciągnął go, rozpamiętując, głęboko do płuc.

Wytrząsnął derkę i, tak jak się spodziewał, ujrzał błysk medalu. Naszyjnik z niebieskozielonych turkusów, ketoh - bransoleta i oksydowanego srebra i pas concha - wszystkie ozdoby wojownika pinehów były arcydziełami sztuki kowalskiej. Te zabytkowe przedmioty - widział je już kiedyś - wykonane brnatnymi palcami, były dziełem artystów jego narodu.

Przypuszczenia Storma okazały się słuszne. Dziadek wiedział. Przewidywał własną śmierć, a może śmierć swojego świata i nie tylko przebaczył wnukowi, który wybrał drogę obcych, ale przekazał mu dziedzictwo swojej kultury, starając się przedłużyć jej trwanie w tym ostatnim przedstawicielu wymarłej rasy.

Wydało mu się nagle, że słyszy starą pieśń, śpiewaną kiedyś dla dodania sił wojownikom.

Wstąp na drogę Zabójcy Potworów,

Wzuj mokasyny tego, który wabi napiętą cięciwą,

Wzuj mokasyny tego, który wabi wrogów na śmierć.

Zawartości ostatniej paczki Storm nie zamierzał zostawić Larkinowi. Podniósł ozdoby, przez chwilę ważył je w dłoniach, potem założył naszyjnik chowając pod koszulę. Bransoleta objęła nadgarstek, a pas zniknął w torbie podróżnej.

Podniósł się. Złożony pled przerzucił przez ramię. Nigdy nie nosił derki wodza, ale teraz jej miękki ciężar wprowadził go w ciepły, rodzinny nastrój. Poczul więź łączącą gdzieś, w innym świecie, zapomniane dłonie, które utkały ten materiał, z nim uciekinierem, na zawsze już bezdomnym.

Na zawsze! Storm zwrócił się twarzą ku wschodowi, ku górskim łańcuchom. Rzucił kapelusz, wystawiając głowę na uderzenia wiatru wiejącego od szczytów i ruszył mu naprzeciw przez noc rozświetloną dwoma małymi księżycami wschodzącymi nad

wyniosłością terenu. Usiadł krzyżując nogi. Dinehowie byli zawsze wierni swej ziemi. W przeszłości woleli raczej głodować niż opuścić góry, pustynie, świat, który znali.

Nie powinien wspominać! Nie wolno mu! Dłonie zacisnęły się w pięści i uderzyły w kolana. Ale ten ból był śmieszny w porównaniu z bólem budzącym się w jego duszy. Był odcięty... wygnany... a dopóki nie dokona tego, po co tu przybył, będzie również przeklęty. Mimo to, wahanie, zrodzone niedawno, ciągle trwało. Bezwiednie powrócił do starodawnych wierzeń. Gdzieś musiał utracić swoją moc, moc wojownika. Nie może wystąpić przeciw Quade'owi, dopóki znowu nie będzie całością, dopóki nie odzyska swej siły.

Nie wiedział, jak długo tak siedział. Na liliowym niebie pojawiły się pomarańczowoczerwone zorze. Nie była to codzienna obietnica dawana Ziemi przez Słońce, ale nawet ten obcy wschód przyniósł ze sobą uspokojenie i uczucie, że podjął właściwą decyzję.

Storm stanął na wprost jarzących się barw i uniósł w górę najpierw nóż, potem emiter - broń wojownika, aby pobłogosławiło je wstające słońce.

Skierował je ku życiodajnemu ognisku, płonącemu na niebie, a potem ku ziemi, z której niegdyś Dalecy Bogowie ulepili człowieka. Nie był Śpiewakiem, nie miał prawa wzywać tych sił. Zresztą, tak daleko od ziemi Dinehów Bogowie nie mogli go słyszeć. Ale w głębi serca Storm wierzył, że mogą i słyszą.

Piękno jest wokół...

Ten kroczy w pięknie...

Dobro jest wokół...

Ten kroczy w pięknie...

Być może, pomylił słowa, być może, źle zrobił usiłując zastąpić Śpiewaka. Ale sądził, że Duchy Przodków zrozumieją.

ROZDZIAŁ 6

Wiatr, który sprowadził Storma na pagórek, zamarł wkrótce. Surra, łagodnie mrucząc, otarła się o jego nogę i podsunęła głowę pod dłoń. Usłyszał głosy meerkatów. Nad nimi, na tle budzącego się nieba widoczna była ciemna sylwetka orła witającego nowy dzień. Storm odetchnął głęboko. Uczucie zagubienia i osamotnienia opuściło go, kiedy wrócił do obozu.

Przyglądając się Sorensonowi, szybko doszedł do wniosku, że człowiek ten jest równie dobrym organizatorem jak Larkin. Było ich tam niewielu - Sorenson, Mac Foyle, który kierował załadunkiem, i trzech Norbisów. Pomiędzy nimi Storm dostrzegł Gorgola. Ziemianin podniósł dłoń na znak pozdrowienia.

Foyle patrzył ze zdziwieniem na siedzące na grzbiecie klaczy meerkaty i na przymocowaną do pakunków poprzeczkę dla Baku. Tylko Surra, która bez trudu mogła dorównać kroku obciążonym koniom, miała podróżować na własnych nogach.

- Dziwni jeźdźcy - Foyle zatrzymał Storma. - Co to za zwierzaki, chłopie? Małpy? Słyszałem o nich, ale ich nigdy nie widziałem.

- Meerkaty - wyjaśnił Storm.

- Z ziemi, co? - Foyle sprawdził uprzęż, patrząc z uznaniem na objuczoną klacz, a potem przyprowadził swojego wierzchowca. Wyglądają na niegłupie. Co potrafią?

- Przede wszystkim kopać. Widzisz, jakie mają pazury? Jak trzeba, to mogą strasznie nakurzyć. Przynoszą też wszystko, co im się spodoba. Takie małe złodziejzki.

Pstryknął na nie palcami. Zwierzęta spojrzały do tyłu, nie zamierzając się ruszyć.

- Słyszałem w mieście o tobie i twoich zwierzętach. Nazywasz się Storm, prawda? Słyszałem, jak załatwiłeś tego poganiacza od Goriunda. Chłopcy mówili, że go tylko stuknąłeś w głowę.

- A, to taka sztuczka komandosów - uśmiechnął się Storm. - Facet, chciał się po prostu przeciągnąć, tyle że zrobił to trochę za mocno i nie w tę stronę, co trzeba...

Foyle zmierzył go wzrokiem.

- Założę się, że chłopaki mieli rację. Ostry z ciebie facet. Duży nie jesteś, ale właśnie tacy potrafią narobić kłopotu. Szkoda, że nie widziałem tej zadymy!

Foyle szarpnął powróż pierwszego konia i zwierzę posłusznie zrobiło krok do tyłu.

Ruszyli z boczem w dół w kierunku rzeki. Surra stanęła na (brzegu prychając ze wstrętem na widok wody. Storm uspokoił ją i rzucił jej koniec powroza, który chwyciła w zęby. Wszyscy razem, z kotem płynącym obok koni, przebyli rzekę i dotarli do równiny, nad którą górowały szczyty sięgające lawendowego nieba.

Sorenson znał się nie tylko na organizacji wyprawy. Potrafił też ją dowodzić. Wkrótce okazało się, że już po raz trzeci wyrusza na (poszukiwanie Zamkniętych Grot.

- Prawdziwym problemem jest woda - wyjaśniał. - Można się tam udać na wiosnę albo jesienią na zaledwie cztery tygodnie, potem trzeba zmykać. Gdyby się chciało zostać dłużej, trzeba by wieźć wodę i żywność na koniach, a to jest nie do zrobienia. Poza tym | moi przełożeni nie chcieliby nawet słyszeć o czymś tak kosztownym. Przed Wojną trafił nam się dobry sezon. W Krabyaolo, na skraju regionu Szczytów rozpoczęliśmy wykopaliska i znaleźliśmy rzeźbę, która narobiła sporo zamieszania w pewnych kręgach. Dlatego władze dają nam, od czasu do czasu, jakieś psie pieniądze na te wycieczki. Gdybym znalazł coś naprawdę ważnego, może zdecydowałiby się założyć stały obóz badawczy. Słyszałem, że tam, dokąd tym razem jedziemy, jest łatwiej o wodę...

- Ta rzeźba, którą znaleźliście... Dlaczego jest taka ważna?

- Widział pan kiedyś jakieś znalezisko z Lo Sak Ki? - odpowiedział pytaniem Sorenson.

- Nie, chyba nie...

- To unikatowe rzeźby odnalezione w prowincji Lo Sal na Trzeciej Altara. Ich bardzo skomplikowane zdobnictwo dowodzi długiego rozwoju sztuki. Ta ornamentyka powstała na Altarze. A rzeźba, którą znaleźliśmy, powtarza co najmniej dwa podstawowe motywy z Lo Sak Ki.

- Nie sądzę, żeby można było wymyślić bardzo wiele różnych wzorów - zastanawiał się głośno Storm. - Około dwóch tysięcy planet, na których tworzy się sztukę. Dwadzieścia pięć pozaludzkich ras o wysokiej inteligencji. I te wszystkie wymarłe cywilizacje, które odkryliśmy w kosmosie. Chyba ornamenty mogą się powtarzać bez wzajemnych powiązań kulturowych.

- Dostyc logiczne. Ale niech pan spojrzy - Sorenson wskazał ketoh na ręce Ziemianina.

- To, jak sądzę, pochodzi z Ziemi, może być wytworem jakiejś mniej znanej kultury plemiennej, być może miało znaczenie obrzędowe.

- Wykonano to z łuku używanego przez moje plemię w czasach, gdy byli to jeszcze pustynni nomadzi.

- A czy ci ludzie byli narodem dominującym na Ziemi, gdy jeszcze istniały odrębne narody? Storm zaśmiał się.

- Sądzę, że tak o sobie myśleli, ale byli w błędzie. Władali małym skrawkiem kontynentu przez kilka lat. Nie, nie byli rasą panującą. Ich kraj został zdobyty przez ludzi o

białej skórze, reprezentujących cywilizację techniczną i uważających moich ziomków za dzikusów.

- Wynika z tego, że taka bransoleta nie była przedmiotem powszechnie znanym i noszonym na Ziemi?

-Nie.

- No więc, co by pan pomyślał, gdyby powiedzmy na... Gdzie pan służył w czasie wojny, Storm?

- Na Lev, na Angol...

- Lev? W porządku. Załóżmy więc, że będąc na Lev przeszukuje pan jakieś rumowisko i znajduje tam duplikat pańskiej bransoletki. Oczywiście, ostatnio nie zawitał tam żaden galaktyczny oddział i żaden współczesny Ziemianin nie mógł jej tam zostawić. Co by pan wtedy pomyślał?

- No cóż, albo przywieźli ją skądś Levici, albo jednak był tam Ziemianin.

- No dobrze. A co, jeśli wszystkie okoliczności dowodzą, że ta bransoleta znalazła się na Lev jeszcze przed erą lotów kosmicznych na Ziemi?

- Albo loty kosmiczne na Ziemi zaczęły się wcześniej, niż sądzimy, albo Ziemia była odwiedzana wtedy przez przybyszów z innych planet.

- A widzi pan - Sorenson żywo kiwnął głową. - Instynktownie upiera się pan przy tezie, że pańska bransoleta pochodzi z Ziemi. Ani razu nie wysunął pan koncepcji, że obcy mogli przypadkowo stworzyć taki sam wzór.

Storm znowu roześmiał się z uznaniem.

- Dobry przykład. Może to wszystko przez patriotyzm lokalny.

- A może rację ma pański instynkt i podróże kosmiczne zaczęły się wcześniej, niż sądzimy. Tak, czy inaczej, mamy tu podobny problem. Motyw charakterystyczny dla niewielkiego obszaru Trzeciej Altara zostaje odnaleziony na drugim końcu galaktyki w ruinach związanych przez legendy z jakąś obcą rasą. Czy nie możemy więc przypuścić, że to inna cywilizacja wędrowała po gwiazdnych szlakach, zanim weszły na nie ziemskie statki? Jeżeli tak było, to dlaczego nie natknęliśmy się na jej przedstawicieli lub ich spadkobierców? Co było końcem ich imperium czy konfederacji? Wojna? Dekadencja? Zaraza? Być może, odpowiedź jest ukryta w Zamkniętych Grotach, tylko czy je odnajdziemy.

- Sądzi pan, że tym razem ruszamy w dobrym kierunku?

- Mało tego, mamy przewodnika, który twierdzi, że odnalazł przynajmniej jedną grootę. Będzie na nas czekał w Dolinie Kręconych Rogów. Większość Norbisów unika tych terenów, ale czarownicy udają się tam czasem w celach obrzędowych. To miejsce ma dla nich

znaczenie religijne. Wojownicy przed walką też czasem odprawiają tam czary. Wierzą, że ten ceremoniał podwaja siły walczącego, a wroga dwukrotnie osłabia. Młodzieńcy, którzy chcą zostać wojownikami, także wędrują do Szczytów. Dlatego przyłączył się do nas Gorgol. A Bokatan, nasz przewodnik, jest czarownikiem. Już trzykrotnie wyprawiał się w tę okolicę i wierzy, że Ludzie z Zamkniętych Grot chcą powrócić, ale bramy muszą otworzyć im przybysze. Dlatego nasza wyprawa ma jego błogosławieństwo.

- A czy jego władza wystarczy, żeby uwierzyli w to inni Norbisowie? - zapytał Storm
- Jeśli nie, to możemy mieć kłopoty.

- Myślę, że jest dosyć potężny. Prawo zabraniało zawsze przybyszom prac archeologicznych. Nie wolno także cywilizować tubylców, chyba że sami o to wystąpią. Nie możemy wchodzić na ich i terytoria, jeśli nie zostaliśmy zaproszeni. Musiałem spełnić wiele warunków, zanim uzyskałem zezwolenie i mogłem wypytać Bokatana o Groty. Na terenach Norbisów mieszka kilku licencjonowanych myśliwych polujących na jorisy. Od nich i od osadników, którzy zatrudniają Norbisów, musimy dowiedzieć się jak najwięcej o ich obyczajach. A wysoko w górach mieszkają szczepy, które nigdy nie zetknęły się z przybyszami. Ich sposób życia może być zupełnie różny od tego, [który udało nam się poznać...

- Nie można zamieszkać w obozie Norbisów bez rządowego zezwolenia?

- O, myślę, że takie przypadki się zdarzają, ale zaproszenie musi wyjść od szczepu.

Storm spoglądał na góry. Dopełni warunków kontraktu, a potem... Kto mu zabroni uwolnić się i ruszyć na południe? Tylko jemu i jego drużynie? Nauczyli się, jak przetrwać w trudniejszych warunkach...

W drodze Storm coraz bardziej oswajał się z obowiązkami zwiadowcy i coraz lepiej czuł się w tym dzikim otoczeniu. Ćwiczył zapamiętane mowę palców. Oprócz Gorgola, pomagali mu w tym też inni Norbisowie. Kilkakrotnie poniósł klęskę próbując nauczyć się porozumiewać z nimi głosem. Naśladownictwo świergotu wydawało się ranić ich uszy.

Chociaż nie mogli się porozumiewać inaczej niż za pomocą gestów, Norbisowie przyjęli go jak nikogo innego ze składu ekspedycji. Mógł obejrzeć ich broń - stwierdził, że nie jest w stanie napiąć łuku dorosłego wojownika. Łuk Gorgola był lżejszy, a kiedy udało mu się ustrzelić z niego zwierzę podobne do jelenia, tubylec ceremonialnie wręczył mu broń i kołczan z pięcioma strzałami o grotach lśniących tak, jakby były zrobione z drogich kamieni.

- Strzały wojownika... - sygnalizował Gorgol - po zanurzeniu we krwi człowieka nie strzelać drugi raz... Ty wojownik... możesz ich użyć...

Chłopak namawiał Storma, żeby - tutejszym zwyczajem - wytatuował sobie szkarłatną wstęgę wokół blizny na ramieniu, tłumacząc, że każdy wojownik byłby dumny, gdyby mógł pochwalić się przy ognisku taką oznaką bohaterstwa.

Zwykle Storm i Gorgol jeździli w jednym patrolu z Baku, kręcącym koła w górze, i Surrą, która biegła przed nimi zygzakiem osłaniając oba skrzydła. Meerkaty jechały w skórzanych torbach i na każdym postoju wybierały się na poszukiwania, z których wracały na każde wezwanie Storma, najczęściej z jakimś łupem. Ten ich zwyczaj był niewyczerpanym źródłem uciechy dla wszystkich. Każdego wieczoru proszono Storma, by opróżnił torby i pokazał, jakie to skarby tym razem Ho i Iling uznały za warte przechowania.

Dwa razy były to rzeczy interesujące. Raz przyniosły kamień-oko: dziwny kryształ znajdujący czasem w łożysku wyschniętej rzeki. Miał kształt miodowej kropli z czerwoną smugą biegnącą przez środek niczym kocia źrenica. W ciemności zmieniał kolor: złoty na szary, a czerwony na żółtawy.

Drugie trofeum, znalezione dziesiątego dnia podróży, poruszyło tubylców. Było to ostrze strzały. Inne niż używane przez zwiadowców, było zrobione z mlecznobiałego kryształu, pokryte haczykami. Groty myśliwskie Norbisów wykonane były z zielonozłotego kamienia, wojenne z przejrzystoniebieskiego. Ponieważ tubylcy nie wzięliby do ręki zdobyczy meerkatów, Storm podniósł ją, a Dagotag, przywódca Norbisów, dokładnie obejrzał znalezisko. Wciągnął głęboko powietrze, co oznaczało, że ma coś ważnego do powiedzenia, i zaczął błyskawicznie poruszać palcami.

- To Nitra... Ludzie-z-Gór... Wojownik... to strzała wojownika... zabija obcych...

- Oni wasi wrogowie? - zapytał Storm.

- Nasi wrogowie... - skinął głową Dagotag. - My naród Sho-sonna. Może być wasi wrogowie, ludzie z daleka. Nitra nie widzieć ludzi z daleka... Prawa ręka wielki łup...

- Nitra jedzą MIĘSO? - Sorenson uczynił znak zabroniony poza pewnymi szczególnymi sytuacjami i podkreślił go spluwając rytualnie trzy razy w ognisko.

- Nie! - migły palce Dagota. - Biorą łup... zawieszają w domu czarownika. Nie jedzą MIĘSA. Tylko źli ludzie to robią. Nitra... wojownicy... nie źli, co słuchają czarnych duchów nocy...

- Ale mogą na nas napaść?

- Tak... jeśli nas wytropią. Ale ten grot... może stary... z innego roku... Tylko trzeba uważać.

Każdy z Norbisów wyciągnął ze swych juków troskliwie owinięty pęk strzał wojennych i umieścił pięć z nich w kołczanie obok myśliwskich.

- Jeżeli rzeczywiście będziemy tropieni, na pewno się o tym dowiemy. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakieś stworzenie zakradło ; się niezauważone przez Surre - odezwał się Storm. Podrzucił grot ;w powietrze i chwycił. Kruche haczyki miały niewątpliwie pozostawać w ranie. Była to broń równie okrutna jak rozpylacz. Gdzie Ho ją znalazł i jak długo tam leżała? - były to istotne pytania. Czy rzeczywiście była tylko pamiątką po jakiejś odległej potyczce, czy też wyrzucono ją dzisiaj, bo była złamana?

- Wysłał kota na wartę pewien, że żadnemu Nitrze nie uda się go ominąć. Baku miał jutro lustrować obszar nad nimi. Nie zagrażał im niespodziewany atak, ale pozostawała możliwość zasadzki, łatwej do urządzenia w tej okolicy. Droga wiodła przez wąwozy i wąskie przeczę, po krętych ścieżkach, po których nierzadko trzeba było konia przeprowadzać, a im dalej w góry, tym miało być gorzej. Nie dziwił się, że nikt bez ważnego powodu nie zapuszczał się w tę okolicę.

Kiedy Sorenson i Mac usnęli, Storm wyciągnął własny łuk i strzały. Ognisko jeszcze nie zgasło i przez chwilę patrzył, jak groty połyskują w jego blasku. Potem, jedną po drugiej, przykładał je do nadgarstka przyciskając tak, aby kropla krwi spłynęła na ostrze. Kiedy już wszystkie były naznaczone, strząsnął krew na ziemię. Dlaczego zrobił to teraz? Jakie duchy miały przyjąć ten dar?...

- Dlaczego to robisz? - zadała pytanie szczupła dłoń. Nie wiedział, jaki znak określa powodzenie lub szczęście, więc wyjaśnił niezgrabnie używając znanych mu słów:

- Daję krew... strzała leci prosto,... wróg upada... krew za dobrą strzałę...

- To prawda! Ty człowiek z daleka, ale myślisz jak Norbis. Może być, dusza Norbisa... odleciała daleko... chciała wrócić... weszła w dziecko z daleka... Teraz wróciła. Tak. Tak. - Żółtoczerwone palce dotknęły ramienia Storma. - Tu... na zewnątrz... ty człowiek z daleka... W środku ty Norbis, co wrócił do domu!

- Może... - Storm zgodził się, nie chcąc urazić chłopca.

- Zamknięci będą wiedzieć. Oni też przybyli z daleka. Gorgol przemówił z pewnością człowieka znającego tajemniczy, legendarny naród. Storm zapytał:

- Gorgol zna Zamkniętych?

Była to cała historia. Gorgol trzy sezony temu, jeśli dobrze go zrozumiał, opuścił plemię udając się na swą męską wyprawę, by udowodnić, że jako samotny myśliwy godzien jest miana mężczyzny. Zgodnie z obyczajem, musiał albo stoczyć walkę z przedstawicielem wrogiego plemienia, jeśli udałoby mu się na takiego natknąć, albo upolować bez niczyjej pomocy jedno z czterech niebezpiecznych zwierząt. Ponieważ jego „człowiek ze środka” wyznaczył mu we śnie takie zadanie, Gorgol udał się w góry, mniej więcej tą samą drogą,

którą zmierzała teraz ekspedycja. Tam znalazł trop „złego lotnika” - wielkiego ptaka, którym Norbisowie brzydzili się z powodu jego obyczajów, ale szanowali za waleczność. Nie mogąc liczyć na lepsze trofeum, Gorgol przez pięć dni tropił zwierzę aż do jego gniazda wysoko w górach. Ale przy pierwszym strzale był zbyt podekscytowany i tylko je zranił. Wtedy ptak zaatakował i na zboczu góry stoczyli walkę, którą zakończyła dopiero pułapka zastawiona przez Gorgola w dolinie. W ostatecznej utarczce został raniony, ale nie było to nic poważnego. Wyciągnął nogę do ognia pokazując Stormowi nieregularną, siną bliznę.

Osłabiony raną musiał jakiś czas pozostać w dolinie. Szczęśliwie, trwała jeszcze pora deszczowa i z góry spływały strumyki.

Tam właśnie natknął się na zamurowane wejście do jaskini oraz kilka przedmiotów wykonanych przez istoty rozumne, które nie były Norbisami ani osadnikami. Nie ruszał ich, nie chcąc rozgniewać Zamkniętych. Ale był pewien, że trafił do drzwi Grot.

- Oni, Zamknięci... dobrzy dla tych, którzy przestrzegają ich praw. Nauczyli Gorgola, jak zabić złego lotnika... Zesłali wodę do picia, gdy był chory. Stare opowieści mówią, że dawno, dawno temu Zamknięci byli dobrzy dla Norbisów... Gorgol też tak mówi. Może umarłby tam, gdyby nie ich czary. Ich czary wielkie... - palce rozpostarły się. - Dużo robią... Śpią schowani przed słońcem, ale dużo robią...

- Mógłbyś odnaleźć tę okolicę?

- Tak. Ale nie pójdę tam, dopóki nie pozwolą. Szedłem za ptakiem. Zamknięci wiedzieli, że nie chciałem im przeszkadzać. Przebaczyli. Pójdiesz ich obudzić, mogą być źli. Muszą wezwać... wtedy pójdziemy.

Chłopiec mówił z przekonaniem i Storm to uszanował. Każdy ma prawo do swoich wierzeń. To, co usłyszał, potwierdzało historię Sorensona. Bokatan zgodził się ich prowadzić, bo wierzył, że chcą tego Zamknięci. A, że zmierzali w okolicę, w której polował Gorgol, była szansa, że jednak znajdą tajemnicze Groty.

ROZDZIAŁ 7

Słońce ogrzewało ramiona Storma leżącego na skale z lornetką przy oczach. Zrzucił widoczną z daleka koszulkę z frawniej wełny. Jego skóra była najlepszym strojem maskującym, miała dokładnie kolor otaczających skał.

Dalsza droga wyprawy musiała przebiegać przez wąską przełęcz pomiędzy stromymi ścianami - idealne miejsce na zasadzkę. Powinni przejść ją nocą, ale nie chcieli ryzykować upadku w przepaść. Dotychczas, za radą Storma, zatrzymywali się wczesnym popołudniem, paśli konie i sami się posilali, a potem, w godzinę po zachodzie słońca, ruszali dalej i zakładali nocny obóz o wiele dalej, niż mógł się spodziewać ewentualny szpieg. Czy taki prosty podstęp mógł zmylić doświadczonych tropicieli, to była inna sprawa.

Storm był pewien, że ktoś ich obserwuje. Nie miał na to żadnych dowodów oprócz czujnego niepokoju swoich zwierząt. Wiedział, że na pewno ostrzegą go, gdyby miał nastąpić jakiś atak. Właśnie Baku nadleciał z krzykiem, płosząc stado stepowych kur. Ktoś przejeżdżał przez przełęcz: samotny Norbis na koniu w biało-czerwone plamy, z białą gwiazdą na czole. Jeżeli nadjeżdżający nie był Bokatanem, to w każdym razie dosiadał jego wierzchowca, którego Storm znał z opisu. Nie było to niemożliwe, więc Indianin pozostał na miejscu, z łukiem gotowym do strzału.

Rozległo się przeciągłe pohukiwanie i zza skały wynurzył się Dagotag, aby powitać czarownika. W końcu mieli obiecane przewodniki.

Przed zmrokiem przekroczyli niewidzialną granicę zaklętej krainy i rozbili obóz nad wezbranym strumieniem. Woda była ruda od mułu, niosła wyrwane z korzeniami krzaki, a nawet małe drzewa. Sorenson przyglądał się jej zatroskany.

- Co za dużo to niezdrowo. Deszcze są nam potrzebne, ale z drugiej strony fala powodziowa w takim wąwozie może nas splukać w kilka sekund. Jutro będziemy jechać wzdłuż strumienia tak długo, jak się da, żeby poić konie. Miejmy nadzieję, że poziom wody nie będzie się podnosił...

Następnego dnia przed południem woda opadła, ale Bokatan i tak skręcił w bok od rzeki w kierunku czegoś, co wszystkich zaintrygowało. Nie mieli wątpliwości, że zostało stworzone przez istotę rozumną. Był to czarny pas o trójkątnym przekroju, zakręcający pod kątem prostym i biegnący na północ i wschód. Storm zmierzył go orientacyjnie: był szeroki na trzydzieści centymetrów, z ostrym brzegiem wystającym na kilka centymetrów nad ziemię. W dotyku nie przypominał ani skały, ani metalu, nóż nie zostawiał na nim śladu. Pod palcami

sprawił wrażenie nieco tłustego, ale ani piasek, ani liście do niego nie przywierały. Surra nie chciała go dotknąć. Podejrzliwie obwąchała brzeg, po czym kichnęła i potrząsnęła łbem, dając wyraz swej niechęci. Pozostawało tajemnicą, do czego mógł służyć.

- Jak tor kolejowy - stwierdził Mac i pogał pierwszego konia, ale zwierzę też starało się trzymać z dala od czarnej krawędzi.

Sorenson zatrzymał się, żeby zrobić hologramy, chociaż Bokatan poganiał grupę.

- W górę - mówiły palce. - W górę, musimy przejść przez dziurę w ziemi przed zachodem słońca. Wtedy zobaczycie Dolinę Zamkniętych.

Ściany wąwozu były tak wysokie, że słońce nie dochodziło do jego dna i jechali wzdłuż pasa w gęstniejącym cieniu.

Wąwóz Śmierci. Pomimo nowoczesnego wykształcenia, jakie odebrał, to stare wierzenie jego narodu prześladowało Storma. Człowiek, który dotknął zmarłego lub jego własności, który mieszkał pod dachem, pod który weszła śmierć, był nieczysty, przeklęty. Czarny pas był jakby nicią uprzedzoną przez zmarłych, by wciągnąć innych do domu śmierci. Zamrugnął i szczerzej otulił się derką. Pozostał nieco w tyle szukając w sakiewce przedmiotu, który zrobił w trakcie postoju.

Nachylił się, nie zsiadając z konia. W ręce trzymał kawałek drewna ozdobiony na końcu dwoma piórami Baku. Wyciął go według pradawnego obyczaju używając jednej ze swych wojennych strzał, a teraz wycelował ten pocisk w tajemniczy tor - jeżeli to był tor. Modlitewna strzałka utkwiała w jakiejś niewidocznej szczelinie i pozostała prosta z triumfalnie wzniesionymi piórami. Czary przeciw czarom.

Storm cmoknął na konia i Deszcz dołączył do reszty w chwili, kiedy kolejny zakręt doprowadził do tego, co Bokatan nazwał dziurą w ziemi.

Gdyby po drugiej stronie nie widać było słonecznego światła, Storm nie zgodziłby się wejść do tunelu. Jego otwór wyglądał jak otwarte usta, otaczały go wystające kawałki substancji identycznej jak ta, z której zbudowany był czarny pas. Do czego miały służyć, trudno było powiedzieć, ale wyglądały jak rząd zębów, gotowych zamknąć się za zuchwalcem. Ziemianin zazdrościł teraz Baku umiejętności latania.

Chociaż tunel był krótki i otwarty na obu końcach, powietrze w nim było stęchłe. Surra przebiegła pędem, a konie pogały za nią i wypadli znów w słoneczny blask. Znajdował i się na końcu obszernej doliny.

- Połamiemy tu nogi, jak nic! - krzyknął Mac. Miał zupełną rację. Przed nimi rozciągało się rumowisko zwalonych bloków czarnej substancji porośnięte gąszczem pnączy. Sorenson zsiadł z konia.

- Jakiś budynek... może bunkier... - sięgał już po aparat holograficzny, ale Bokatan wyjechał na czoło, poganiając:

- Do doliny teraz... noc tutaj... źle...

Sorenson zgodził się niechętnie. Storm był już na ziemi i owinąwszy cugle wokół ręki pomagał Macowi przy jucznych koniach. Norbisowie rozproszyli się w poszukiwaniu najłatwiejszej drogi w tym labiryncie. Przeciskając się wąską ścieżką, Indianin stwierdził, że to doskonała pułapka, nie do przebycia po zmroku.

- Chciałbym wiedzieć, co tu się stało. - Mac przepychał się ciągnąc za sobą siwka, pierwszego z jucznych koni. - Wygląda, jakby ktoś tu bawił się dynamitem, co?

Sfcorm rozejrzał się, po raz pierwszy patrząc na rumowisko nie tylko jako na przeszkodę. Uwaga Maca była trafna. Takie gruzy mogły być skutkiem trzęsienia ziemi, a nie po prostu upływu czasu. Jeśli nie brać pod uwagę żywiołu, to w grę wchodziła tylko wojna. Ale o tej sagi tubylców milczały.

- Tak, jakiś wybuch... - Mac gramolił się naprzód - albo może solidna powódź.

- Lub powodzie. - To był Sorenson, który zrównał się z nimi, gdy stanęli, by dać odpocząć koniom. - Spójrzcie tutaj.

Wskazał linie na ścianie będące śladami po wysokich poziomach wody.

- Sądzi pan, że tunel stanowi odpływ? - zaryzykował Storm.

- Jeżeli nawet nie był tak pomyślany, na pewno jest nim teraz. I to od wielu lat. Według Bokatana, w dolinie jest duże jezioro. Kilka ulew i woda musi szukać ujścia.

Pół mili przedzierali się przez ruiny, po czym weszli w łożysko rzeki, za którym rozpościerał się stromy stok. Czarny tor szedł prosto i ginął pod ziemią. Wdrapawszy się na stromiznę ujrzeli, że stoją na krawędzi tamy zamykającej brązowe, spokojne wody wielkiego jeziora. Po jego drugiej stronie dolina ciągnęła się dalej. Z wody wystawały zarośnięte hałdy głazów. Resztki miasta?

Sorenson westchnął, zdjął kapelusz i wytarł zakurzone i spocone czoło.

- Może i nie znajdziemy Grot - powiedział wolno - ale coś znaleźliśmy. Naprzód, chłopcy, rozbijamy obóz. Przed zmrokiem chcę zrobić tyle zdjęć, ile się da!

Rozłożyli się obozem na wysepce. Storm rozpylał na ziemi płyn przeciw owadom. Zauważył, że wszyscy tubylcy rozłożyli swoje skórzane śpiwory blisko ognia.

Mac przyglądał się rumowiskom.

- Jeśli chcemy kopać, to wybór jest duży. Tylko, że będziemy to chyba robić sami. Norbisowie nie wezmą się za to.

- Podczas tej wyprawy zdążymy tylko sporządzić mapę - przyłączył się do nich Sorenson. - No, może założymy jedno czy dwa próbne stanowiska. Przydałyby się jakieś drobiazgi, żeby zrobić wrażenie na dyrekcji. Ale jeżeli to miejsce jest tym, na co wygląda, to trzeba będzie stałego obozu i tuzina lat, żeby je do końca opracować. Bokatan - zwrócił się do przewodnika - ta woda - sygnalizował - znika w czasie Wielkiej Suszy czy zostaje?

Norbis rozłożył z zakłopotaniem ręce.

- Bokatan przychodzi tylko w porze deszczowej... nie widzi, jak sucho. Ale woda duża... nie myślę, że wysycha.

- Jestem skłonny w to uwierzyć - radośnie stwierdził Sorenson. - To znaczy, że będzie można tu pracować przez cały rok.

. - Jeśli wody nie będzie za dużo - zaproponował Storm. - Sądząc ze śladów, w czasie powodzi wszystko to jest zalane.

Archeolog nie dał się zbić z tropu.

- Jeśli to będzie konieczne, rozbijemy obóz w północnej części doliny. Dno wznosi się tam dość wysoko. Z pewnością woda nie przykrywa wszystkiego. Zresztą, w ubiegłym miesiącu opady były spore, a widzi pan, jakie jest jezioro.

Miał okazję sprawdzić swoje przewidywania jeszcze tej nocy. Rozpadało się tak, jak w drodze do Krzyżówki. Pozostawanie na wysepce było ryzykowne, więc w pośpiechu wyruszyli w kierunku wyżej położonego, nie znanego, północnego krańca doliny.

Ulewa odsunęła niebezpieczeństwo ataku wojowników Nitra, ale Norbisowie wyglądali na zaniepokojonych. Woda i wojna stanowiły dar od Ciskających-Gromy, ale dolina nie była bezpiecznym miejscem. Trzech tubylców pojechało na poszukiwanie miejsca na obóz, które leżałoby powyżej starych śladów wody. Storm i Mac prowadzili juczne konie pod górę, jak najdalej od jeziora, Sorenson zaś ruszył z Bokatanem w stronę Grot. Archeolog był zdecydowany zobaczyć jak najwięcej, na wypadek, gdyby musieli się wycofać z doliny.

Zwykle posłuszne konie tym razem zachowywały się dziwnie. Storm żałował, że nie może użyć Surry jako dodatkowego poganiacza, ale kot zniknął na samym początku ulewy. Na pewno znalazła sobie gdzieś suche schronienie. Od wczoraj nie widział też orła.

Prawie wszystkie konie wspięły się już na urwisko, kiedy usłyszał podniecony krzyk Maca. Sądząc, że towarzysz znalazł dobre miejsce na obóz, Storm pognął ostatniego z koni, własną klacz.

Wtedy świat wokół niego wybuchł. Storm był w swoim życiu pod ostrzałem, widział nalot dywanowy na umocnionego przeciwnika, ale to szaleństwo nie było wytworem człowieka - tym razem swój miecz obnażyła natura.

Deszcz jeszcze się nasilił, okrył go duszącą zasłoną. Nie mógł dojrzeć nawet oczu, głowy czy ubłoconej grzywy swojego konia. Strumienie wody zatykały dech w piersiach, biły o ciało. Strzępiasta, purpurowa błyskawica. Ogłuszający grzmot. Ogier rżał, starał się uwolnić, oszalały z przerażenia. Nagle rzucił się do przodu przez ścianę wody, jeździec przywarł do szyi wierzchowca łapiąc z trudem powietrze.

Nadal było ciemno, ale już nie czuł deszczu, słyszał tylko jego łoskot. Błyskawica znowu przecięła niebo. W jej świetle Storm zobaczył, jak w górze, ponad nimi, potężny nawis obrywa się i leci w dół. Oszołomiony, zeskoczył z konia, upadł na kolana, czuł jak masy błota spadają mu na plecy, przygniatają do ziemi. Stracił przytomność.

Otworzył oczy. Wokół panowała przerażająca, absolutna ciemność i cisza. Próbował się poruszyć. Był przywalony ziemią, ale udało mu się dźwignąć górną część ciała. Nic chyba nie było złamane. Bolało go całe ciało, ale mógł poruszać rękami i nogami wygrzebując się z błota. Usiłował przypomnieć sobie, co się działo w ostatnich chwilach, zanim świat się zapadł.

Zawołał. Odpowiedziało mu płaczliwe, przerażone rzenie. Jeszcze raz zawołał w ciemność, łagodnie uspokajając zwierzę w języku, którego używał rozmawiając z nim od pierwszego spotkania. Mówiąc, nadal rozkopywał ziemię więżącą mu nogi, aż wreszcie mógł powstać. Spróbował zbadać otoczenie wyciągniętymi rękami. Przypomniał sobie o latarce przy pasie. Nacisnął guzik i snop światła wydobyl z mroku skalną ścianę, przy której stał. W bok i wokół miejsca, w którym się znajdował, panowała nieprzenikniona ciemność, która równie dobrze mogła być wnętrzem jaskini, jak otchłanią. Wreszcie ujrzał konia. Chrapy przerażonego zwierzęcia pokryte były pianą. Storm pogładził spoconą szyję. Zdał sobie sprawę, że powietrze, podobnie jak w tunelu, jest tu zatechłe, martwe. Z każdym oddechem czuł rosnące mdłości i pragnienie, by rzucić się i przebić jakoś na zewnątrz, daleko od tego miejsca. Z trudem się opanował.

Po prawej miał drugą skalną ścianę, a za plecami zwały mokrej ziemi, które go uwięziły. Spod nich sączyły się wolno w jego kierunku strumyczki wody, tworząc w zagłębieniach małe jezioro. Nagle ziemia obsunęła się nieco i tuż pod sklepieniem błysnęło przyćmione światło, skrawek metalicznej szarości, który mógł być niebem.

Storm wyłączył latarkę, jeszcze raz przemówił do konia i zaczął się wspinać. Bardzo ostrożnie, po kilka centymetrów, by nie spowodować obsunięcia się ziemi, dotarł w końcu do otworu i z wdzięcznością wciągnął do płuc pachnące deszczem powietrze. Ziemia była miękka i z łatwością samymi rękami poszerzył okienko.

Trafił na skałę, którą musiał ostrożnie odsunąć. Dziwił się przy tym własnemu szczęściu, które uchroniło go wraz z koniem przed takimi pociskami.. Uczucie to nasiliło się, gdy trafił na jeszcze większy głaz, tkwiący w otworze niczym korek w szyjce butelki. Zaczął rozkopywać ziemię wokół tej skały starając się wypchnąć ją na zewnątrz. Od czasu do czasu sprawdzał przeciek spod zwałów ziemi - wzrastał, ale powoli. Czy strumień lub jezioro wylały? Nie pamiętał, w którą stronę uciekał Deszcz...

Wielka gruda mokrej ziemi i splątanych korzeni runęła na zewnątrz i Storm dostał się pod strumienie deszczu. Przyjemna wilgoć zmywała z ciała błoto i stęchliznę jego pułapki.

Przecisnąwszy się, wychylił na zewnątrz głowę i ramiona. Widoczność ograniczał deszcz, ale to, co zobaczył, było i tak przerażające. Ziemia, na której leżał, była teraz brzegiem jeziora, które pokrywało całą widoczną przestrzeń. Na jego wzburzonej, smaganej strugami deszczu powierzchni dryfowały wyrwane z korzeniami drzewa, a tuż pod nim leżało ciało jego czarnej klaczy, przygwożdżone do brzegu przez wielki głaz, który zmiażdżył jej głowę i przednie nogi.

Na kruchej wyspie jej ciała kulił się mały, futrzasty kłębek, czepiający się rozpaczliwie juków. Storm ściągnął pas, odpiął nóż i emiter i rzucił jeden z końców w kierunku zwierzaka. Za trzecim razem pas wylądował na ciele martwego konia i meerkat wspiął się zwinnie do rąk swego pana.

Była to Hing. Na ile mógł się zorientować, zwierzęciu nic się nie stało. Wolał nie zastanawiać się, co spotkało jej przyjaciela, bo torba w której podróżował Ho, musiała być teraz przygnieciona ciałem klaczy.

Meerkat przylgnął do Storma i skomląc żałośnie opowiadał o swym nieszczęściu. Ziemianin oczyścił futro zwierzaka z błota, zaniósł go do jaskini i owinął derką. Potem wrócił do otworu.

Rozkopywać go dalej było teraz niebezpiecznie. Mógłby doprowadzić do tego, że wody jeziora zatopiłyby ich schronienie. Trzeba poczekać do rana, wtedy, być może, przestanie padać. Przecież nie może tak lać przez cały czas.

Szarość dnia przeszła w czerń bezgwiazdnej nocy. Storm siedział oparty o ścianę z Hing skuloną na piersi. Wyglądał jakiegoś światła na zewnątrz, znaku, że ktoś jeszcze się uratował, że nie jest jedynym człowiekiem, który przeżył tę powódź. Daremnie.

Musiał w końcu zasnąć, bo kiedy podniósł głowę, ujrzał słaby blask słońca. Hing siedziała obok, zajęta toaletą, biadoląc nad żalonym stanem swojego zwykle dobrze utrzymanego futra i patrząc nań z niemal ludzkim niesmakiem.

A zewnątrz wody opadły, odsłaniając szczątki swych ofiar. Coś koloru ziemi, o wstrętnym, zębatym czubku uctowało na klaczy. Storm krzyknął i odpędził stworzenie rzucając w nie grudę ziemi. Padlinożerca umknął, a głos Ziemianina odbił się dziwnym echem od skał. Zawołał jeszcze raz, czekając na odpowiedź. Choć powtarzał to wielokrotnie, nikt się nie odezwał. Wrócił więc do pracy i poszerzył otwór na tyle, żeby się wydostać na zewnątrz. Ześliznął się w dół i zatrzymał przy martwym koniu.

ROZDZIAŁ 8

Ocaliwszy swój bagaż, Storm schował go w jaskini i postawił Hing na straży ostatnich zapasów. Meerkat nie był stworzeniem walecznym, ale potrafił odstraszyć małych padlinożerców, takich jak spotkany rano. Powziąwszy takie środki ostrożności Storm wyruszył na poszukiwania, pomagając sobie na śliskich zboczach wyciągniętym z wody kijem. Dwukrotnie spłoszył uczujące na zwłokach zwierzęta i dwukrotnie z biciem serca biegł sprawdzić, czym się posilały. Raz był to koń Sorensona, a drugi z maltretowane stworzonko, które pewnie porwał wezbrany strumień.

Od czasu do czasu zatrzymywał się, wołał, gwizdał na Baku, ale odpowiedź nie nadchodziła.

Słońce stało wysoko i szybko osuszało teren. Mógł już brnąć brzegiem jeziora. Ciemne wody pokrywały teraz pięć szóstych doliny, w tym cały niższy kraniec, przez który tu się dostali. Nie znalazł żadnych śladów świadczących, by ktoś przeżył, żadnego dymu, żadnej odpowiedzi na ponawiane wołanie.

Rumowiska były w większości przykryte wodą, tylko kilka wystawało ponad powierzchnię. Na dwóch zobaczył jakiś ruch, schroniły się tam małe zwierzaki zamieszkujące trawiaste połacie doliny. Już miał zawracać do jaskini, gdy usłyszał łopot potężnych skrzydeł i na czystym niebie ujrzął czarną sylwetkę Baku. Gwizdnął i orzeł zanurkował ku niemu. Zatrzymał się w powietrzu, bijąc skrzydłami nad głową pana. Oznaczało to, że Storm ma pójść za nim. Ale droga, jaką wskazywał ptak, wiodła wprost przez jezioro.

Storm nie ufał ciemnej toni pełnej dryfujących resztek i wybrał szlak wzdłuż brzegu. Chociaż sprawdzał grunt kijem, czasem zapadał się aż po uda. Baku przysiadł na jednym z rumowisk, które przed powodzią znajdowało się znacznie powyżej jeziora, w suchej części doliny. Storm zawołał. Orzeł krzyknął w odpowiedzi, ale nie ruszył się z miejsca. Kij Storma trafił na głębię - jeśli chciał dostać się na wysepkę, musiał tam przepłynąć. Ostrożnie zanurzył się i zaczął płynąć w błotnistej, cuchnącej cieczy, starając się omijać unoszące się w niej szczątki.

Wreszcie wyczuł dno, wyszedł z wody i wspiął się na szczyt. Spodziewał się, że znajdzie tam jakieś ofiary powodzi. Zobaczył pole bitwy. Leżeli trzej: Sorenson, Bokatan i Dagotag. Każdy przeszyty wojenną strzałą, każdy bez prawej ręki. Wyglądało na to, że zginęli. dzisiejszego ranka, kiedy on usiłował wydostać się z jaskini.

Lęk przed zmarłymi, właściwy od wieków jego rasie, walczył w nim z pragnieniem poznania prawdy i koniecznością oddania towarzyszom ostatniej posługi. Storm ruszył pomału w kierunku zwłok. Kątem oka spostrzegł nagle jakiś ruch. Płowy, splamiony krwią łeb uniósł się lekko i Indianin jednym susem znalazł się przy boku pustynnego kota.

Surra jęknęła. Poszarpana rana na głowie wyglądała okropnie, ale okazała się, na szczęście, niegroźna. Napastnicy myśleli pewnie, że kot jest martwy. Storm nie po raz pierwszy żałował, że jego zwierzęta nie potrafią mówić. Mógł tylko domyślać się, co tu zaszło.

Przypuszczał, że Sorenson został wraz z Norbisami odcięty przez powódź i wszyscy schronili się na tym wzniesieniu, które było najwyższe w okolicy. Zaatakowani zostali później, już po burzy. Napastnicy splądrowali potem dokładnie obóz, zniknęła cała broń.

Wyciągnął osobisty zestaw pierwszej pomocy i zabrał się do opatrywania rany Surry. Poddawała się temu cierpliwie, pojękując tylko od czasu do czasu. Pracował najwolniej, jak potrafił, starając się nie myśleć o zajęciu, które go czekało. Ale kiedy rana była już opatrzona, musiał się do niego zabrać. Nie mogąc opanować dreszczy wyprostował skrzycone ciało Sorensona i ułożył obok niego Norbisów. Nie miał czym wykopać grobu, więc usypał nad nimi kopczyk z ziemi i kamieni, pracując z zawziętym uporem w łaźni parowej, w jaką zamieniło wysepkę słońce.

Surra odezwała się. Podniósłszy głowę zobaczył, że usiłuje stanąć na nogach. Baku przeżył, Surra też, w jaskini czekały Hing i Deszcz. Nie znał się na zwyczajach wojennych Norbisów, ale nie sądził, żeby Nitra - jeśli to oni byli napastnikami - pozostawiali nadal w dolinie. Mogli z powodzeniem uważać, że pozbyli się już wszystkich członków wyprawy badawczej.

Musi przenieść Surrę do północnej, wyżej położonej, części doliny. To znaczy, że będzie musiał użyć konia. Przemówił łagodnie do kota, przekazując mu jednocześnie myślowy obraz tego, że pójdzie, ale wróci niedługo.

Wody szybko opadały, więc w drodze powrotnej musiał przepłynąć tylko kilka metrów. Wróciwszy do jaskini ujrzał, że Hing zajęła się już poszerzaniem wyjścia, być może, w poszukiwaniu jadalnych korzeni. Zrobienie przejścia dla konia było tylko kwestią paru chwil.

Deszcz pokłusował w dół, napił się wody, a potem rzucił łapczywie na nasiąkła trawę.

Prowadząc za sobą ogiera z zapasami i Hing na grzbiecie, Storm dotarł w poblizze pagórka. Z cofających się wód wynurzył się płacheć wypłukanego żwiru pod ścianą wąwozu.

Postanowił, że tam rozbije tymczasowy obóz. Zostawił bagaż pilnowany przez Baku i Hing i zaczął brnąć w kierunku rumowiska.

Deszcz od początku zaakceptował Surre jako towarzyszkę, ale czy zgodzi się na kota-jeźdźca? Storm, dosiadłszy konia, powodował nim przemawiając łagodnie. W końcu, gdy wierzchowiec stał spokojnie u stóp wzniesienia, przywołał Surre, Chwiejnie podeszła do brzegu i skoczyła, ciężko lądując na grzbiecie konia. Ku zdziwieniu Ziemianina, ogier nie usiłował pozbyć się podwójnego obciążenia. Ruszyli z powrotem, Surre ułożona niezgrabnie przed Stormem.

Kiedy już dotarli na miejsce, zrobił przegląd zapasów. Przed opuszczeniem Krzyżówki ograniczył swój osobisty ekwipunek do rzeczy zupełnie niezbędnych, licząc na zapasy żywnościowe przygotowane przez Sorensona. To, co udało mu się uratować, było więc zaledwie cząstką tego, czego będą potrzebować, zanim dotrą do jakiejś samotnej posiadłości lub obozu pasterskiego. Miał emiter, łuk i nóż. Miał żelazną rację żywności, którą już napoczął. Miał śpiwór, derkę z Ziemi, zestaw pierwszej pomocy, latarkę, prymus z trzema zapasowymi nabojami i manierkę z oczyszczoną wodą. Będzie musiał gotować wodę, chemiczne oczyszczacze przepadły razem z resztą zapasów. Dawał już sobie jednak radę w gorszych warunkach, a i zwierzęta potrafiły zadbać o siebie.

Była tu przecież jakaś fauna - przerośnięty kuzyn królika, zamieszkujący skały, którego upolowali po drodze, stworzenie podobne do jelenia, które ustrzelił z łuku, stepowe kury, chociaż tych trzeba sporo, żeby zaspokoić głód. Ale wszystkie zwierzęta na Arzorze wędrowały wraz z wodą, będą więc musieli dotrzeć do nadrzecznych równin przed Wielką Suszą.

Storm siedział ze skrzyżowanymi nogami przy pośłaniu Surre. Hing wcisnęła pyszczek w koszulę pana mruczając smutno do siebie. Hę znaleźli nawet torby, w której jeździł Ho, i zwierzak bardzo tęsknił za przyjacielem. Ziemianin gładził szorstkie futro przyglądając zalanemu wodą, południowemu krańcowi doliny. Na wydostanie przez tunel musieliby jeszcze długo czekać.

Storm zdjął Hing z kolan i sięgnął po lornetkę. Omiótł jeszcze raz wzrokiem okolicę. Coś było nie tak, chociaż trudno mu było sprecyzować swoje wrażenie. Wydawało mu się, że przedtem wyglądało tu jakoś inaczej. Przyjrzał się wysokim ścianom. Sprawny wspinacz mógł się tamtędy przedostać, ale nie było mowy o przeprowadzeniu konia. Jeżeli na północy nie było jakiegoś przejścia, to tunel pozostawał jedyną drogą na zewnątrz. A iść na północ znaczyło zapuszczać się dalej w nie zbadane tereny.

Samotność nie była dla niego niczym nowym. Przez całe dotychczasowe życie przeszedł sam. Łatwiej zresztą znosił wyprawy ze swoimi zwierzętami, niż pobyt w takim ludzkim mrowisku, jakim było Centrum. Ale w tej dolinie było coś, z czym nie spotkał się przedtem, nawet na obcych, opanowanych przez wroga planetach, gdzie żył w ciągłym niebezpieczeństwie. To coś tkwiło w rumowiskach, skalnych ścianach i nie był nawet specjalnie zaskoczony, że na pagórku znalazł tylko trupy. To miejsce przyciągało śmierć. Wszystkie zmysły, całe jego ciało pragnęło wydostać się stąd. Gdyby nie Surra, która nie zniosłaby takiej podróży, wyruszyliby natychmiast.

Postanowił rozpalic ognisko. Nie tylko, żeby wysuszyć przemoknięte rzeczy i ogrzać się w czasie chłodnej, przesiąkniętej wilgocią nocy. Ogień był pierwszą, najstarszą bronią przeciwko nieznanemu. Zaczął coś mówić, potem słowa zamieniły się w pieśń, starą pieśń, która chroniła przed czymś, co czyha w mroku. Słowa, których nie mógł pamiętać, teraz przychodziły łatwo, układając się w kojący rytm.

Nagle Baku, siedzący wysoko na skale poruszył się. Surra podniosła głowę i zastrzygła uszami. Storm sięgnął po emiter. Plecy oparł o ścianę, z prawej strony chronił go wysoki głaz. Drugą ręką wyciągnął nóż. Atak musiał być bezpośredni. Gdyby to był łucznik, już zaczęłby strzelać.

- Eruoooo...! - zawołanie odbiło się echem. Słyszał je już nie raz i nie potrafił powtórzyć. Storm, nie tracąc czujności, z palcem na spuście emitera, patrzył na zbliżającą się postać, ledwie widoczną w gęstniejącym mroku. Gorgol dotarł do nich i opadł na skraj posłania Surry. Prawe ramię przyciskał do piersi, lewa ręka sygnalizowała z trudnością.

- Wróg... po powodzi... zabili... wszyscy martwi.

- Tak jest - odpowiedział Storm. - Pozwól obejrzeć ranę, wojownik. - Oparł chłopca o głaz i zbadał pospiesznie ranę, światło dnia słabło z minuty na minutę. Na szczęście, na ile mógł się zorientować, była czysta, zaden ze zdradzieckich haczyków nie pozostał w ciele. Przemysł ją resztkami czystej wody i obwiązał. Gorgol westchnął i przyknuął oczy. Storm wyjął blok skoncentrowanej żywności, odłamał kawałek i włożył w zdrową rękę Norbisa.

Kiedy tubylec znowu otworzył oczy, Storm zadał najważniejsze pytanie:

- Nitra odeszli? Czy dalej są tutaj?

- Nie Nitra - Gorgol zdecydowanie potrząsnął głową. - Nie Nitra zabijali... nie Norbisowie...

Storm przysiadł na piętach lustrując upstrzone mrowiskami pustkowie. Przez moment z jego niejasnych obaw wysnuło się przerażające przypuszczenie: ludzie z Zamkniętych Grot? Może jakieś wrogie siły, które pozostawili tu na straży? Skrzywił się. Ludzie na wzgórzu

zostali zabici strzałami, rana, którą przed chwilą opatrzył, pochodziła od tej samej broni. Przesady walczyły w nim z rzeczowym podejściem.

- Nie Norbisowie?

- Nie Norbisowie, nie Nitra... -jednak dobrze odczytał znaki tubylca. Chłopiec sztywno poruszył prawym ramieniem i nadał obiema rękami: - Przyszli ludzie z daleka... jak ty!

Ale strzały? Rytualne okaleczenie zwłok...?

- Widziałeś ich?

- Widziałem... na górze... woda wysoko, wysoko! Ludzie przyszli po deszczu... mieli to - wskazał puklerz ze skóry jorisa - jak Norbisowe... mieli łuki... jak Norbisowie... ale nie Norbisowie. Myślę, Rzeźnicy z Gór... kradną konie... kradną frawny... zabijają... mówią, że to Norbisowie. Znaczą trupy jak Norbisowie. Strzelali... Gorgol padł jak martwy... ale najpierw zabił jednego! - Oczy mu zabłyśły - Gorgol teraz wojownik! Ale za dużo... - rozpostarł palce, żeby pokazać liczebność wrogów.

- Rzeźnicy z Gór! - powtórzył głośno Storm, a Gorgol musiał odgadnąć znaczenie słów, bo potwierdził z przekonaniem.

- Są jeszcze tutaj?

- Nie jest tak. Oni odeszli - wskazał na północ. - Myślę, że tam mieszkają. Nie chcą, żeby poznać ich kryjówkę... więc zabijają.

No cóż, jeszcze jeden powód, żeby nie szukać wyjścia na północy. Palce Gorgola mówiły dalej.

- Mają jeźdźca... on związany... może chcą zabić, żeby karmić złe duchy - zawahał się i dodał przerażający znak, który Storm po raz pierwszy ujrzał w wykonaniu Sorensona: - MIĘSO.

Indianin słyszał, że niektóre plemiona Norbisów dla uczczenia lub przebłagania demonów, ceremonialnie pożerały swych jeńców. Większość szczepów uważała te praktyki za ohydne i toczyła nie kończącą się wojnę z kanibalami. W umyśle Norbisa pojęcie zła było tak ściśle związane z MIĘSEM, że wysunięcie takiego przypuszczenia było dla Gorgola czymś oczywistym.

- Nie jest tak - sprostował Ziemianin. - Rzeźnicy nie jedzą więźniów. Ten jeniec był z równin?

- Poganiacz - przytaknął Gorgol.

- Są blisko osadnicy? Możemy ich znaleźć... powiedziec o złych ludziach... że zabili...

Gorgol spojrział na południe.

- Wiele słońc do góry... na dół... zanim dojdziemy tędy do osadników. Może być przejdziemy. Ale nie po ciemku... Nie znam terenu... Nitra na wzgórzach. Człowiek stąpa cicho, szybko, bardzo ostrożny... - zmierzył Storma wzrokiem w sposób, którego przybysz nie rozumiał.

- Zgadzam się - powiedział i zasygnalizował Storm.

Zapadł zmrok. Otulił Gorgola własnym ściworem, a sam skulił się na trawie obok Surry, usypiając, jak wielokroć przedtem, z pełnym zaufaniem, że nadzwyczajny słuch kota wychwyci każdy szmer.

Prawie świtało, gdy obudził go jej słaby sygnał. Oprzytomniał od razu, umiejętność tę posiadał już tak dawno, że nie zdawał sobie nawet z niej sprawy. Cokolwiek to było, wywołało tylko zaciekawienie kota. Nadstawił uszu, ale słyszał tylko ciężki oddech Gorgola, stuknięcie podkowy swego konia i nagle... jakiś stukot, tak cichy, że sam nie zwróciłby na niego uwagi.

W szarówce można było już odróżnić kształty. Odbezpieczył emiter. Wycelował, kiedy był pewien, że ciemna plama nie jest koniem. Kontur o przyciężkim łbie mógł należeć tylko do jednego zwierzęcia na Arzorze, a mięso tego zwierzęcia bardzo by się im teraz przydało. Minutę później sprawiał już ciało rocznego, dobrze wypasionego frawna. Ale co robiło to zwierzę w takiej dziczcy? Frawny trzymały się w stadach, zamieszkiwały równiny i w normalnych warunkach nie spotykało się ich ani pojedynczo, ani w górach.

Przykucnęli przy ognisku, które Storm odważył się rozpaścić, zbudowawszy przedtem osłonę z kamieni. Kawały mięsa nadziali na zastrzone kijki i Norbis pilnował, aby się równo przyrumieniły.

- Kradziony - odparł na wątpliwości Storma. - Żli ludzie chowają frawny w kryjówkach... może tego zgubili po drodze... może burza rozpędziła stado...

Storm w zamyśleniu przyglądał się pieczeni. Z wszystkimi tymi kradzieżami frawnów i koni wiązał się jeden problem. Co, u licha, złodzieje zamierzali zrobić z łupem. Rynkiem zbytu były inne planety, a w jedynym porcie kosmicznym, wszystkie ładowane zwierzęta księgowano, wymagano dokumentów kupna i zezwolenia na eksport. Osadnicy pierwsi wykryliby nowego, który nie potrafiłby wytłumaczyć swego stanu posiadania. Jaki więc był sens kradzieży mięsa bez szans jego sprzedaży?

- Po co im mięso... nie sprzedadzą... - Wiedział, że bystry chłopak nadaża za jego tokiem myślenia.

- Może nie sprzedają... duży kraj. Zabierają frawny daleko... konie też. Norbisowie wiedzą, gdzie kryjówki. Norbisowie zabierają konie z ukrytych miejsc. Hurol... z naszego szczepu zabrał tak trzy konie ostatniej suszy. On wielki myśliwy... wojownik...

A więc Norbisowie odwiedzali kryjówki Rzeźników. No tak, takie zajęcie mogło odpowiadać charakterowi tubylców. Ale nadal nie wiedział, jaki zysk chcieli osiągnąć Rzeźnicy? Niezbędny byłby ukryty port kosmiczny dla nielegalnego załadunku. Ukryty port kosmiczny! Zesztywniał z szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami utkwionymi w ognisku. Surra, odbierając ten stan, warknęła cicho. Były przecież takie porty. Jeden z nich sam odkrył i naprowadził na niego galaktyczną grupę operacyjną. Za jego pomocą pozbawiono planetę dostaw żywności. Odezwała się w nim żyłka myśliwego.

Wojna się skończyła - oficjalnie. Spędził ten okropny rok w Centrum, żeby udowodnić, że jest o tym przekonany. Ale załóżmy - tylko załóżmy - że jego szalona hipoteza była prawdziwa! Miałby wtedy jeszcze jedną szansę wzięcia odwetu na mordercach jego świata. Zaczął cichutko mrużyć. W tej chwili sprawa Quade'a była bardzo, bardzo daleko, prawie o niej zapomniał. Gdyby miał słuszność! O Dalecy Bogowie, pozwólcie, żeby miał słuszność!

Obrócił się do Gorgola, obserwującego go uważnie kocimi oczami.

- Ci Rzeźnicy... mają konie?

- Jest tak - padła odpowiedź.

- No to, jak Hurol, sprawdźmy, czy te konie nas uniosą! Cienkie wargi Gorgola rozciągnęły się w norbiskim półuśmiechu.

- To dobrze słyszę. Oni zabili naszą krew i za to musi być zabieranie rąk...

W tej chwili Storm zdał sobie sprawę, jak niewiele brakowało do zerwania ich przyjaźni. Gdyby, tak jak planował początkowo, pojechał na południe, pogwałciłby zwyczaj nakazujący pomszczenie zabitych. W porównaniu ze zbrodnią, którą podejrzewał, była to drobnostka, ale dobrze było mieć jeszcze ten jeden argument przeciw wyrzutom sumienia przypominającego o nie dokończonej historii z Quade'em.

ROZDZIAŁ 9

Chciał wyruszyć jak najszybciej, ale chciał również, żeby Surra odpoczęła jeszcze choć dzień, zanim będzie musiała sprostać trudom podróży. Rana Gorgola też wymagała troski. Postanowił więc najpierw sam wyruszyć na południe, żeby zobaczyć, czy nie czają się tam czasem ludzie Nitra. Sprawdził, jak miewają się jego pacjenci i zaczął przygotowania do wyprawy. Wymieszał czerwoną ziemię i sproszkowane, kredowe kamyki z tłuszczem frawna otrzymując rodzaj farby, którą namalował na twarzy i tułowiu różnorodne plamy i linie. Barwy wojenne czy kamuflaż? - jego dzieło było i jednym, i drugim.

Gorgol przyglądał mu się z prawdziwym zainteresowaniem.

- To czary wojownika?

Ziemiańin spojrział na pasy na swojej piersi i uśmiechnął się, ale nie zmieniło to upiornego wyrazu jego pomalowanej twarzy.

- Tak, czary wojownika... czary mojego ludu... Pod wpływem impulsu założył naszyjnik i zdobiony pas wojenny. Zastanowił się, co z bronią. Sam mógł używać łuku, ale Gorgol, ze swoją raną, nie. Nie mógł zostawić chłopca tylko z jego długim nożem. Odczepił pochwę z emiterem. Wiedział o głęboko zakorzenionym wśród tubylców uprzedzeniu do używania czyjejs broni. Wierzyli oni, że między wojownikiem a jego orężem istnieje jakaś mistyczna więź. Ale była też możliwość zrobienia podarunku, przy którym magia broni pozostawała nienaruszona. Nie wiedział, jak taka ceremonia ma wyglądać, więc zawierzył intuicji. Tak, jak pierwszego dnia ekspedycji, podniósł emiter ku niebu, potem skierował ku ziemi, wreszcie podał Gorgolowi pokazując jednocześnie, że jest to dar.

Pionowe źrenice chłopca rozszerzyły się, ale nie dotknął obezwładniacza. Była to broń przywożona z innych planet i dla Norbisów bardzo kosztowna, rzadko ją więc kupowali, zwłaszcza, że trudno było o zapasowe magazynki. Ale czasem zdarzało się, że przybysz ofiarował ją tubylcowi. Był to wielki zaszczyt.

- Naciskasz tutaj... celujesz tak... - Storm powoli wyjaśniał zasady obsługi, chociaż wiedział, że Gorgol pracował z osadnikami wystarczająco długo, żeby się w nich orientować. Młodzieniec skinął głową i wyprostował się z dumą, kiedy Ziemiańin przypasał mu ten nowy oręż.

Miał już zarzucić kołczan na ramię, gdy chłopak zatrzymał go gestem. Jedną ręką wyjął połowę swoich strzał myśliwskich i podał Stormowi. Strzały wojenne były uświęcone i nie można ich było przekazywać, bo mogłyby zawieść w potrzebie. Wyposażony, w barwach

wojennych, znowu prawdziwy Nawaj, Storm opuścił obóz w towarzystwie szybującego w górze Baku.

Z wody, nadal błotnistej, unosił się nieprzyjemny zapach. Jeżeli nie dawało się inaczej, brnął przez płycizny, ale starał się obejść jezioro, nie ryzykując kąpieli. W mulistej cieczy unosiły się wzdęte ciała zwierząt. Nie znalazł jednak śladów ani koni, ani Maca i czwartego Norbisa, ani zapasów. Jeżeli jakieś wierzchowce przeżyły, na pewno zabrali je napastnicy.

Zbliżając się do południowego krańca doliny, zatrzymywał się co jakiś czas, lustrując teren przez lornetkę. Wreszcie zobaczył, że kształt wzgórz rzeczywiście uległ zmianie. Ale dopiero, kiedy przedostał się przez ścianę pozlepianych błotem głazów, poznał całą prawdę.

Tunel zniknął. Zasypany go zwały ziemi, które usunąć mógł chyba buldożer, chociaż takiego pewnie na Arzorze nie było. Być może, człowiekowi udałoby się wspiąć na górę, choć groziło to ponownym obsunięciem ziemi, ale nie było mowy o przeprowadzeniu tędy konia. Ktoś lub coś odcięło im łatwy odwrót.

Jakąś godzinę później Gorgol przyjął tę wiadomość obojętnie. Wyraźnie nie robiło na nim wrażenia, że z nich wszystkich tylko Baku mógł się stąd bez kłopotu wydostać. On chciał pójść na północ. Ziemianin obiecał mu, że następnego dnia zostawią Surrę z koniem i zapasami w obozie, a sami sprawdzą drogę, którą przeszedł zabłąkany frawn. Jeżeli zwierzę mogło dostać się do doliny, to mógł tamtędy przejść także koń.

Storm miał się za niezłego tropiciela, ale Gorgol potrafił nieomal odczytywać ślady ze skał. Poprowadził ich do szczeliny, gdzie w wysychającym błocie widać było odcisk kopyta. Szczelina była z początku dość wąska i pięła się pod górę, ale nadawała się do przejścia. Doszli nią do ścieżki, gdzie między skałami Gorgol znalazł mały woreczek obszyty frawnią wełną z pachnącymi ziołami.

- Ludzie z daleka żują... sprowadza wielkie sny... - podał znaleźisko Stormowi, który powąchał je ostrożnie. Zapach nie był nieprzyjemny, ale zupełnie nieznanym. Sądził, że może to być klucz do odkrycia tożsamości bandytów.

- Czy to rośnie na Arzorze? - spytał.

- Nie jest tak. Czarownik znalazł trochę w obozie Rzeźników. Głowa się trzęsie... dużo snów... złe. To rzecz duchów...nie jest dobra.

Storm wetknął woreczek za pas. Był to niewątpliwie jakiś narkotyk, być może silniej działający na tubylców niż na przybyszów, którzy go przywieźli.

- Tędy... z końmi...

Pas ziemi był zdeptyany końskimi kopytami, widać to było wyraźnie, pomimo że później przeszło tędy w przeciwnym kierunku stado frawnów. Wszystkie konie były podkute, co dowodziło, że nie należały do Norbisów. Po drugiej stronie drogi znaleźli przyczynę, dla której frawn zapuścił się samotnie w dolinę. Leżało tam inne, zabite przez jorisa zwierzę, objedzone do kości. Ale jaszczur szybko zapłacił za swą zdobycz. Leżał obok - żółtawy, dokładnie oskórowany korpus, wydany na pastwę padlinożerców.

Gorgol, skradając się od skały do skały, dotarł do zwłok. Pomimo unieruchomionego ramienia był równie zwinny jak zawsze. Kiedy Storm dołączył do niego, chłopak wskazał na głowę gada. Widok poruszył Ziemianina. Nie dlatego, że brakowało całej górnej części czaszki, ale dlatego, że znał tylko jeden rodzaj broni, który mógł zadać taką ranę. Po wojnie absolutnie zabroniono jej użytkowania.

- „Tasak”! - szepnął. Jeszcze jeden dowód, że jego wczorajsze przypuszczenie miało podstawy. Skrzywił się, patrząc na swój łuk. Przeciwko emiterowi miałby jakieś szansę, ale przeciw „tasakowi” - żadnych!

Norbis wstał i rozejrzał się. Podniósł kawałek kija, obrócił nim głowę zwierzęcia i podważył żuchwę. Trysnęła zielonkawa ciecz. Gorgol zagruchał coś skonsternowany.

- Śmiertelna trucizna... pora godów...

Znaczyło to, że wielkie gady były teraz dwukrotnie bardziej niebezpieczne. W czasie okresu godowego samce stawały się jadowite, a ich ukąszenie często było śmiertelne, przynajmniej dla przybyszów. Musieli teraz zabijać napotkane jaszczury nie czekając na atak.

Omijając miejsce jatki Storm zbliżył się ostrożnie do krawędzi. Widok zaskoczył go, chociaż pewnie powinien się go spodziewać. Jak wzrokiem sięgnąć, ściany doliny były wycięte w rodzaj ogromnych stopni, a raczej tarasów, w większości gęsto porośniętych. Stąd na południe wiódł równy trakt - być może, bandyci przeprowadzali nim kradzione stada, bo na pewno nie dałoby się przepędzić ich drogą, którą tu przyszli.

Storm sięgnął po lornetkę i przyjrzał się uważnie dolinie. Na jej dnie pasło się stado frawnów, łatwych do rozpoznania dzięki charakterystycznej sylwetce: ciężkie, mocno sklepione w kłębie, z wysoko uniesionymi, rogatymi głowami, zady miały niskie i prawie nagie, pokryte tylko meszkiem.

Nie widział koni ani jeźdźców. Wysokie ściany były wystarczającym ograniczeniem, zastępującym pastuchów, chociaż, zdaniem Storma, w pełni okresu godowego jorisów przydałyby się straże.

Ta dolina była znacznie szersza od zewnętrznej i tylko przez lornetkę mógł zobaczyć, że jej przeciwległa ściana też jest pocięta tarasami. Porastała je gęsta i wysoka trawa. Nie było widać żadnych śladów powodzi.

Nie było też widać niczego, co potwierdzałoby podejrzenie Storma. Wyglądało to tylko na wygodną kryjówkę dla kradzionych stad. Gdyby nie ten zabity joris...

Poczuł na ramieniu rękę Gorgola. Podążając za jego wzrokiem skierował lornetkę znów w głąb doliny. Frawny nie pasły się już: samce potrząsając łbami pogalopowały niezgrabnie na prawo, podczas gdy samice z młodymi zbiły się w ciasną grupę, ustawiając się w postawie obronnej, łbami na zewnątrz.

Jeźdźcy! Trzech, na ciemnych, krępych, niedużych koniach, podobnych do tych, które widział w norbiskim obozie. Ale ludzie nie byli tubylcami. Nie nosili też typowego stroju osadników: bryczesów ze skóry jorisa i koszul z frawniej wełny. Storm przykląkł odprowadzając ich wzrokiem. Pierwszy rzut oka na ich czarne bluzy, które zawsze wyglądały jak przysypane kurzem, potwierdził jego podejrzenia. To było to! Mundury wroga, nielegalny handel kradzionymi stadami, wszystko do siebie pasowało. Nic dziwnego, że załatwili członków ekspedycji inscenizując jednocześnie napaść tubylców. Zrzucić wszystko na dzikich Norbisów. Wspaniały podstęp, wymarzona sytuacja dla Xików.

- Ssst... - Gorgol nauczył się naśladować dźwięk, którym Storm wzywał drużynę, jedyny dźwięk wspólny dla nich obu. Teraz wskazywał na północ, chcąc zwrócić uwagę towarzysza. Frawny stały nadal zbite w gromadę, czujnie obserwując jeźdźców, ale nie to zainteresowało Norbisa. Nawałnica spowodowała, że częściowo obsunięta ziemia utworzyła rodzaj ścieżki, dochodzącej do przedostatniego tarasu. Stamtąd właśnie obserwowała jeźdźców jakaś postać, nieomal nie do odróżnienia od ziemi, do której przywarła.

Storm przyłożył do oczu lornetkę. Wysoki, szczupły Norbis musiał być zupełnie niewidoczny z dna doliny. Jego głowa wyglądała inaczej: rogi nie były jak u Gorgola barwy kości słoniowej, lecz niebieskozielone.

Spojrzał pytająco na chłopca. Młodzieniec podpełził aż na brzeg przewieszanej skały, skąd miał najlepszy widok. Brodę oparł na zranionej ręce. Rysy twarzy były spokojne, ale kocie oczy zdradzały podniecenie. Usta rozciągnęły się w grymasie, który u Norbisa oznaczał gniew lub chęć walki. Drugą ręką zrobił znak: - Nitra.

Czy samotny tubylec działał na własną rękę, czy był zwiadowcą oddziału wojennego? Biorąc pod uwagę obyczaje Norbisów, obie możliwości były prawdopodobne. Mógł to być jakiś młodzik, który wyruszył, by zasłużyć na miano wojownika. Mogło być też tak, że Nitra

odkryli tę kryjówkę i postanowili przejąć łup Rzeźników. Atak doświadczonych łuczników ukrytych w gęstej roślinności tarasów mógł być trudny do odparcia.

Palce Gorgola znów się poruszyły.

- Tylko jeden.

Chociaż Ziemianin nie mógł opanować mowy Norbisów, a chłopak potrafił jedynie naśladować dźwięk wezwania, Storm odkrył, że może przekazywać proste informacje przesadnie poruszając wargami, a Gorgol częściowo go wtedy rozumie. Odwrócił głowę i spytał:

- Oddział wojenny?

Gorgol przecząco potrząsnął głową.

- Tylko jeden.

Żałował, że nie ma tu Surry. Posłałby ją w ślad za wojownikiem, żeby się upewnić, czy rzeczywiście Nitra jest sam. Teraz musiał zrewidować swój plan. Byłoby głupotą zapuszczać się w dolne partie doliny narażając się na odcięcie odwrotu. A jednak chciał się dowiedzieć, dokąd tamci zmierzają.

Wycofał się na płaszczyznę z martwym jorisem kierując się ku jej północnemu krańcowi. Tam odważył się podnieść. Oparty plecami o rudawy gład, był pewien, że z odległości kilkudziesięciu metrów jest nie do odróżnienia od skały.

Dolina była obszerna, z grubsza w kształcie butelki, skierowanej szyjką na południe. Bandyci musieli ukryć wszystko pod ziemią, bo nie dostrzegł żadnych zabudowań, niczego prócz dzikiej roślinności.

A jednak rośło tu coś jeszcze - pionowe, wysyłające refleksy światła przez troskliwie uplecioną osłonę zieleni, za którą twórcy niewątpliwie powinni otrzymać niezłą notę.

Przyjrzał się temu czemuś uważnie. Stateczniki musiały być ukryte głęboko pod powierzchnią łąki. Wymagało to mnóstwa pracy. Sądząc z wyglądu porastającej go roślinności statek wylądował dość dawno. Pilot, który odważył się sięść na tak ograniczonej przestrzeni, był z pewnością mistrzem. Gdyby Storm mógł przyjrzeć się pojazdowi bez osłony, określiłby jego typ, ale już teraz mógł stwierdzić, że na pewno nie był to transportowiec. Mógł to być statek zwiadowczy lub pocztowy albo dostawczy, którym udało się komuś wydostać w ostatniej chwili przed klęską. Czymkolwiek był, Storm wiedział, że na jego pobrużdżonym boku może znaleźć się tylko jeden symbol. Ale czy to, co widział, było tajemną kolonią Xików, zorganizowaną jeszcze w czasach ich potęgi, czy też była to tylko kryjówka maruderów, którzy, nie złożwszy broni, postanowili tu przetrwać?

Dotarł do niego Gorgol.

- Nitra poszedł - wskazał na północ. - Może poluje na zdobycz... - zamarł z wyciągniętą ręką, utkwivszy oczy w zamaskowanym kształcie. Pokręcił ze zdumieniem głową.

-Co?

- Rzecz 'z dalekiego nieba - Storm użył tutejszego określenia statku kosmicznego.

- Dlaczego tu?

- Rzeźnicy... źli ludzie przywieźli...

Usta chłopca znów rozciągnęły się w grymasie gniewu i walki.

- Rzecz z dalekiego nieba nie przychodzi na ziemię Norbisów - wyciągnął palce prawej ręki dotykając lewej w geście protestu.

- Norbisowie zawarli braterstwo krwi z ludźmi z daleka... mówili prosto... złożyli przysięgę wojowników. Statki z daleka przychodzą tylko w jedno miejsce... nie w góry, gdzie Ci-Co-Ciskają-Pioruny są źli! Ludzie z daleka nie mówią prosto... tutaj też rzecz z daleka.

Kłopoty! Storm wyczuł groźbę w tej przemowie. Norbisowie wyrazili zgodę na lokalizację portu kosmicznego z dala od gór, które były dla nich miejscem świętym. Traktat gwarantujący osadnikom nienaruszalność ich osób i mienia dopuszczał lądowanie i start statków kosmicznych tylko w tym jednym miejscu. Gdyby rozeszła się wieść o drugim porcie w samym sercu gór, byłby to koniec wszelkich układów.

Storm opuścił lornetkę i wyciągnął ręce, chcąc zwrócić uwagę Gorgola. - Ja wojownik... - podkreślił stwierdzenie wskazując na swą bliznę. - Gorgol wojownik - delikatnie dotknął zabandażowanego ramienia chłopca. - Moja blizna nie od Nitra, nie od innego plemienia jak moje... zostałem zraniony walcząc ze złymi ludźmi... z tego plemienia! - wyciągnięty palec przeszył powietrze wskazując ukryty statek kosmiczny - Gorgol zraniony przez tych złych ludzi... stąd! - wskazał znowu. - Oni są tymi, którzy jedzą MIEŚSO ! - dodał najokropniejszy w mowie tubylców znak. Żółte oczy tubylca długo wpatrywały się w twarz Storma, wreszcie palce poruszyły się:

- Przysięgasz Tym-Co-Ciskają-Pioruny? Storm wyciągnął nóż, włożył go w rękę Norbisa i pociągnął za ostrze ku sobie, aż jego czubek dotknął piersi.

- Niechaj Gorgol pchnie, jeśli nie wierzy, że mówię prawdę - powoli zasygnalizował wolną ręką.

Norbis cofnął nóż, odwrócił go i podał Ziemianinowi rękojeść. Gdy ten ją przyjął, chłopak odparł:

- Wierzę. Ale to... zła rzecz. Ludzie z daleka będą walczyć ze złymi ludźmi swojego rodzaju... albo przysięgać złamana.

- Jest tak. Co potrafię, to zrobię. Ale najpierw musimy o nich więcej wiedzieć.

Gorgol spojrział w głąb doliny.

- Nitra poluje... noc nadchodzi. W dzień najlepiej... ty nie masz oczu, co widzą w ciemności.

Storm poczuł ulgę. Gdyby teraz Norbis chciał śledzić zwiadowcę, trudno byłoby mu odmówić. Ale propozycja wychodząca od tubylca zgadzała się z jego planem.

- Wielki kot wy dobrzeje... - zasugerował. - Będzie mógł pilnować Nitra, gdy my będziemy śledzić złych ludzi.

Gorgol chętnie przystał na to. Widział już Surre w akcji. Rzuciwszy jeszcze raz okiem na statek, Storm ruszył z powrotem do zewnętrznej doliny. Planował działania wojenne.

ROZDZIAŁ 10

Było już prawie ciemno, gdy dotarli do obozu. Storm zaczął budować osłonę z kamieni, żeby rozpalić ogień. Gorgol pomagał mu w tym jedną ręką. Mogliby, oczywiście, ukryć się w jaskini, w której był uwięziony, ale znajdowała się ona o całą szerokość doliny stąd. Poza tym odstręczało go wspomnienie zatechłego, martwego powietrza, powiewu śmierci, który tam czuł.

Deszcz pał się swobodnie. Gdyby dojrzał go z wysoka jakiś Nitra albo bandyta, wziąłby go za uciekiniera z obozu ekspedycji. Z Surrą na straży nie groziła mu kradzież. W przyszłości można by go nawet użyć jako przynęty. Zaproponował to Gorgolowi, który zgodził się z entuzjazmem. Taki koń był skarbem - wierzchowcem wodzów - zdobyczą, którą można by się pysznić przed innymi.

- Co z drogą? - palce Storma poruszały się w świetle ogniska.

- Ścieżka, którą znaleźliśmy, nie jest dla stad. Musimy znaleźć tę inną...

- Taka droga nie idzie przez tę dolinę - odparł z przekonaniem Gorgol.

To, co zdążyli obejrzeć przed powodzią, wydawało się potwierdzać taki sąd. Nie natknęli się na żaden ślad wypasu stad. Indianin wyciągnął nóż i ostrzem zaczął szkicować mapę doliny i jej usytuowanie w odniesieniu do kryjówki bandytów. Rysował jednocześnie objaśniając, a Norbis, nawykły do innych map wojennych lub myśliwskich, przyglądał się w skupieniu, od czasu do czasu poprawiając lub zadając pytania.

Kiedy ustalili, co wiedzą na temat okolicy, Ziemianin widział już tylko jedno wyjaśnienie braku połączenia między dolinami, nie licząc ścieżki, którą wspięli się dzisiaj. Droga musiała biec z południowej części, gdzieś pomiędzy rozdzielającymi dwie niecki górami.

- W nocy... Nitra może uderzyć... - Gorgol w zamyśleniu spoglądał w płomienie. - Norbis widzi dobrze... nocny wypad to dobry podstęp... dobry przeciw Rzeźnikom.

Spojrzał na Storma.

-- Ty nie widzisz dobrze po ciemku...? Może być, nie... Ale kot... on widzi!

Ziemianin podniósł się. Rzeczywiście! Zwiadowca nie będzie czekać nie wiadomo na co. Było bardzo prawdopodobne, że na atak wybierze godziny przed świtem - ulubiony chwyt tubylców. Gdyby byli przy tym, mogliby się dużo dowiedzieć.

Szansa była niewielka, dużo zależało od szczęścia i od czynników niezależnych od Storma, ale wykorzystywał takie szansę z powodzeniem już przedtem. „Zupełnie jak dawniej” - pomyślał. Dobrze znany dreszcz przebiegł mu po plecach. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że w żółtym blasku ognia w jakiś sposób upodobnił się do Surry - Surry szykującej się do skoku.

- Pójdiesz - nadał Gorgol. - Spróbujemy teraz zejść niżej... potem zaczekamy na godzinę zamła. .

- Ty też?

Grymas Norbisa wystarczył za odpowiedź, ale palce dodały:

- Gorgol teraz wojownik. To dobra wyprawa, powód do dumy. Pójdę... będę szukać drogi.

Z namaszczeniem spożywali frawnią pieczeń. Do tego smakołyku Storm dodał dwie tabletki koncentratu z czasów służby. Gdyby musieli się obejść bez jedzenia przez następny dzień lub nawet dłużej, nie będą czuli głodu.

Wydał Surrze rozkazy bez słów, widząc z radością, że odzyskała już większość swej siły i sprawności. Hing wsadził sobie na ramię. Baku nie nadawał się na nocne wyprawy, ale Storm wiedział, że o świcie wzbije się w powietrze i będzie mógł go wezwać.

Ponownie wspięli się ścieżką frawna i wyszli na znajomą płaszczyznę. Surra rzuciła się do przodu i od ciała jorisa odskoczyło jakieś nieduże zwierzę, zostawiając za sobą smugę ostrej, piżmowej woni. Kot zakasłał, prychnął gniewnie i zaczął tarzać się w trawie usiłując usunąć z futra obcy zapach.

Już po kilku sekundach Storm musiał przyznać, że gdyby nie nadzwyczajny wzrok Surry i Gorgola, musiałby szybko zrezygnować ze swego ambitnego planu. W gęstej roślinności tarasów panowała absolutna ciemność. Jedną ręką chwycił dłoń tubylca, drugą osłaniał Hing przed uderzeniami zwisających gałęzi. W końcu, podrapany i obszarpany, przedarł się przez cierniste krzaki na dno doliny.

W dzień mógłby skryć się w gąszczu. Norbis i Surra z pewnością teraz też mogliby wybrać tę drogę, ale on musiał się trzymać skraju otwartej przestrzeni. Na szczęście, frawny ułożyły się na noc daleko, na środku pastwiska. Chociaż uciekały przed jeźdźcom, spotkanie pieszego z bykiem, zwłaszcza w porze cielenia, mogło się źle skończyć dla tego pierwszego, przed czym ostrzegali Storma wcześniej Dort i Ransford.

Zbliżali się do ukrytego statku, gdy ujrzał błysk światła. Spokój tego schronienia spowodował, że ktoś stał się nieroztropny. Światło biegło od podstawy szczytu wieńczącego północną ścianę doliny. Storm nie miał wątpliwości co do źródła tego blasku: nie był to ogień

ani atomowa lampa osadników, lecz urządzenie takie, jak to, które widywał na drugim końcu galaktyki.

Traktując pojazd kosmiczny jako punkt odniesienia, określił z grubsza położenie plamy blasku. Zacisnął potem palce na nadgarstku Gorgola w jednym z prostych sygnałów, jakich używali w ciemności. W odpowiedzi chłopak uściśnął jego dłoń dwukrotnie, po czym Storm opuścił się na czworaki i ruszył za Surrą, z Hing usadowioną na plecach.

Pozostawiwszy Norbisa w zaroślach, trójka skierowała się w stronę statku. Szczęśliwie, frawny nie pasły się tutaj i trawa była tak wysoka, że od czasu do czasu Ziemianin musiał się podnosić, żeby sprawdzić, czy idą we właściwym kierunku. W końcu jednak dotarli nad brzeg...

Dotknął ziemi - była mokra, świeżo skopana. Wysunął głowę poza krawędź wykopu i oświetlił go latarką, używając jej najmniejszej mocy.

Miał rację, ziemię dopiero co odkopano, praca nie była zresztą skończona, bo stateczniki były jeszcze w połowie przysypane. Krążownik został zasypany po wylądowaniu - częściowo, by go ukryć, a częściowo, by utrzymać go w pozycji pionowej do odlotu, gdyż nie było tu żadnych wsporników. Gdyby jakaś wichura wytrąciła go z pionu, choćby o kilka stopni, nie mając dźwigów do ponownego ustawienia, bandyci zostaliby po prostu z kupą złomu.

Ale to kopanie oznaczało, że zamierzali użyć statku. Chcąc się dowiedzieć czegoś o jego typie, omiół światłem kadłub - wszystkie luki były zamknięte. Znowu spojrzął na wsporniki. Gdyby miał oba meerkaty, mógłby im zlecić podkopanie jednego z nich, co zachwiałoby równowagę statku i zniszczyłoby plany Xików. Ale sama Hing nie dałaby sobie z tym rady.

Miała ona zresztą swoje plany. Zeskoczyła z ramienia Storma, pacnęła łapą rozkopaną ziemię i, uznawszy, że jest to wspaniały materiał do rozgrzebywania, sturlała się na sam dół, gdzie rozpoczęła gorliwą pracę. Na wezwanie pana prychnęła gniewnie, ale w końcu wróciła, choć niechętnie i obrażona, unikała ręki człowieka. Storm, chcąc poprawić nastrój zwierzaka, zlecił mu inne zadanie.

Meerkat słuchał początkowo ponuro, ale szybko rozpogodził się i z radosnym gruchaniem rzucił się do rozkopywania ziemi wokół palika przytrzymującego jedną z grubych lin, które jak sieć oplatały statek kosmiczny. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że mocno napięta sieć utrzymuje kadłub w pionie i poluzowanie jednej z głównych lin może go z niego wytrącić. Trzeba było wykorzystać każdą szansę, a temu zadaniu meerkat mógł poddać.

Storm wycofał się do tarasów, starając się zatrzeć za sobą ślady. Nie udało mu się tego zrobić idealnie, ale jak mógł, uczynił ślad nieczytelnym. Kiedy dotarł do zarośli, ponownie chwycił Gorgola za rękę, a ten uściskał go dając znak, że znalazł schronienie. Była to niewielka szczelina w pękniętej pod wpływem jakichś ruchów tektonicznych ścianie tarasu. Wcisnęli się tam wszyscy z Surrą, a po chwili również z Hing, która dopóty trącała nosem ramię człowieka, dopóki ten nie przyjął skarbu wygrzebanego przez stworzenie i nie przytulił zwierzaka do siebie.

Postanowili, że zaczekają do świtu. Jeżeli do tego czasu Nitra się nie pojawi, nie uczyni tego i później. Mógł on oczywiście dojść do wniosku, że kryjówka bandytów jest dla niego zbyt twardym orzechem. Storm drzemał. Nauczył się wykorzystywać przerwy w działaniu na sen, ale poderwał się na równe nogi, gdy niebo przeciął ognisty pocisk, za którym poszybował drugi... i trzeci.

Pierwsza strzała trafiła na łatwopalny materiał i buchnął płomień. Po trzeciej usłyszeli wysokie, przerażone rzenie koni. Ogień płonął wzdłuż linii przebiegającej jakieś półtora metra nad ziemią, jak gdyby na ścianie lub zagrodzie. Ścianie lub zagrodzie... przypomniał sobie, jak Larkin chroniąc konie przed atakiem jorisów wieńczył tymczasowy korral kępami ciernistych krzewów. A suche krzewy paliły się łatwo.

Przerażonym głosom koni zawtórowały krzyki. Odległy punkt świetlny, który dostrzegli wcześniej, zmienił się w sporą szczelinę, będącą pewnie otwartymi drzwiami.

Gorgol poruszył się i klepnął Storma po ramieniu przekazując swój zamiar. Spłoszone konie wydostały się jakoś z płonącego korralu i pędziły prosto na nich. Norbis chciał skorzystać z zamieszania i zdobyć wierzchowca. Miał-emiter, był więc lepiej przygotowany do obrony w ciemnościach od Storma, którego łuk był w nich zupełnie bezużyteczny. Ziemianin skinął głową i tubylec zniknął w mroku.

Nagle usłyszeli wysoki, wibrujący krzyk, który na pewno nie wydarł się z gardła przybysza. Nitra w opałach? Z pewnością też miał zamiar zająć się uciekającymi końmi. Płonące krzewy oświetlały scenę. Jeźdźcy usiłowali okrążyć stado. Jechali jednak zakosami, co wskazywało, czym zajmowali się w przeszłości. Storm nie miał wątpliwości, że pochodzili z oddziałów zaprawionych w bojach.

Rozbłysło światło, przy którym zbladł blask ognia. Jasny słup prawie sięgał statku, przesuwając się usiłując oświetlić konie. Czy na jednym z nich ujrzał jakąś sylwetkę? Nie był pewny, ale koń wydawał się świadomie wymykać z linii światła. Wierzchowce rozpięchły się, po dwa, po trzy, i coraz trudniej było je wszystkie oświetlić.

Huknęło i purpurowa błyskawica chlasnęła w lewo. Storm szczęknął zębami, a Surra przywarła do jego nogi przerażona i wściekła. To też już kiedyś widział - bicz zniszczenia smagający uciekinierów. Teraz już nie chodziło o konie! Gorgol! Gdyby tylko mógł go tu sprowadzić! To nie była właściwa pora na chwytanie oszalałych zwierząt. Nie, jeśli Xikowie używali promieni siły. Tubylec nie wiedział przecież nic o ich potężnych broniach.

Ciężko mu było zdecydować się na ryzykowanie życiem Surry, ale musiał dać szansę chłopakowi. Przyklęknął obok kota i położył mu ręce na karku, dotykając kciukami dużych uszu. Myślą wydał jej rozkaz: - Znajdź Gorgola. Sprowadź go tutaj.

Surra warknęła. Promień siły uderzył ponownie, tym razem po prawej stronie. Ich bezpieczeństwo zależało od tego, na ile sprawny był operator „bicza”. A Xikowie potrafili nim wyczyniać prawdziwe cuda. Storm widywał już w przeszłości takie pokazy.

Kot stał napięty. Znał rozkaz i był gotów wyruszyć. Storm podniósł ręce i Surra zniknęła w wysokiej trawie. Powietrze niosło ze sobą drażniący gardło smród spalenizny. Błyskawice ciskane przez człowieka węgliły wszystko, zostawiając tylko nagą, czarną ziemię.

Minął go właśnie pierwszy koń, jeszcze jeden i jeszcze. Widział tylko przemykające cienie. Gdyby w tym szalonym pędzie wpadły na stado frawnów, doszłoby do prawdziwej paniki. Żeby tylko Surra sprowadziła Gorgola...

Jeszcze jeden strzał z „bicza” i oślepiający blask. Konie, rżąc szaleńczo, zawróciły, ale trzy pierwsze gnały dalej. Czy na jednym z nich był jeździec? Gorgol... gdzie on był... a gdzie Surra? Będąc na otwartej przestrzeni narażali się nie tylko na trafienie błyskawicą, ale też na stratowanie przez oszalałe konie.

Storm zaczął się przyglądać strzałom promieni starając się ocenić ich zasięg. Jeśli operator nie przełączy urządzenia na niską częstotliwość, błyskawice nie sięgną ani statku, ani tarasów, które miał za plecami. Mogliby więc wycofać się spokojnie, gdyby tylko Norbis wrócił. Storm umiał sobie radzić w różnych sytuacjach, ale przed bronią przeciwnika czuł respekt.

Promienie padały teraz blisko siebie, jakby miały przeorać całą przestrzeń pomiędzy statkiem a zachodnią ścianą. Ręce odruchowo zasłoniły uszy, gdy powietrze przeszył okropny krzyk ginącego w bólu zwierzęcia. Wybijali konie!. Używali „bicza” nie po to, żeby je zagonić z powrotem. Poświęcali własne stado, żeby dostać napastnika? To było do nich podobne. Storm z trudem zwalczył w sobie falę furii i zmusił się do spojrzenia na rzeź, która była kolejną pozycją na długiej, zapisanej w jego sercu, liście zbrodni dokonanych przez tę rasę. Konie ginęły, a człowiek nie mógł powstrzymać dreszczy, które wstrząsały nim przy każdym jęku agonii dobiegającym z łąki. Surra! Surra i Gorgol! Jak mogliby uciec?

Hing skomlała, wbijając pazury w skórę pana i mocno przyciskając do niego drżące ciało. Nagle Storm odskoczył, a po chwili poczuł ogromną ulgę, gdy dotknęło go miękkie, ciepłe futro, a szorstki język polizał jego ramię. Czule przywitał się z kotem, po czym wyciągnął rękę w ciemność i trafił na skórę jorisa - puklerz Gorgola.

Norbis odwrócił się, ledwie widoczny w ciemności, i Ziemianin zobaczył, że podtrzymuje jakąś drobną i niewysoką postać. Storm dotknął jej. Uratowany człowiek nie był tubylcem. Miał na sobie koszulę z frawniej wełny - całą w strzępach - i pas, jak jego własny. To był osadnik. Chwycił jego drugie ramię i przerzucił sobie przez plecy. Gdy dotarli do pierwszego tarasu, obcy wyprostował się trochę i próbował iść, chociaż sprawiał tym więcej kłopotu niż pożytku.

Pokonali już dwa tarasy, zatrzymując się tylko dla zaczerpnięcia tchu. Zgiełk w dole ucichł, ale promienie nadal metodycznie siekły przestrzeń. Nie było już tam ani jednego żywego stworzenia, ale wyglądało na to, że nie wystarczało to Xikom.

Trzeci taras. Jeszcze jeden i będą przy przejściu. Obcy mruczał coś, raz czy dwa razy jęknął. Chociaż nie był zupełnie przytomny i bełkotał coś bez sensu w odpowiedzi na pytania Storma, już pewniej trzymał się na nogach i posłusznie dawał się prowadzić. Nie było łatwo wspiąć się na tarasy i przedrzeć przez ich gęstą roślinność. Gdyby nie to, że w wyższych partiach była ona rzadsza, mógłby ich tam zastać świt. Niebo już szarzało, kiedy doszli do skraju płaszczyzny. Surra przywarła do ziemi. Pomiędzy nimi a przejściem czaiło się jakieś niebezpieczeństwo.

Gdyby Storm mógł być pewny, że to tylko Nitra, wydałby jej polecenie, jakiego oczekiwała: - Oczyszczyć drogę. Ale Xik z „tasakiem” czy inną upiorną bronią był zbyt dużym zagrożeniem dla kota. Przekazawszy swój plan Gorgolowi, Storm powoli sam ruszył do przodu, osłaniany przez Norbisa.

Jeszcze raz nadzwyczajny słuch Surry uratował im życie. Był to wartownik. Ukrył się sprytnie w niszy skalnej pozostając tam nieosiągalny, sam natomiast kontrolował całe przejście. Żeby się go pozbyć, trzeba go było jakoś stamtąd wyciągnąć. Ale jak? Storm przykucnął za skałą obserwując okolicę. Było teraz jasne, że bandyci poświęcili stado, żeby upewnić się o czyjejś śmierci. Szybko doszedł do wniosku, że tym kimś był obcy uratowany przez Gorgola. Mógł to nawet być ten sam człowiek, którego chłopak widział w rękach napastników w dniu pogromu ekspedycji.

Nie miał złudzeń. Wszystkie drogi z doliny były teraz pilnie strzeżone. Następnym logicznym posunięciem wroga będzie zapewne troskliwe przeczesanie tarasów i zagonienie „zwierzyny” do jednego z wyjść, prosto pod lufy rozpylaczy. Takie postępowanie, chociaż

skierowane teraz przeciwko niemu, Storm określiłby jako niezły plan. A taktyki Xików nigdy nie można było nazwać głupią.

Kim był ten nieznajomy, że odzyskanie go było aż tak ważne? A może chodziło tylko o to, by nie wypuścić nikogo, kto wiedziałby o ich bazie? Ale te pytania nie były najważniejsze. Najważniejsze było, żeby minąć ten punkt, zanim rozpocznie się nagonka i zanim zdążą tu przysłać więcej ludzi.

Został mu jeszcze jeden fortel. Żeby tylko zadziałał! Oparł głowę na zgiętej ręce patrząc na płaszczyznę. W myślach przedstawił wroga na jego skalnym posterunku starając się uczynić ten obraz tak żywym, jak tylko potrafił. Podtrzymując go jednocześnie tym dodatkowym, nie nazwanym zmysłem, wzywał. Surry był pewien. Z Hing porozumiewał się tylko głosem i dotykiem, umysł zwierzaka był zbyt ociążały. Baku - musi go dosięgnąć! Orzeł na pewno wzbił się o świcie w powietrze i szybuje wypatrując ich. Gdyby udało się go ściągnąć tym wezwaniem subtelna więź, którą trudno byłoby nazwać władzą, a która łączy go z kotem, orłem i meerkatami, teraz skupiona była na jednym

Życie i zadania łączyły ich już tak długo, że więź ta musiała •pnąć i mógł na niej polegać w chwili, gdy była jedynym ratun-. Baku! Przybądź - Baku! Silne, bezdźwięczne wołanie poszybowało w szaroliliowe niebo, będące teraz tylko przestrzenią, z której nadlecieć miał orzeł.

ROZDZIAŁ 11

Baku! Wola Storma była jak powróż, jak lasso mknące w rozświetlone niebo, by chwycić i ściągnąć w dół skrzydlaty kształt. Kiedyś, dawniej niż rok ziemski temu, wezwał orła w ten sposób w podobnej sytuacji i ptak usłuchał. Czy uda mu się i tym razem?

Surra wcisnęła się w załomek skały tuż obok niego. Czuł jej napięcie. Przez chwilę ich wewnętrzne siły połączyły się, wysyłając wspólne wezwanie. Prawie bezgłośny mruk kota, raczej wyczuty niż usłyszany, przywołał Storma do rzeczywistości. Uniósł głowę i otworzył oczy. Wydawało mu się, że wytężał wolę całymi godzinami, a nie trwało to dłużej niż kilka chwil. Xik stał w tym samym miejscu, nadal skulony za skałą, patrząc w dół, ku dolinie.

- Ahuuuu! - mógł to być dźwięk głosu jakiegoś krewniaka Surry. Niegdyś stanowił okrzyk wojenny mieszkańców pustyni, teraz wzywał do walki drużynę Storma.

Atak orła lub sokoła jest wspaniałym pokazem precyzyjnego lotu. Jest również wyjątkowo skuteczny. Xik, być może, w ostatniej chwili zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale była to jego naprawdę ostatnia chwila. Pazury wpiły się w ciało, dziób poranił twarz, a potężne skrzydła ogłuszyły wroga. Storm i Surra w mgnieniu oka doprowadzili sprawę do końca.

Zabrawszy obcemu broń, Storm wepchnął ciało do szczeliny skalnej. Trzeba by było bardzo dokładnych poszukiwań, ażeby je tam odnaleźć. Twarz była okropnie poszarpana, ale Storm nie musiał widzieć bladozielonej skóry ani krwi o dziwnej barwie, żeby rozpoznać rasę, do jakiej należał zmarły. Xikowie byli humanoidami. Byli nawet bardziej podobni do ludzi niż Norbisowie, jeśli nie liczyć takich szczegółów, jak kolor skóry czy struktura włosów. Ale rogatych, łysych Norbisów i potomków Ziemian łączyła pewna wspólnota w odczuwaniu, niemożliwa do osiągnięcia przez Xików. Pomimo cierpliwych prób nie udało się znaleźć żadnej płaszczyzny porozumienia z nimi. Chociaż Ziemianie i najeźdźcy potrafili opanować język przeciwnika, to komunikacja nie przekraczała nigdy poziomu prymitywnej wymiany informacji. Kierowały nimi skrajnie różne pobudki, a każda próba kontaktu kończyła się katastrofą.

Storm, ciągnąc ciało, nie potrafił opanować odrazy. Było to coś więcej niż jego zwykła obawa przed dotknięciem zmarłego. Podobnie nie potrafił i nie chciał powściągnąć wściekłego gniewu, który ogarnął go, gdy musiał być świadkiem rzezi koni w dolinie. Nie można było zrozumieć najeźdźców. Można było co najwyżej próbować odgadnąć ich pokręte motywy. Zniszczenie Ziemi było jednym z rezultatów ich sposobu prowadzenia

wojny. Było ono równie bezsensowne, jak wymordowanie własnego stada dzisiejszej nocy. Ziemianie przeżyli zagładę swojego gniazda, rozsiani po niezliczonych koloniach w Galaktyce, a więzień, którego Xikowie chcieli zlikwidować, właśnie im się wymykał.

Gorgol tylko czekał na usunięcie wartownika. Najszybciej, jak się dało, ciągnąc za sobą chwiejącego się osadnika, zmierzał do przejścia. Storm przerzucił zdobyczny rozpylacz przez ramię i pospieszył mu z pomocą, funkcję zwiadowców zlecając Surrze i Baku. W świetle dnia zobaczył, że z uciekinierem obchodzono się brutalnie, nie w takim jednak stopniu, jak z wieloma więźniami Xików, których uwalniał z obozów jenieckich. Najważniejsze, że trzymał się na nogach.

Kiedy chwycił drugie ramię nieznajomego, Gorgol uwolnił się spod jego ciężaru i szybko zasygnalizował:

- Konie... wolne... będziemy ich potrzebować... ja przyprowadzę...

I zniknął, zanim Storm zdążył zaprotestować. Pewnie, że przydałyby im się konie, ale im szybciej wydostaną się z tej złowrogiej . doliny, tym lepiej. Tylko Bogowie wiedzieli, jak daleko posunęła się już nagonka. Storm szedł dalej, zataczając się trochę pod ciężarem osadnika. Zostawił Surrę w przejściu. Jeśli Gorgol wróci z końmi, kot pomoże mu je pędzić. Surra była niecierpliwa, ale potrafiła pełnić przez jakiś czas rolę wartownika. Baku z góry obserwował okolicę, , Hing harcowała przed nimi, od czasu do czasu zatrzymując się w poszukiwaniu jakiegoś skarbu.

Zaczynały go boleć nogi, z trudem łapał oddech, a w końcu poił kłujący ból w boku. „Brak kondycji” - pomyślał ze złością - a długo siedziałem w Centrum”. Spróbował obmyślić plan działania. Obóz na kamienistym brzegu był zupełnie odsłonięty. Z drugiej strony, nie mogli odejść daleko z ledwie żywym osadnikiem, nawet gdyby Gorgol sprowadził konie. Z tego wniosek, że musieli znaleźć kryjówkę gdzieś w dolinie. Storm znał tylko jedną i myślał o niej z niechęcią - grotą, do której poniósł go Deszcz w czasie nawałnicy. była na wschód od przejścia, około mili od ich dotychczasowego obozu. Na pewno woda opadła już znacznie poniżej wejścia do jaskini. Woda... suchy język oblizał jeszcze bardziej suche wargi i Storm szybko zaczął myśleć o czymś innym.

Nie będzie czasu na odpoczynek w obozie. Zabiorą tylko zapasy, wsadzą rannego na konia i zaraz ruszą dalej. Teraz już nie uważał wyprawy Gorgola za lekkomyślną. Gdyby się udała, byłaby to dla nich wielka pomoc, pod warunkiem, że zwierzęta nie będą zupełnie zajeżdżone. Wierzchowce mogły stać się ich ratunkiem.

- Ty nie... jesteś... Norbisem... - chociaż słowa wypowiedziane były powoli i z przerwami, zaskoczyły Storma. Nieświadomie traktował swojego towarzysza jak rodzaj ładunku, który należało chronić, więc ta rozumna wypowiedź zdumiała go.

Twarz zwrócona ku niemu była plątaniną ran i zadrapań, tak pokrytą zakrzepłą krwią, że trudno było odgadnąć jej rysy. Ziemianin nie zdawał sobie sprawy, że barwy wojenne uczyniły jego twarz równie nieczytelną.

- Ziemianin - odpowiedział Storm i usłyszał krótkie westchnienie, które równie dobrze mogło być reakcją na jego odpowiedź, jak syknięciem z bólu, bo nieznajomy właśnie potknął się i uderzył zwisającą ręką w skalną ścianę.

- Wiesz... kim... oni... są...?

Storm nie musiał się dopytywać, kogo oznaczało słowo „oni”.

- Xikowie - odparł krótko, używając obraźliwego określenia stosowanego powszechnie wśród weteranów. Ściany przejścia odbiły echem głos Ziemianina, ale zagłuszył go tętent kopyt. Surra nie reagowała, znaczyło to, że Gorgolowi wyprawa się powiodła. Storm przyciągnął towarzysza do ściany i czekał.

Trzeba było prawdziwego znawcy, żeby dopatrzeć się jakiegokolwiek wartości w trójce zwierząt schodzących ścieżką. Pokryte zaschniętą pianą, ze zwieszonymi łbami i zamglonymi oczami wyglądały, jak gdyby utrzymanie się na własnych nogach było wszystkim, na co je teraz stać. Ale Gorgol kroczył za nimi z dumnie podniesioną głową, szczęśliwy ze swej zdobyczy. Klasnął w dłonie i przynaglając stadko do ciężkiego truchtu pognął je ku zewnętrznej dolinie, po czym podszedł do Storma chcąc pomóc w transporcie rannego.

- Pomyślnie łowy! - pogratulował mu Ziemianin.

- Mało czasu... byłyby lepsze. Rzeźnicy są głupi... zostało im mało koni... ale oni ich nie chwytają...- odparł Gorgol i chwycił rękę nieznajomego. Dźwigając go we dwóch pokonali znacznie szybciej pozostały odcinek drogi.

Konie - zbyt wycieńczone, by mieć ochotę na trawę - stały z opuszczonymi głowami, podczas gdy Deszcz przyglądał się im pełen zainteresowania. Wyglądał wspaniale, szczególnie w porównaniu z nimi, wyprostowany, niecierpliwie grzebiąc kopytem, z rudą grzywą rozwiewaną przez wiatr.

- To... mi... koń! - zmaltretowany osadnik zatrzymał się, wsparty na towarzyszach, z oczami utkwionymi w Deszczu.

- Utrzymasz się na nim? - spytał Storm. - Przykro mi, stary, ale jeszcze kawałek musimy podjechać.

- Spróbuję...

We dwóch wsadzili go na konia. Usiłował złapać się grzywy, ale mu się to nie udało. Storm widząc, jak wyglądają jego ręce, nie mógł powstrzymać cisnących się na usta przekleństw. Osadnik odpowiedział czymś, co zapewne miało być śmiechem.

- Wszystko się zgadza, sam bym coś dodał... - spoważniał. - Ci twoi Xikowie, to ostre chłopaki. Myślałem kiedyś, dawno temu, że to ja jestem twardziel...

Zachwiał się tak nagle, że Storm nie zdążył go podtrzymać, ale Norbis był szybszy.

- Jest ranny...

Ziemianinowi nie trzeba było tego mówić.

- Tędy - wskazał drogę. - Za wzgórzem, gdzie leży Dagotag i inni... jaskinia w ścianie...

Gorgol skinął głową, podtrzymując wiotkie ciało nieznanego. Storm poszedł przodem wskazując drogę, a Deszcz posłusznie stapał za nim.

Odnaleźli grotę i Storm, zostawiwszy tam osadnika z Norbisem i Hing, pojechał zabrać rzeczy z obozu. Sprowadził też Surre i trzy konie. Wiedział, że Deszcz zaopiekuje się dwiema klaczami i rocznym ogierkiem, a one będą się go trzymać i nie będą próbowały uciekać, gdy odzyskają siły.

Przy wejściu do jaskini czekał na niego Gorgol z wiadomością, która tydzień wcześniej byłaby sensacją.

-To była Zamknięta Grota- ciągnąc Storma za ramię tubylec poprowadził go do miejsca, gdzie na stropie i ścianach widać było ślady narzędzi.

- Ukryte miejsce - wskazał na ciemną czeluść - ciągnie się daleko w głąb...

Storm nie wiedział, czy w tej sytuacji Norbi, ' /godzi się tu zostać.

Ale był zanadto zmęczony, żeby się tym martwić. Wiedział, że jeśli usiądzie, nie będzie w stanie zwalczyć senności, więc zabrał się do pakowania zapasów, a potem poszedł zobaczyć, co z nieznanym. Leżąc na ziemi z poranioną twarzą wciśniętą w koc, wydawał się drobniejszy. Od czasu do czasu łapał gwałtownie oddech jak splakane dziecko.

Ziemianin wysłał Gorgola po wodę, a sam wyciągnął zestaw pierwszej pomocy. Najdelikatniej jak potrafił, zabrał się do opatrywania ran. Osadnik raz czy dwa razy jęknął, ale nie ocknął się. W końcu, po pół godzinie rzetelnej pracy, Storm odetchnął z ulgą. Jeśli wziąć pod uwagę kryteria Xików, to nie zdążyli się zabrać serio do więzienia. Minie kilkanaście dni, zanim wygoją się ręce i ślady bicia na plecach, twarz też będzie się przez jakiś czas mieniła barwami tęczy, ale nie znalazł u niego żadnego złamania ani poważnej rany.

Kiedy już skończył, zszedł nad jezioro, rozebrał się i umył dokładnie, po czym wrócił do groty, owinał kocem i zasnął jak kamień.

Jakiś drażniący zapach wyrwał go w końcu z labiryntów snu. Ścigał w nim, przez rosnące w oczach góry, statek Xików, który, żeby było dziwniej, uciekał na ludzkich nogach i dwukrotnie obejrzał się patrząc na Storma oczami Brada Quade'a. Kiedy otworzył oczy, zobaczył Gorgola piekącego stepowe kury na ognisku. Czynność tę obserwowała z dużym zainteresowaniem widownia złożona z Hing, Surry i obcego, który siedział oparty o skrzynki z zapasami i wyglądał na całkiem przytomnego.

Na zewnątrz była noc, ale przez wąską szczelinę widzieli tylko skrawek nieba z pojedynczą gwiazdą. Wejście znowu zasypane było zwałami ziemi i ich obóz mógłby być odkryty tylko przez kogoś, kto umiał latać, jak Baku. Orzeł, jak gdyby wezwany myślą pana, poruszył się na swoim posterunku u wylotu szczeliny, skąd obserwował dolinę.

Ale uwagę Storma przykuł nieznajomy. Kiedy go opatrywał, był zbyt zmęczony, zbyt skupiony na pracy, żeby mu się przyjrzeć. Teraz pomimo ran, sińców i bandaży zobaczył coś, co zaskoczyło go tak, że nie udało mu się ukryć zdumienia. Znal te rysy. Siedział przed nim młody - bardzo młody - przedstawiciel nie tylko rodzaju ludzkiego, ale jego własnej rasy. To był Dineh!

Zadziwiająco niebieskie oczy chłopaka, jedyny szczegół, który nie pasował do reszty twarzy, były utkwione w Stormie z tym samym wyrazem kompletnego zaskoczenia. Opuchnięte wargi poruszyły się i nieznajomy spytał pierwszy:

- Kimże ty jesteś, w imię Siedmiu Piorunów?

- Hosteen Storm... Jestem Ziemianinem... - przedstawił się nie całkiem przytomnie.

Chłopiec podniósł niezdarnie do twarzy zabandażowaną rękę i skrzywił się, gdy dotknął opuchlizny. .

- Nie uwierzysz, chłopie - powiedział jakby przepraszająco - ale zanim zebrałem te baty, wyglądałem trochę jak ty.

- Jesteś Dinehem - Storm przemówił w języku swego dzieciństwa. - Jak się tu dostałeś?

Jego rozmówca słuchał z uwagą, potem jednak pokręcił przecząco głową.

- Przepraszam, ale to nie mój język. Ciągle nie rozumiem, jakim cudem dorobiłem się pół-bliźniaka na Ziemi. Ani jak on wyciągnął -mnie z tych tarapatów. Psiakość, chyba Pijący Dym wiedzą, co mówią. Sny są prawdą...

- Nazywasz się... - Storm był rozczarowany tym, że chłopak nie znał języka Nawajów i zadał to pytanie nieco ostrym tonem.

- Och, przepraszam, to żadna tajemnica. Jestem Logan Quade. Storm podniósł się gwałtownie, a blask ognia ożywił jego wojenne ozdoby. Nie zdawał sobie sprawy, jak

imponująco wyglądał w tej chwili. Nie poczuł też, że jego twarz, przed chwilą płonąca zapalem, była teraz stężała i zimna.

- Logan... Quade... - powtórzył bez wyrazu. - Słyszałem już o Quade'ach...

Młodzieniec nadal spokojnie patrzył mu w oczy.

- Ty i wielu innych, włączając naszych przyjaciół z doliny... Wydaje się, że darzysz nas dokładnie taką samą sympatią jak oni. Ich mogę zrozumieć, ale co Quade'owie zrobili tobie?

Był bystry, to mu musiał przyznać. Za bystry. Przez chwilę czuł się, jak gdyby trzymał za ogon wściekłego samca frawna i nie mógł go ani poskromić, ani wypuścić. Nie wiedział, co robić. Było to nowe, nie znane uczucie, którego nie zamierzał akceptować.

- Jesteś na złej drodze, Quade. Ale jak cię dopadli Xikowie? - zmiana tematu wyszła dość niezgrabnie i Stormowi zrobiło się głupio. Jeszcze gorsze było to, że chłopak wyglądał na wyraźnie rozbawionego jego potknięciami.

- Dostali mnie jak na tacy - odpowiedział Logan. - Mamy posiadłość na południe od Szczytów i regularnie znikają nam bydło. Dumaroy i kilku innych hodowców z okolicy wrzeszczy o Norbisach za każdym razem, gdy nie mogą się doliczyć sztuki. Ostatnio zaczęło ich ginąć coraz więcej i Dumaroy zrobił się wojowniczy. Mogło to doprowadzić do czegoś brzydkiego. Wiesz, my też mamy problemy z niektórymi plemionami, ale gdyby te kapane w gorącej wodzie głupki zaczęły się odgrywać na wszystkich Norbisach bez wyjątku, niedługo nie byłoby tu miejsca dla nikogo, kto nie jest rogaty. No więc, nie kupując tych głupot, które rozповідаł Dumaroy, postanowiłem się rozejrzeć. Wybrałem zły moment - a może właśnie dobry, patrząc na to z innej strony - i znalazłem ślad dużego stada pędzonego w góry, gdzie nie mogło mieć żadnego interesu. A że jestem trochę przygłupi, co lubi mi wytknąć czasami mój ojciec, poszedłem po prostu za tropem, aż mnie chwycili. Proste jak drut. Ci mili Xikowie sądzili, że mógłbym im dostarczyć kilku informacji, które były im najwidoczniej potrzebne do zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomyślności. Niestety nie mogłem, a kiedy starali się mnie trochę ośmielić, ktoś napadł na ich korral i odrobinę im przeszkodził. Myślę, że czuli się w dolinie zupełnie bezpiecznie i po ataku stracili głowę. Wykorzystałem tę szczęśliwą przerwę w rozmowach i dałem nogę. Po drodze wpadłem na Gorgola, a resztę już wiesz.

Machnął obandażowaną ręką i dodał już poważnie:

- Nie wiesz za to, że jesteśmy na krawędzi wojny. Xikowie umyślnie miesza tu, żeby skłócić Norbisów z osadnikami. Czy robią to tak sobie, czy mają zamiar załatwić przy tej okazji jakieś własne interesy, tego nie powiem. Ale planują teraz uderzenie w strojach tubylców na majątek pod Szczytami, a potem kilka napadów na obozy myśliwskie Norbisów -

wtedy oczywiście będą przebrani za osadników. Nie wiem, czy znasz plemię Nitra. Nie należą oni do tych, których będzie drażnił człowiek z odrobiną oleju w głowie. A Xikowie robią im regularnie różne głupie numery. Jeśli tutejszych wystarczająco rozwścieczą, to ci się zjednoczą i - znów pomachał ręką - czołem, kochany świecie. Ze wszystkimi swoimi dobrymi intencjami Oficerowie Pokoju będą musieli wezwać Patrol. Albo czeka nas trwająca lata wojna podjazdowa typu Norbisowie przeciw wszystkim, albo pokój, ale bez Norbisów. Ja uważam, że tutejsi to dobre chłopaki, więc czeka nas, chłopie, trochę pracy. Musimy skończyć tę wojnę, zanim się naprawdę zacznie.

ROZDZIAŁ 12

Wszystko się zgadzało. Nie tylko z rozwojem wypadków tutaj, w górach, ale i z taktyką, jaką Xikowie zwykli byli stosować wszędzie w galaktyce. Klęska niczego ich nie nauczyła i zaczęli swoje stare gierki. Czy ta garstka maruderów wierzyła, że Arzor może stać się załącznikiem nowego imperium? Nie była to wprawdzie wizja bardziej pyszałkowata od tej, która kierowała nimi przedtem i do zniweczenia której trzeba było tylu wysiłków i ofiar ze strony Konfederacji. Westchnął. A jednak konflikt, który zmiotł Ziemię z map kosmosu, wcale się nie skończył.

- Ilu jest Xików? - zajął się praktyczną stroną problemu. Lo-gan Ouade wrzucił ramionami i zaraz jęknął z bólu.

- Byłem trochę zajęty i nie zdążyłem ich policzyć. W grupie, która mnie chwyciła, było pięciu, Ale nie wszyscy byli obcy - przynajmniej dwaj to bandziory stąd. No i facet prowadzący przesłuchanie. Chciałbym go jeszcze spotkać! - dłonie w bandażach usiłowały zacisnąć się w pięści. - Widziałem w sumie jakiś tuzin obcych i z sześciu naszych-bandytów. Zdaje się, że nie przepadają za sobą.

- Na pewno nie. - Xikowie miewali pomagierów spośród ludzi również na innych planetach, ale rzadko coś z tej współpracy wychodziło. - Ilu jest osadników w rejonie Szczytów?

- Siedem posiadłości. Dumaroy ma największą. Mieszka tam z bratem, bratankiem i dwunastoma poganiaczami. Lancin, Artur, ma mniej ziemi, ale zamierza dołączyć do niego brat, jak tylko się zwolni ze służby. Mają pięciu norbiskich poganiaczy. No i my: sześciu Norbisów i dwóch poganiaczy, których ojciec przysłał z Dorzecza. Dziesięciu, może dwunastu, dałoby się wskrobać z mniejszych gospodarstw. Nie jest to duża armia, zwłaszcza dla ciebie, po tym jak walczyłeś w siłach Konfederacji...

- Widziałem zwycięstwa odnoszone przez mniejsze oddziały - łagodnie odparł Storm.
- Ale jesteście pewnie bardzo rozproszeni...

- Jak tylko dostaniemy się do pierwszej chaty, znajdzie się sposób, żeby wszystkich zwołać. Nie jesteśmy znowu tacy prymitywni, jak sądzicie wy - przybysze.

- A ta chata - jest jak daleko?

- Musiałbym rozejrzeć się po okolicy, nigdy tu przedtem nie byłem. Ale myślę, że jakieś dwa dni spokojnej jazdy albo piętnaście godzin na dobrym koniu.

- Deszcz to wszystko, co mamy w tej chwili. A Xikowie na pewno depczą nam po piętach. - Storm nie sprzeczał się. Wymieniał tylko problemy w miarę, jak je sobie uświadamiał. - Nie znaleźliśmy też wyjścia z tej doliny, którym dałoby się przeprowadzić konie. Wejście jest zasypane ziemią.

- Nie obchodzi mnie, jak to zrobimy - odparł Logan. - Mówię ci tylko, Storm, że musimy to zrobić! Nie można pozwolić Dumaroyowi z Norbisami narozrabiać tu tylko po to, żeby zrobić frajdę tym cholernym Xikom! Urodziłem się na Arzorze i -jeśli to możliwe - zamierzam go uratować.

- Jeżeli to możliwe... - powtórzył Storm czując zimne ukąszenie żalu za utraconym domem.

- Tak, ty przecież lepiej niż my wszyscy wiesz, co potrafią Xikowie, jeśli grają według swoich reguł.

Storm odwrócił się do Gorgola i przekazał mu z historii Logana to, na co potrafił znaleźć odpowiednie znaki. Zakończył pytaniem w tej chwili najważniejszym:

- Czy jest wyjście z doliny dla człowieka i konia?

- Jeśli jest... Gorgol znajdzie. - Norbis zdjął dwa ptaki ze szpikulców i owinął je szerokim liściem. - Idę zobaczyć... Wgramolił się na wał ziemi i zniknął.

- Długo jesteś na Arzorze? - spytał Logan, gdy Storm podzielił pozostałe ptaki i podał Quade'owi jego porcję.

- Trochę ponad miesiąc... według mojego czasu...

- Szybko się zdomowiłeś - zauważył chłopak. - Wielu ludzi urodzonych tutaj nie potrafi mówić palcami tak szybko i dobrze.

- Może idzie mi łatwiej, bo moja rasa używała niegdyś języka znaków w rozmowach z obcymi. Czeka... pomogę ci.

Logan nie bardzo radził sobie z jedzeniem, więc Storm usiadł przy nim i podawał kęsy na ostrzu noża. Surra mrużyła oczy z sennym zadowoleniem, a Hing ufnie ułożyła się na wyciągniętych nogach chłopca.

- Skąd wzięłeś te zwierzęta, to przybysze? A ten tresowany ptak - co to jest? - zapytał Logan, kiedy Storm zajął się dzieleniem następnej kury.

- Jestem Mistrzem Zwierząt, a to moja drużyna. Baku - czarny orzeł afrykański, Surra - kot pustynny i Hing-meerkat. Wszystkie pochodzą z Ziemi. Przyjaciel Hing zginął w powodzi...

- Mistrz Zwierząt! - w głosie brzmiał szczerzy podziw, chociaż zniekształcone rysy chłopca nie mogły go wyrazić. - Powiedz mi... kto to jest ten Dineh, o którym mówiłeś wcześniej?

- Myślałem, że nie znasz języka Nawajów - odparł Storm. Niebieskie oczy były teraz bardzo jasne.

- Nawajów - powtórzył wolno, jak gdyby usiłując przypomnieć sobie, gdzie mógł przedtem usłyszeć to słowo. Wyciągnął dłoń do bransolety na ręce Storma, potem dotknął lekko naszyjnika huśtającego się, gdy tamten podawał mu jedzenie. - To są przedmioty Nawajów, prawda?

Storm czekał. Miał dziwne wrażenie, że wyniknie z tego coś ważnego.

-Tak.

- Mój ojciec ma taką bransoletę...

Nie powinien był tego mówić. Słowa przypomniały Stormowi to, o czym przez ostatnie tygodnie starał się nie myśleć. Odruchowo cofnął się przed ręką Logana. Wstał.

- Twój ojciec - głos Storma był cichy, łagodny i bardzo spokojny - nie jest Nawajem.

- A ty go nienawidzisz, prawda? - w pytaniu chłopca nie było oskarżenia. Takim tonem mógł równie dobrze rozmawiać o pogodzie.

- Brad Quade ma wielu wrogów, ale zwykle nie są to ludzie twojego pokroju. Nie, nie jest Nawajem, urodził się na Arzorze, ale dziadkowie pochodzili z Ziemi. Jest półkrwi Czejenem...

- Czejenem! - Storm był zaskoczony. Łatwiej było mu myśleć o wrogu jako o pochodzącym ze starej, aroganckiej rasy białej, która zawsze kłamała, oszukiwała! spychała jego naród coraz dalej i dalej, chociaż nigdy nie udało się zepchnąć go w nicość. Nigdy!

- Czejenowie to Indianie amerykańscy... - zaczął wyjaśniać Logan, ale przerwano mu.

Surra zerwała się na równe nogi, jej poprzednia senność znikła bez śladu. Storm chwycił rozpylacz. Był to wyrób Xików, ale przypominał broń Konfederacji na tyle, że mógł się nim posługiwać. Żałował, że nie ma zapasowego magazynka, ale najeżdźcom z pewnością też brakowało amunicji.

To był Gorgol. Przyniósł złe wiadomości. Nie mógł nawet wykruszyć na poszukiwania. W południowym krańcu obozowali Nitra, a na północy wzdłuż krawędzi doliny widać było światła.

Konie - rzucił Storm - i woda. Wprowadzimy zwierzęta i nabierzemy wody we wszystkie pojemniki. Może trzeba tu będzie trochę posiedzieć, gdy Xikowie zajmą się tubylcami.

Zabrali się szybko do pracy. Zagasili ognisko i poszerzyli wejście tak, żeby zmieścić się w nim konie. Po powrocie zastali Logananal nogach. Z latarką Storma badał ciemny korytarz, którego wszyscy przedtem unikali.

- Zastanawiam się - myślał głośno - czy ten tunel nie biegnie pod górą na drugą stronę. Może to nie jest prawdziwa Zamknięta Grota, tylko połączenie między dolinami? Mówiłeś, że dostaliście się tutaj przez tunel... no to może to jest wyjście?

Storm spojrzął bez sympatii w czarną czeluść, w której ginęło światło latarki. Im dalej od wejścia, tym bardziej martwe było powietrze, i czuł, że zapuszczać się tam byłoby zwykłym kuszeniem złego. Zmusić go do tego można by chyba tylko siłą.

- Dziwne powietrze - Logan pokuśtykał dalej, jedną ręką opierając się o ścianę. - Jak martwe. Światło też tu wyprawia jakieś sztuczki.

Storm zauważył, że konie skupiły się na środku groty, Surra wyraźnie unikała ciemnego wylotu i nawet Hing, zwykle skora do najbardziej lekkomyślnych wypraw, tym razem nie poszła za Loganem, lecz siedziała w grocie, kołysząc się na boki, i węszyła podejrzliwie.

Ziemianin z Gorgolem wzięli się za maskowanie wejścia do groty. Pozacierali ślady kopyt aż do brzegu jeziora. Napelnili trzy manierki i bukłak Gorgola. Stojąc nad brzegiem, Storm ujrzał wzdłuż krawędzi światelka, o których mówił tubylec. Gdyby Xikowie znaleźli ciało wartownika, byłiby bardziej ostrożni.

Dochodziła północ, gdy skończyli pracę i wczołgali się do jaskini. Kiedy Storm ułożył się do snu, miał wrażenie, że nieruchoma atmosfera tego miejsca nie dopuszcza żadnego świeżego powiewu, który powinien dostawać się tu przez pozostawioną szczelinę. A gdy zamknął oczy, poczuł się jak uwięziony w nie dającej się otworzyć skrzyni. „Zamknięte Groty” - dotychczas sądził, że nosiły taką nazwę, bo naprawdę zostały zamurowane, ale teraz był skłonny uwierzyć, że to jakaś nieodłączna cecha samych jaskiń czyniła je zamkniętymi. Głos rozsądku mówił mu, że postąpili słusznie, że jeśli będą mogli ukrywać się tu do czasu, aż on i Gorgol nie znajdą wyjścia z doliny, to ich szansę przeżycia będą większe niż jeden do jednego. Ale ciało nie słuchało tego głosu i każdą cząstką rwało się na zewnątrz.

Nadszedł ranek i wtedy docenili swoją kryjówkę - była oazą chłodu w rozpalonej słonecznym żarem dolinie. Logan podczołgał się do Storma obserwującego okolicę.

- W tym roku wielka susza nadchodzi wcześniej - zauważył. - Tak się zdarza, jeśli burze w górach są wyjątkowo gwałtowne. Jeszcze jeden powód, żeby szybko się stąd wynosić.

- Jadąc w tę stronę napotkaliśmy rzekę - odparł Storm. - Była to, oczywiście, pora deszczowa, ale czy może ona zupełnie wyschnąć?

- Staną nie. Ale ona płynie dość daleko na południe stąd. Nic nie wiem o tej, którą wspomniałeś. Dostać się do Staffy i jechać wzdłuż niej znaczyłoby dwukrotnie nadłożyć drogi. I wjechać na tereny Nitra.

- No to lepiej szybko się stąd zabierajmy... - Storm przerwał prawie w pół słowa, bo skrawek doliny, który mogli zobaczyć, nagle się zaludnił. Przez lornetkę mógł rozróżnić szczegóły. Nosili norbiskie puklerze i skórzane nogawkę, ale nie wysilali się na dokładniejsze przebranie. Bładozielona skóra i proste, spłowiałe włosy spadające w mysich ogonkach na ramiona, wskazywały, że dwóch spośród jeźdźców było Xi karni. Pozostali trzej to byli osadnicy. Dwóch z nich trzymało łuki, ale reszta miała nowoczesną broń. Jeden z Xików wiózł przed sobą przeraźliwie białą rurę.

Storm pogodził się już z tym, że najeźdźcy dysponowali tasakami, rozpylaczami, promieniami siły, ale widok tej rury wstrząsnął nim. Broni tej było niewiele, została ona wynaleziona pod sam koniec wojny i nie zdążyła wejść do powszechnego użycia. Z pewnością ostatnim miejscem, gdzie spodziewałby się ją ujrzeć, było to pustkowie na leżącej z dala od uczęszczanych traktów planecie.

Dwie sztuki tej broni przejęli Konfederaci zdobywając przez zaskoczenie posterunki wroga, który nie zdążył wysadzić ich w powietrze. Próby z nią przeprowadzono na bezludnych asteroidach i natychmiast wydano rozkaz, by każdy następny znaleziony egzemplarz był na miejscu zniszczony.

Rury mogły być użyte, i owszem, zmiatały wrogów w ułamku sekundy, ale produkowały przy tym potworną falę energii rozchodzącą się we wszystkich kierunkach, choć, być może, nie miała ona tak zgubnego działania na Xików, jak na żołnierzy Konfederacji. Zbudowane na zasadzie zbliżonej do destruktora, używanego przez siły Konfederacji do usuwania materii nieożywionej, miały moc wielokrotnie większą.

- Nowe kłopoty? - spytał Logan. Storm podał mu lornetkę.

- Widzisz tę rurę na drugim koniu - to najgorszy kłopot, jaki znam. - Wyjaśnił chłopcu, co wie na temat tej broni.

- Zdaje się, że chcą być pewni swego - zauważył sucho Quade. - Nie zależy mi szczególnie na Nitra. Mieliśmy pewne różnice zdań i jeśli nie wyjmowano ci nigdy z ciała ich strzały z haczykami, to nie wiesz, ile się można przy tym napocić. Nie, nigdy za nimi nie przepadałem, ale nasze dyskusje toczyły się zawsze na mniej więcej równym poziomie.

Użycie tego draństwa przeciw Norbisom to trochę tak, jak kazać walczyć z Surra stepowej kurze i, żeby było sprawiedliwiej, związać jej nogi.

Storm przekazał Gorgolowi treść rozmowy. Norbis skinął głową i odprowadził wzrokiem jeźdźców, aż zniknęli za rumowiskami.

- Nitra tu... ostatniej nocy. Może być nie tak teraz. Nie czekają jak robaki, żeby ich rozdeptać. Ta zła rzecz... lepiej ją zabierzmy.

- Nie - z żalem zaoponował Storm. - Tylko źli ludzie mogą jej użyć... my dotkniemy... my zabici! - użył najbardziej wyrazistego symbolu śmierci, jaki znał.

Jeździec wiozący rurę ukazał się ponownie na zboczu ostatniego ze wzgórz. Niezgrabnie zsiadł z konia, jego ruchy nie miały nic z gracji osadników czy lekkości tubylców. Widać było, że obcy traktują wierzchowca wyłącznie jako jeden ze środków transportu, nic poza tym. Zrozumiał teraz, jak Xikowie mogli wybić do nogi przerażone zwierzęta nie zważając na okrucieństwo tego czynu.

Najeźdźca przerzucił broń przez ramię i wspiął się na szczyt, gdzie zaczął usypywać kopczyk z kamieni mający stanowić podstawę dla rury. Poruszał się pewnie i bez pośpiechu. Storm zauważył, jak coś przemknęło w powietrzu. Przez szkła lornetki ujrzał strzałę, która drżąc jeszcze tkwiła w ziemi nie dalej niż pół metra od celu. Ale musiał być to jakiś wyjątkowo udany strzał, gdyż żaden inny pocisk nie sięgnął wzgórza.

- Nitra strzelają - znów podał Loganowi lornetkę.

- Musieli nieboraków zapędzić w ślepą uliczkę - zauważył chłopak. - Nie broniliby się tak rozpaczliwie, gdyby mieli inne wyjście.

Zobaczyli pozostałych jeźdźców. Arzorscy towarzysze Xików wysforowali się daleko przed najeźdźcą, poganiając w panice wierzchowce.

- Psiakrew - zaklął Storm - ci kretyni rzeczywiście chcą tego użyć!

Obrócił się szybko i zepchnął Gorgola na dno jaskini. Następnie rzucił za nim rozpylacz i zjechał na dół, ciągnąc za sobą Logana. Surra? Kot już tam był... Baku... Baku... Orzeł wyruszył na polowanie jakąś godzinę temu. Z całych sił Storm posłał ku niemu rozkaz, by nie wracał. Wysoko będzie bezpieczny...

- Wprowadźcie konie! Jak najdalej do tunelu!

- O co chodzi? Przecież ustawili to świństwo ponad milę stąd lufą w drugą stronę... - Logan próbował protestować, ale pokuśtykał w stronę ogiera zaganiając wraz z nim klacze. Wspólnie udało im się zmusić konie do wejścia w ciemny korytarz. Storm z rozpaczą spojrział na otwór w ścianie łączący ich z doliną. Nie było już czasu, by go zasłonić.

- Na ziemię! - dał przykład, padając plackiem. Gorgol i Logan poszli w ślad za nim. - Oczy! Zasłońcie oczy!

Potem mógł już tylko leżeć i czekać, z twarzą ukrytą w zgięciu łokcia.

To posunięcie ukazywało całą bezduszną obcych. Żeby pozbyć się kilku Nitrow, przeznaczili na straty wszystkie żywe istoty przebywające w dolinie. Uśmiechnął się smutno na wspomnienie uciekających bandytów. Na ile znał Xików, to nie będą zwlekali z użyciem broni, żeby dać swym kolegom szansę przeżycia.

Surra rozplaszczyła się obok Storma, a Hing usiłowała podkopać się pod niego, skrobiąc bezowocnie pazurami po skale i skomlać. Wreszcie Ziemianin wciągnął zwierzaka pomiędzy siebie i kota. Słyszał stukot podków, ale konie nie wyszły z tunelu. Zdaje się, że odebrały ostrzeżenie Storma równie dobrze, jak jego drużyna.

O broni wiedział tyle, ile napisano w wojskowych meldunkach, rozpropagowanych wśród drużyn Komanda, które w czasie swych działań operacyjnych mogły się natknąć na to niebezpieczne urządzenie. Było mało prawdopodobne, żeby te meldunki zawierały nie sprawdzone lub przesadzone informacje.

Dlaczego jej uboczny efekt nie dotyczył Xików? Kiedy jej użyją? Zaczął liczyć sekundy. Zdał sobie sprawę, że robi to na głos, dopiero, gdy usłyszał stłumiony chichot Logana.

- Mam nadzieję, że nie robisz z nas wariatów? - spytał chłopak. - No, kiedy będzie ten koniec świata?

Powiedział to w złą godzinę, bo w tej samej chwili ich ciemny i zatechły świat przestał istnieć. Storm nie potrafił nigdy później opisać, co się z nim działo w tym czasie wyjętym ze swego normalnego biegu. Czuł, jakby chwycił go jakiś olbrzym, zgniół w kulkę, a potem ją podrzucał. Żadnej myśli... uczucia... nic oprócz pustki i jego, lecącego w tę pustkę dalej i dalej, i dalej... A przy tym to coś, co naruszyło fundamenty jego świata, nie było siłą fizyczną, bo przez cały czas czuł, że jakaś część jego osoby leży, przywierając do twardej skały, podczas, gdy ta druga pędzi i wiruje w przestrzeni. A on był rozdarty pomiędzy tymi dwiema częściami.

Jak długo to trwało? Czy w czasie tej walki między materią a nie-materią stracił przytomność? Czy to skały pochłonęły większość nieznanego promieniowania i ocaliły ich? Wiedział tylko, że przetrwali kataklizm i że żyli.

Znów poczuł ciepło ciała Surry i wzdrygnął się pod dotknięciem pazurów Iling, która, ciągle przerażona wiła się i wierzgała łapami. Przez długą chwilę leżał bez ruchu, jak robak pod kamieniem, który w każdej chwili może zostać odkryty i wystawiony na śmiertelne

niebezpieczeństwo. Wreszcie w kłębowisku przerażonych myśli błysnęła iskra decyzji. Podniósł głowę i przez jedną okropną minutę był ślepy. Nie było już szczeliny ze skrawkiem nieba, wszystko wypełniała gęsta ciemność i martwe powietrze.

Usiadł, czując, że Surra też się podnosi. Warknęła i prychnęła. Nagle, gdzieś z ciemności, dobiegł głos Logana mówiącego ze sztuczną swobodą:

- Zdaje się, że ktoś nas przymknął!

ROZDZIAŁ 13

Storm skierował latarkę na wyjście z jaskini. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył: wyjścia nie było. Przedtem zamknęła je obsunięta ziemia i skały, ale tym razem było znacznie gorzej. Na powierzchni tejże ziemi-strumyki gęstej substancji utworzyły szczelną zasłonę.

- Co to...? - usłyszał zdumiony okrzyk Logana. Podeszedł bliżej, oświetlając to coś. Teraz rozpoznał materiał, z którego zbudowany był ten dziwny tor prowadzący do doliny i który wyścielał ściany tunelu. Chociaż nie zauważył tego przedtem, wejście do groty musiało być też nim wyłożone, a energia wyzwolona przez straszliwą broń Xików stopiła go jak masło.

Wręczył latarkę Gorgolowi, pokazując mu, gdzie ma świecić, a potem z całej siły uderzył rękojeścią rozpylacza w czarny sopel. Lekki stop, z którego była zrobiona kolba broni, wydał metaliczny dźwięk, Storm zatoczył się dwa kroki do tyłu, ale na czarnej powierzchni nie pozostał żaden ślad.

Ziemianin odwrócił broń, nastawił na maksymalną moc i nacisnął spust. Przerażliwie jaskrawy płomień wwierał się w powłokę, ale nie wypalił w niej znaku.

- Nic? - Logan przykuśtykał, żeby obejrzeć ścianę. - Co to za świństwo?

Storm wyjaśnił mu krótko, myśląc o czymś innym. Wziął od Gorgola latarkę i przechadzał się przed zasypanym wejściem. Przypadek? A może to dawni właściciele przygotowali taką przemyślną pułapkę na śmiałków? W każdym razie byli uwięzieni. Czarne strumyki dokładnie zespoliły skały i ziemię ze sobą. Może Hing udałoby się wydostać, ale nie było szans na przekopanie otworu na tyle dużego, żeby precyzyjnie się przez niego inni.

Pozostawał tunel.

Jeszcze raz przeszedł wzdłuż ściany, żywiąc - wbrew namacalnym faktom - nadzieję, że znajdzie jakąś drogę ratunku. Kiedy odwrócił się, stanął twarzą w twarz z Loganem.

- Ciągle nie rozumiem, co się stało! - Arzorczyk przyglądał się ścianie. - Gdyby wycelowali tę swoją maszynkę w nas, to zgoda. Ale przecież oni strzelali w drugą stronę i to o milę stąd!

- Ludzie z laboratoriów Konfederacji stwierdzili, że działanie uboczne tej broni jest wynikiem wibracji. Ta substancja najwyraźniej została przez nie stopiona. Wygląda na to, że na chwilę wszystko w dolinie przeszło w stan ciekły.

- Mam nadzieję - Logan odsunął się od ściany - że te wszystkie łotry, ugrzęzły w tym na dobre. Nie da się rozbić? Storm pokręcił głową.

- Rozpylacz to wszystko, co mamy. Widziałeś, co się stało.

- No trudno. Musimy więc ruszyć w głąb. I to zaraz. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale powietrze tu się zmieniło.

Rzeczywiście, zapach stęchlizny był znacznie wyraźniejszy. Rozpylacz też z całą pewnością nie odświeżył atmosfery. Albo spróbują szczęścia w tunelu, albo czeka ich tu marny koniec.

Załadowali zapasy na konie i niechętnie zagłębili się w mrok. Storm nastawił latarkę na najmniejszą moc - została mu już tylko jedna zapasowa bateria. W tym słabym świetle spostrzegli szybko, że przejście jest dziełem istot inteligentnych. Jeżeli nawet tunel nie został przez nie przebity, to wykończenie należało do nich. Ściany wyłożone były tym samym czarnym materiałem.

- Całe szczęście, że te twoje vibracje nie dotarły tak głęboko - zauważył Logan i odchrząknął. - Gdyby tak się stało - koniec z nami.

Podczas gdy atak Xików został jakby wyjęty z normalnego biegu czasu, ta podróż dla Storma miała wiele z drogi przez senny koszmar. Poruszali się chyba w normalnym tempie, ale jemu wydawało się, że brną przez jakąś gęstą ciecz. Być może, miało to coś wspólnego z powietrzem, które obezwładniało myśli i zwalniało reakcje. Czy minęły minuty, czy już godziny, odkąd zapuścili się w ten kanał, którego czarne ściany zdawały się pochłaniać tlen i światło?

Nagle Surra rzuciła się do przodu. Mignęła jak płowa błyskawica w blasku latarki i zniknęła w mroku. Zawołał ją i omal nie wylądował na ziemi, gdy Deszcz skoczył naprzód. Konie były równie podniecone jak kot.

- Powietrze! - krzyknął Logan.

Teraz Storm też poczuł powiew. Było to więcej niż świeże powietrze: wiatr niósł ze sobą jakieś dziwne, ale przyjemne wonie. Zaczął biec, słysząc za sobą tupot pozostałych.

Korytarz zakręcił i ujrzeli światło. Storm wyłączył latarkę i rzucił się ku niemu. Precisnął się obok ogiera, odepchnął jedną z klaczy i niemal wpadł na Surre, która stała na tylnych łapach, przednimi opierając się o pręty kraty, zamykającej wylot tunelu.

Storm chwycił się kraty i wyjrzał na zewnątrz. Nie była to otwarta przestrzeń, której oczekiwał. Za kratą rozciągał się ogród, ale nie potrafiłby nazwać żadnej z roślin. W każdym razie żadnej z pierwszej grządki.

Na następnej... Nie! Palce Ziemianina zacisnęły się kurczowo na prętach. Był wstrząśnięty rozpakowując paczkę od Na-Ta-Haya, ale nie aż tak, jak teraz. To był

kawałeczek świeżej, czystej ZIELONEJ trawy z rosnącą sosną. To nie był szpicer ani lichtarzowiec, ani dłuźec, tylko prawdziwa ziemską sosną!

- Sosna! - z tego słowa mógłby stworzyć pieśń, pieśń, której potęga przywołałaby Odległych Bogów z otchłani kosmosu. Uderzył w kratę, a potem zaczął gorączkowo szukać zamka. „Wydostać się... stanąć pod tą sosną!...”

- Storm... rygiel... po drugiej stronie...

Słowa dotarły do niego pomimo jego podniecenia. Na zewnątrz kraty zauważył zamek o nie znanym mechanizmie. Ale jakoś się przecież otwierał. Musiał się otwierać!

Przecisnął rękę przez kratę i uderzył pięścią w zasuwę. Niecierpliwość zmieniła się we wściekłość skierowaną na tę upartą rzecz, która więziła ich w tunelu, podczas gdy za nią rozciągał się cały ten piękny świat. Z trudem opanował się, cofnął rękę i wyciągnął nóż. Jeszcze raz, zgięty, przycisnął się do kraty próbując wetknąć ostrze w kolejne otwory metalowego kółka, które musiało stanowić blokadę rygla. Logan i Gorgol powstrzymywali tłoczące się zwierzęta. Storm spocił się ze zdenerwowania, dłonie stały się śliskie, aż w końcu nóż się z nich wyśliznął i spadł do ogrodu, daleko poza zasięgiem ręki. Nóż Norbisa był zbyt długi, Logan nie miał broni. Użycie rozpylacza przeciw nie znanej czarnej substancji, z której zrobiona była krata, mijало się z celem. Znowu zaczął walić bez sensu pięścią, ale pisk z dołu - spoza kraty - przywołał go do porządku. Krata więziła wszystkich oprócz Iling, która przecisnęła się przez nią, a teraz spoglądała wyczekująco na pana.

Hing! Storm ukląkł i zmusił się do przybrania łagodnego, cierpliwego tonu, gdy przemówił do zwierzęcia. Mistrz Zwierząt może kontrolować i kierować swymi towarzyszami tylko wtedy, gdy w pełni kontroluje siebie. Zapomniał o tej pierwszej zasadzie i, kiedy to sobie uświadomił, przeraził się prawie tak samo, jak wtedy, kiedy ujrzał potworną broń Xików. Tym bardziej, że była to całkowicie jego wina, po raz pierwszy od czasu, kiedy wstąpił do służby, popełnił błąd.

Opanował się z wysiłkiem i zwalczył lęk przed tym, że nie otworzy tajemniczego zamka. Teraz liczyła się Hing. Hing i jej ciekawość, jej pazury, zadania w których była ćwiczona. Storm skoncentrował się i całą swą moc skupił na tym jednym obrazie.

Hing przysiadła na chwilę na tylnych łapach, potem opadła z powrotem na cztery i wspięła się na drzwi, aż do zasuw, o kilka centymetrów od twarzy Storma. Zatrzymała się i zagruchała pytająco.

Tym razem Ziemianin nie mógł nią pokierować. Kiedy niszczyli delikatne urządzenia wroga, Storm dysponował wcześniej modelami, na których mógł przećwiczyć wszystko i potem przekazywać zwierzęciu dokładnie, co ma robić. Teraz nie znał nawet typu zamka.

Mógł polegać tylko na naturalnej ciekawości Hing i próbować nakłonić ją do samodzielnego rozwiązania problemu. Meerkaty nie dorównywały inteligencją Surrze czy Baku, szansę na powodzenie tego planu były więc niezbyt duże.

W napięcie woli Storm włożył całą swą moc, nie zdając sobie sprawy, że jego twarz wyraża przeogromny wysiłek. Jego dwaj towarzysze nie wiedzieli ani dlaczego, ani jak toczy te zmagania, ale zastygli w milczeniu pod wrażeniem jego walki.

Hing opierała się tylnymi łapami o zasuwę, a przednimi uderzała w metalowe koło. Pisnęła ze złością, nie wiadomo czy pod adresem upartego zamka, czy w odpowiedzi na bezgłośny rozkaz. Ale nie wycofała się. Spróbowała chwycić koło zębami, prychnęła gniewnie i znów użyła pazurów. Czy odkryła sposób otwarcia, czy był to tylko szczęśliwy traf, dość, że nagle błysnęło światelko, a Hing zaskrzeczała i odskoczyła od zasuw, w momencie, gdy ta opadła. Krata otworzyła się na zewnątrz pociągając za sobą wczepionego w nią Storma. Wyczerpany napięciem, nie miał siły się podnieść i był tylko na wpół świadomy tego, że Gorgol odciąga go na bok, robiąc drogę tłoczącym się koniom. Leżał na wznak, wsparty na ramieniu Norbisa, gapiąc się półprzymkniętymi oczami w przestrzeń, w której kłębiły się smużki mgły.

- Co to za miejsce... - głos Logana był przytłumiony i nieco przerażony.

Powietrze było czyste i wypełnione woniami: korzennymi, kwiatowymi, przyciągającymi, jak gdyby ktoś zgromadził tu wszystkie pachnące rośliny z tuzina światów. Jak wkrótce odkryli - tak właśnie się stało. Storm z pomocą Gorgola stanął na nogach. Zobaczył, że Surra siedzi przed puchatą kulą pokrytą kielichami purpurowych kwiatów i z półprzymkniętymi oczami wdycha z rozkoszą ich delikatny, lecz kuszący zapach. Konie zaś pocwałowały w kierunku spłachetka zielonej trawy, która z pewnością pochodziła z Ziemi.

Uwolnił się z uchwytu towarzysza i chwiejnym krokiem podszedł do sosny. Pieszczotliwie dotknął kory, zapach igieł i żywicy był piękniejszy niż wszystkie egzotyczne wonie roztażane przez rosnące wokół rośliny. To była naprawdę sosna. Stanowiła wierzchołek trójkąta obsadzonego ziemską roślinnością. Oparty o drzewo Storm rozejrzał się ciesząc oczy pięknem rozkwitłych róż, kiści bzu i innych roślin znanych, nie znanych, wszystkich w pełni kwitnienia, wszystkich intensywnie pachnących.

- Co to jest? - Logan stanął obok Storma. Odwrócił poranioną twarz ku kępom kwiatów, jakby czując ich leczniczy wpływ.

- Z Ziemi - Storm rozłożył szeroko ramiona. - Wszystkie są z mojego świata! Ale jak się tu dostały?

- A to co takiego? One na pewno nie są z Ziemi. - Logan obrócił Storma i wskazał inny ogródek leżący za chodnikiem z nie znanego materiału. Miał rację. Dziwaczne, dla ziemskich oczu, krzaki z niebieskawymi, poskręcanyymi liśćmi i pasiastymi kwiatami - jeśli te talerze były kwiatami - nie pochodziły ani z Ziemi, ani z żadnej innej znanej Stormowi planety.

Gorgol przeciął łączkę, na której pały się konie. Jego palce wyrażały zdumienie:

- Dużo pachnących rzeczy... wszystkie różne... Storm obrócił się jeszcze trochę, cały czas jedną ręką wspierając się o pień sosny nie tylko z powodu zmęczenia, ale i dlatego, że cud, jakim było pojawienie się tu tego drzewa, czynił całą resztę jakimś rozkosznym snem. Z „ziemskim” ogrodem sąsiadowały jeszcze dwa ogródki czy działki różniące się zupełnie roślinnością, która je wypełniała. Miała ona tylko dwie wspólne cechy: żadna z roślin nie była brzydka i wszystkie przyjemnie pachniały.

Logan zamrugął i potarł czoło zabandażowaną ręką.

- To coś jak... - obrócił się powoli dokoła. Błyszczące punkty, o których Storm myślał, że są częścią krzaka o kremowych gałązkach, frunęły w górę trzepocąc skrzydełkami i pomknęły ku innym roślinom. Ptaki? Owady? Obie możliwości były prawdopodobne.

- Na niektórych światach mają takie miejsca - Logan ciągnął swoje wyjaśnienia - gdzie trzymają dzikie zwierzęta. Nazywają to zoo. Zdaje mi się, że w tym miejscu chcieli zebrać okazy roślin z różnych planet. Jeden, dwa, trzy, cztery - policzył oddzielne działki wokół nich. - Każda jest zupełnie inna.

Storm zgodził się z chłopcem. Gorgol wyciągnął rękę i z wahaniem dotknął jednej z kremowych łodyżek, na których przed chwilą siedziały latające kwiaty. Cofnął dłoń i powąchał ją z przyjemnością równą tej, z jaką Surra rozkoszowała się zapachem purpurowych kielichów.

Surra? Storm rozejrzał się za kotem. Znikła, przepadła gdzieś w tej pachnącej dzicy. Usiadł pod sosną opierając się o jej pień. Dłonie położył na ziemi, która była taka, jak ziemia jego rodzinnych stron: wilgotna i spoista. Wystarczyło zamknąć oczy, żeby nie widzieć innych ogrodów z ich dziwną roślinnością, albo patrzeć w górę na namiot z zielonego igliwia i być znów w domu...

Gorgol i Logan gdzieś poszli. Storm był zadowolony, że został sam. Powoli zsuwał się po pniu, aż ułożył się pod sosną i zasnął mocnym snem bez marzeń, zupełnie odprężony, choć światło pozornego dnia nie przechodziło w wieczorny zmierzch.

- ...najdziwniejsza mieszanka, jaką widziałem. - Logan leżał obok na plecach, a Gorgol przesypywał igliwie między palcami. Według światła, ciągle jeszcze był dzień, chociaż w jaskini znajdowali się już od wielu godzin.

- Myślę - ciągnął osadnik - że wydrążyli na to całą górę. Naliczyliśmy około sześćdziesięciu działek - w tym dwa wodne ogrody. Są jeszcze sady owocowe i winnice... - wskazał na resztki po ich posiłku, kupkę ogryzków i łupin. - Mówię ci, tu jest fantastycznie.

- Żadnych zwierząt?

- Ptaki, owady - innych nie spotkaliśmy. No, poza twoim kotem. Widzieliśmy ją, gdy tarzała się w jakimś mchu i zachowywała się zupełnie jak dzika. Zmykała przed nami, jakbyśmy byli co najmniej Xikami z tą ich pukawką.

- Jak to wszystko mogło rosnąć bez żadnej pomocy przez lata, a może wieki? - dziwił się Storm. - Masz rację, to jest... musieli to założyć jako ogród botaniczny, stanowiący zbiór okazów z całej galaktyki. To - wziął w palce płomiennopomarańczową skórkę - było astrańskie „złote jabłko”. A te czarno-białe jagody są z Trzeciej Syriusza. Ale przecież, gdyby zostawić taki ogród samemu sobie, zdziczałby szybko. Coś go dalej kontroluje, podtrzymuje wzrost, użyźnia glebę...

- Może to światło? - podsunął Logan - Albo powietrze? Coś zauważyłem. - Wyciągnął rękę. Nie miał już bandażu. Rany, które opatrzył Storm, były nie tylko zamknięte, ale prawie zagojone.

- Pokaż mi ramię - Logan zasignalizował do Gorgola, a ten wyprostował zranioną rękę. Rana po strzale była już tylko czerwonym punktem i tubylec używał ręki swobodnie, bez żadnej trudności.

- A ty jak się czujesz? - dopytywał się chłopak. Storm wyprostował się. Nie zwrócił na to przedtem uwagi, ale teraz, kiedy Logan go zapytał, poczuł, że nie czuje już wyczerpania. Na dobrą sprawę nie obudził się z taką radością życia od dawna, chyba od lat. Miał ochotę tarzać się, jak Surra, po ziemi i mrużyć ze szczęścia.

- A widzisz? - Logan nie oczekiwał konkretnej odpowiedzi. - To jest w powietrzu, dookoła nas. Wzrost - to powoduje, że jesteśmy żywi, pełni sił, leczy też nasze rany. Może to miejsce nie miało być tylko ogrodem botanicznym.

- Czy jest jakieś wyjście?

- Znaleźliśmy trzy - odparł Logan - Dwa są zakratowane, ale trzecie wygląda najbardziej obiecująco.

- Dlaczego?

- Bo jest zamurowane. Według legendy o Zamkniętych Grotach, to mogłoby być wyjście na zewnątrz...

Stormowi wydało się, że powinien teraz zerwać się i pobiec, żeby zobaczyć to wyjście. Ale po raz pierwszy od lat obezwładniło go lenistwo. Leżeć pod sosną, patrzeć na pasące się konie, obok tak samo rozluźnionych towarzyszy, nie musieć nic robić - to było coś cudownego, doskonałego! Znaleźli przecież skrawek raj, mają się spieszyć z opuszczeniem go?

Gorgol usiadł, otrzepał frędzle pasa z igieł i powoli rozejrzał się wokół. W Stormie obudziło się jakieś słabiutkie zrozumienie.

Żółtoczerwone palce tubylca poruszały się ostrożnie, z przerwami, jak gdyby, mając coś bardzo ważnego do przekazania, szczególnie uważnie dobierał znaki.

- To... pułapka... wielka pułapka.

ROZDZIAŁ 14

- Pułapka? - powtórzył obojętnie Logan. Storm zaś poczuł, jak jego ociężałość zaczyna ustępować wskutek rosnących wątpliwości. Może dlatego, że spotkał się już z wieloma, czasem bardzo pomysłowymi, pułapkami, był bardziej wrażliwy na ostrzeżenie.

- Jaka pułapka? - zasygnalizował.

- Podoba ci się... ty szczęśliwy... - Gorgol szukał znaków dla wyrażenia skomplikowanej myśli. - Nie idziesz... chcesz zostać... Storm usiadł.

- Ty nie chcesz zostać? - spytał. Gorgol znowu rozejrzał się dokoła.

- Dobrze... - dotknął resztek owoców. - Dobrze! - Przesadnie głęboko wciągnął pachnące powietrze. - Jest mi dobrze! Ale... nie moje...

Przesunął palcami po igliwiu.

- Nie moje... - Pstryknął palcami w kierunku innych ogrodów. - Tu nie miejsce Gorgola... nie trzyma Gorgola... twoje miejsce... trzyma ciebie...

Coś w tym było! Ostrzegawczy dzwonek w umyśle Storma był coraz głośniejszy. Nie ma lepszej przynęty dla człowieka, którego świat przestał istnieć, niż skrawek ojczystej planety! Być może to miejsce nie było pomyślane jako pułapka, ale to niczego nie zmieniało. Powstał gwałtownie i z determinacją zaczął oddalać się od sosny.

- Gdzie te wasze zamurowane drzwi? - rzucił szorstko przez ramię, nie chcąc oglądać się na kusicielski trójkąt wabiący znajomą zielenią.

- Myślisz, że Gorgol ma rację?

- O takich rzeczach się nie myśli. To się czuje. - Wielokroć tego doświadczył. - Być może ci, którzy stworzyli to miejsce, nie chcieli, by było ono pułapką...

Klepnął ogiera przeganiając go z trawy na chodnik oddzielający ogród ziemski od sąsiedniego.

- Surraaaa! - krzyknął głośno. Takiego wezwania użył tylko raz czy dwa razy w ich wspólnej historii. Głos odbił się echem, płosząc ptaki i gromady barwnych owadów.

Ruszył ścieżką prowadząc konia za uzdę. Im prędzej oddali się od tej odrobiny ojczystej ziemi, tym lepiej. Serce przepełniła mu gorycz - obrócił ją przeciw wrogom. Więc Xikowie myślą, że skończyli z Ziemią? Możliwe, ale nie skończyli z Ziemią!

Spieszył się, co rusz to skręcał i zmieniał drogę, starając się tak ją skomplikować, żeby nie mógł łatwo odnaleźć tego niebezpiecznego zakątka ukrytego pod sosną. Jeszcze dwukrotnie zawołał Surre. Hing szła za nim, od czasu do czasu zatrzymywała się, węsząc lub

rozgrzebując ziemię, ale zaraz dołączała do reszty. Konie stąpały posłusznie za Deszczem. Szli wąskimi ścieżkami pomiędzy ogrodami.

- Tutaj w lewo - zrównał się z nim Logan - dookoła wody, a potem za tym kawałkiem, gdzie rosną szkarłatne, pierzaste drzewa. Ciekawe, skąd pochodzą? O, widzisz? Już jesteśmy.

Smukłe, szkarłatne drzewa opierały się o skalne ściany grotu. Czarna ścieżka wiodła prosto ku łukowatemu otworowi w skale, który został dokładnie zamurowany kwadratowymi blokami o boku mniejszym niż pół metra. Ziemianin nie zauważył nigdzie czarnego materiału, chyba że użyto go jako zaprawy murarskiej. Ściana nie ustępowała pod naporem dłoni. Zbadał ją dokładnie, zastanawiając się, czego mógłby użyć do zburzenia przeszkody. Czy dałoby się to zrobić za pomocą noży? Szkoda mu było rozpylacza - była to ich najpotężniejsza broń. Lepiej zacząć od noży.

Po kwadransie, mając ręce śliskie od potu i z trudem panując nad emocjami, musiał przyznać, że to nie było właściwe rozwiązanie. Pozostawał rozpylacz. Nie był to, co prawda, destruktor, ale nastawiony na największą moc powinien zadziałać na bloki skalne albo na substancję je spajającą.

Odesławszy resztę na bezpieczną odległość, Storm ułożył się na chodniku, podkładając pod lufę kilka kamieni tak, aby celownik był skierowany na punkt, pośrodku muru. Nacisnął spust i, opierając się sile odrzutu, utrzymał broń w tym samym położeniu.

Mijały sekundy, może upłynęła nawet minuta, a jedynym efektem była fala potwornego żaru, która, odbita od ściany, uderzała następnie w Storma. Nagle w środku promienia ukazał się żółty punkt rozszerzający się wkoło. Potem kolor zmienił się, a ściana zaczęła dymić. Łzy pociekły mu z oczu, chwycił go duszący kaszel, ale Storm nie ustępował. Powoli obniżał lufę, prowadząc żółtą plamę ciągłym ruchem ku ziemi. Światło zaczęło pulsować. Znaczyło to, że kończy się magazynek. Co będzie, jeśli się pomylił i wyczerpał rozpylacz nie uzyskując nic w zamian? Kurczowo trzymał broń, a pulsacja stawała się coraz bardziej urywana, aż wreszcie promień zniknął.

Ku jego ogromnemu rozczarowaniu, ściana wyglądała równie nieustępliwie jak przedtem. Nie mógł czekać. Pomimo buchającego gorąca, podbiegł do niej i, odwróciwszy rozpylacz kolbą do przodu, uderzył z całej siły w osmaloną smugę. Kiedy broń trafiła w skałę, poczuł wstrząs, który nim zachwiał. Zobaczył, że opalona część muru przesunęła się trochę do tyłu. Może niewiele, ale jednak. Podniesiony na duchu uderzył jeszcze raz. Ściana rozsypała się. Jednak nie wzdłuż złączeń - rozpadły się same bloki skalne. Materiał budowlany obcych był mocniejszy niż produkty natury.

Krzew o koronkowych gałązkach zatrząsł się i spod jego opalizujących liści wypełzła Surra z błyszczącymi dziko oczami. Wyszła na ścieżkę i dysząc stanęła przed Stormem. Podrapał ją za uszami, przemawiając w śpiewnym języku, który ją uspokajał. Była tak podniecona, że dziwił się, iż usłuchała jego wezwania.

Wrodzona niezależność kotów powodowała, że były doskonałymi kompanami, towarzyszami w walce, ale nigdy sługami. Za każdym razem, gdy Surra była posłuszna jego wezwaniu lub rozkazowi, wiedział, że czyniła to z własnej woli. Nigdy też nie był pewien, czy uczyni to następnym razem. Teraz, pod dotknięciem jego łagodnych dłoni, rozluźniła się, zaczęła mruczeć i pieszczotliwie uderzać go łapą o schowanych pazurach. Widać, ona także nie dała się uwięzić obcej pułapce.

Ogołocili z owoców sąsiednie ogrody, napełnili manierki czystą wodą z miniaturowego wodospadu i czekali. W końcu bloki skalne ostygły na tyle, że mogli ich dotknąć i, pracując we trzech, poszerzyli otwór w ścianie.

Przewidywania Logana okazały się trafne. Przed nimi ciągnął się nie tunel, a następna grotka, poza którą widać było światło arzorskiego dnia. Po kolei przeprowadzili konie przez wyrwę w murze, a Gorgol, który wybrał się na krótki zwiad, wrócił podekscytowany.

- Ja znam to miejsce! Tu zabiłem złego lotnika. Stąd jest droga na zewnątrz...

Wyszli do doliny tak wąskiej, że była zaledwie parowem pomiędzy górującymi nad nią dwiema wyżynami. Był to teren prawie zupełnie pozbawiony roślinności i słońce zamieniało go w prawdziwy piec hutniczy. Podkreślało to jeszcze bardziej kontrast pomiędzy jałowością zewnętrznego świata a urokami jaskini. Pod wpływem impulsu Storm zawrócił i zaczął pokruszonymi kamieniami zasypywać otwór w skale. Przyłączył się do niego Logan. Nie był już tak opuchnięty, więc mógł się uśmiechnąć.

- Nie będziemy zdradzać sekretów Zamkniętych, co? - zaśmiał się. - Zresztą to jest zbyt dobra kryjówka. Może jeszcze nam się przydać.

Nie przeszło im nawet przez myśl, jak szybko to nastąpi.

Gorgol dosiadł jednej z klaczy i ruszył w stronę południowego krańca doliny. Logan jechał na oklep na drugiej, a roczniaka obładowali resztkami zapasów. Storm miał właśnie wskoczyć na ogiera, gdy Surra wydała okrzyk wojenny i z nastroszoną sierścią wyskoczyła przed konia Norbisa, sycząc wyzywająco. Na jej syk nadeszła podwójna odpowiedź. Emiter Gorgola wypalił, gdy żółtoszary głaz oderwał się od skały i, ukazując nagle czworo łap, zaatakował ze ślełą furją, zanim Storm zorientował się, co się dzieje.

Joris, rażony promieniem emitera, wydał zduszony ryk i runął na piargi, podczas gdy Gorgol usiłował poskromić przerażonego konia. Klacz, na której jechał Logan, również się

spłoszyła i chłopak, nadal nie całkiem sprawny, nie mając oparcia w siodle, przekoziółkował w dół w chwili, gdy zza skały wynurzył się drugi jaszczur.

Strzała Storma trafiła w jeden z trzech słabych punktów gada - miękkie podgardle, ale nie zabiła go na miejscu. Kłapnął morderczymi zębami i Logan z krzykiem rzucił się do tyłu. Z rany na łydce buchnęła krew. Gorgol strzelił jeszcze raz do rannego jorisa i, nie zwracając na niego dalszej uwagi, skoczył ku chłopcu.

Młody Quade obiema rękami ścisnął nogę tuż powyżej rany. Był bardzo blady. Spojrzał na Storma dziwnie pustym wzrokiem. Gorgol wyciągnął nóż i odciął jeden z frędzli przy pasie. Nagłym szarpnięciem ściągnął but z nogi Logana, który odruchowo wstrzymał oddech. Tubylec owinał pas skóry dookoła łydki chłopca tuż nad raną i podał końce Stormowi, by ten je mocno zawiązał, tworząc rodzaj opaski uciskowej. Sam podszedł do jorisa, podważył mu szczęki i zajrzał do paszczy. Potem błyskawicznie wyciął z brzucha zwierzęcia spory płat sadła i wrócił biegiem, by obłożyć nim ranę.

- Samiec - wycedził Logan przez zaciśnięte zęby. - Jad... Storm poczuł, że robi mu się zimno. W jego zestawie do pierwszej pomocy nie miał niczego, co mogłoby pomóc rannemu. Słyszał historie o ukąszonych przez jorisy - nie kończyły się dobrze. Ale Gorgol zasygnalizował:

- Wyciągając... - wskazał na strzęp gadziego sadła. - Nie chodzić, nie jeździć... leżeć spokojnie... zaraz chory, bardzo chory... Logan uśmiechnął się blado.

- Wie, co mówi - głos miał dziwnie zmieniony. - Chyba mnie bierze...

Bladość pod opalenizną stała się szara. Chłopcem zaczęły szarpać drgawki, których nie mógł powstrzymać. Z kąta ust pociekł strumyczek krwi.

Gorgol podbiegł do jorisa i wyciął nowy kawałek tłuszczu. Pokazał Stormowi, by ten zdjął pierwszy płat, i zaraz przykrył ranę następnym. Norbis wskazał na plamę czegoś niebieskiego na zakrwawionym sadle.

- Jad... wychodzi...

Ale czy mogli usunąć w ten sposób całą truciznę? Logan uspokoił się. Głowa opadła mu na piersi. Łapał gwałtownie powietrze. Jego skóra była lepka od zimnego potu. Chyba stracił przytomność.

Gorgol jeszcze cztery razy zmieniał ten szczególny opatrunek. Za ostatnim razem nie było na nim śladu trucizny. Chłopiec leżał bezwładnie, oddychał szybko i płytko.

- Nie ma jadu. Teraz śpi... - wyjaśnił Norbis.

- Obudzi się?

Gorgol przyjrzał się nieprzytomnemu.

- Może być, tak. Nie ma więcej do zrobienia. Nie jeździć, nie chodzić, może być tak dużo dni... - podniósł dwa palce.

- Słuchaj - powiedział Storm, a potem poruszył palcami. - Ty powiesz mi, jak iść... ja znajdę pomoc... wrócę... wy poczekacie w miejscu rosnących rzeczy...

Norbis skinął głową.

- Ja pilnuję... ty sprowadzisz pomoc... powiesz też o złych ludziach...

Wspólnymi siłami wnieśli Logana z powrotem do jaskini i Storm zaczął przygotowania do wyprawy. Gorgol wyrysował mu na ziemi drogę. Zamierzał wziąć konia, a zostawić Surre. Musiał jechać szybko, zbyt szybko dla kota. Może na zewnątrz odnajdzie Baku?

Wziął ze sobą dwie manierki, paczkę żelaznych racji, łuk i strzały. Gorgol chciał mu oddać emiter i Storm zawahał się przez chwilę, ale odmówił, wiedząc o magii, jaką Norbis przypisywał broni i nie chcąc pozbawiać go możliwości obrony, w razie, gdyby Xikowie zajęli dolinę.

Przed odjazdem zbadał jeszcze raz Logana. Chłopak nadal był nieprzytomny, ale oddychał już spokojniej i wyglądał, jakby spał. Zdawało się, że jego szansę na przeżycie wzrosły. Wszyscy osadnicy posiadali odtrutkę na jad jorisa i Storm zamierzał ją przywieźć.

Następnego dnia o świcie Ziemianin wyruszył, omijając ogryzione już do kości zwłoki jaszczurów, i skierował się w dół drogą, którą dwa lata temu pokonał Gorgol. Jadąc, wzywał bezgłośnie Baku, ale ten się nie zjawiał. Zaczął się lękać, że ptak zginął od broni Xików. Żałował, że nie ma z nim Surre, której doskonały słuch i węch były mu tak pomocne. Nagle zdał sobie sprawę, że chyba za bardzo uzależnił się od swojej drużyny.

Droga, którą odkrył Gorgol, była szczeliną skracającą na południowy zachód. Zgodnie z tym, co mówił tubylec, powinna go wyprowadzić na równinę grubo przed zachodem słońca. Nie zauważył nigdzie śladów ani Xików, ani Nitrów, ale dwa razy przeciął całkiem świeży trop jorisa, a raz znalazł na miękkiej ziemi odcisk szponiastej łapy, która mogła należeć do stworzenia, zwanego przez Norbisa „złym lotnikiem”.

Musiał jednak zanoć w wąwozie. Podzielił się z Deszczem zawartością jednej z manierek, po czym ogier niechętnie pożywił się kępami wyschniętej, brunatniejącej trawy.

Ranek wstał chłodny, pochmurny i Storm ponaglał konia, chcąc wydostać się z doliny, zanim nadejdzie następna ulewa. Wyobrażenia podsuwała mu mało zachęcające obrazy tego, co mogłoby spotkać konia i jeźdźca, gdyby tym wąskim przejściem runęły masy wody.

Do południa było jeszcze daleko, chmury nie zamierzały wylać swojego brzemienia na ziemię, a oni galopowali już po obrzeżach równin, które szerokim językiem sięgały stóp

Szczytów. Według Logana, do pierwszej chaty miał dotrzeć przed zmrokiem, a stamtąd nawiązałyby łączność z dowolnym gospodarstwem w okolicy.

Wcześniej jednak trafił na wioskę. Staffa przecinała te równiny i Storm skrzył, by trzymać się jej zachodniego brzegu. Był pewien, że siedziba ludzka nie może leżeć daleko od wody. Z radością ujrzał kopuły norbiskich namiotów. Ściągnął cugle, przewiesił łuk przez plecy i wyciągnął do góry ręce pokazując wartownikom, że nie ma złych zamiarów. Ale żaden wartownik się nie ukazał. Storm podjechał bliżej i zobaczył, że pomiędzy namiotami nie ma nikogo. Panująca cisza była tak niesamowita, że znów się zatrzymał.

Norbisowie nie budowali stałych osad. Nad rzekami można było często spotkać pozostałości po obozie, ale nigdy tubylcy nie zostawiali rusztowań ani pokrycia swoich namiotów. Należały one do majątku rodziny i nie było łatwo zdobyć nowych.

Słup przy największym z namiotów był pomalowany w karmazynowe pasy, co oznaczało, że wieś należy do klanu Shosonna, sprzymierzonego z plemieniem Gorgola i życzliwie nastawionego do osadników. Czyżby napadli na nich Nitra? Storm ściągnął wodze i ruszył stępą w kierunku namiotów. Jeszcze jedno okrucieństwo Xików?

- No, dobra! Stań, gdzie jesteś i ręce do góry! Rozkaz spadł na niego jak grom z jasnego nieba. Ton głosu skłonił go jednak do posłuszeństwa, przynajmniej na razie. Podniósł ręce do góry, dłońmi na zewnątrz, rozglądając się w poszukiwaniu niewidocznego przeciwnika.

- Mamy cię w dalekowszoku, koleś...

Ach tak! Odzyskał trochę wiary w swoje umiejętności zwiadowcze. Dalekowszokiem można było wypatrzeć człowieka z odległości mili lub nawet większej. Właściciel głosu mógł go wykończyć, zanim Storm zorientowałby się, że ktoś jest w pobliżu. Ale kto to był? Bandyta na usługach Xików? Osadnik? Zarówno jedno, jak i drugie było możliwe.

Deszcz parsknął, przestąpił z nogi na nogę i obrócił głowę do pana, jakby pytając, na co czekają. Storm wpatrywał się w zabudowania, falującą trawę, brzegi strumienia, szukając jakiegoś śladu ukrytych tam ludzi. Jego cierpliwość się kończyła. Nie miał czasu na zabawę w chowanego. Logan potrzebował pomocy, a wiadomość o zamiarach Xików powinna być jak najszybciej przekazana władzom.

W końcu opuścił ręce. Na to czekano, bo w tej samej chwili z namiotu wodza wyszło trzech mężczyzn i ruszyło ku niemu, trzymając go na muszkach emiterów.

- Dumaroy! - szepnął do siebie. - I Bister!

Nie był zachwycony takim zestawem.

Coli Bister szedł krok za swymi towarzyszami i Storm, który skupił uwagę na nim, był pewien, że tamten go rozpoznał. Za chwilę uzyskał potwierdzenie.

- To ten zwariowany Ziemianin, o którym ci mówiłem! - Bister specjalnie podniósł głos, by być dobrze słyszany. - Całą drogę do Krzyżówki trzymał się z kozłami, a teraz wygląda, jakby na dobre do nich przystał.

Dumaroy kroczył ciężko, potężna postać, niebezpieczna jak samiec frawna. Storm znał ten typ człowieka. Jeśli coś postanowił, nic nie mogło zmienić jego decyzji.

- Co się dzieje, Dumaroy? - Ziemianin zapytał spokojnie najłagodniejszym tonem. - Cieszę się, że was spotkałem. Tam, w Szczytach...

Raz, kiedyś, Storm doświadczył już działania emitera. Ale wtedy nie dostał całej wiązki. Było to gorsze niż najgorsze uderzenie, prawie takie, jak koszmarne przeżycie, gdy Xikowie użyli swojej białej rury. Nie zdawał sobie sprawy, że spada z konia. Nagle znalazł się na ziemi, niebo wirowało nad nim, a w uszach dzwoniły setki dzwonów. Poczł jeszcze, że ktoś go brutalnie odwraca, wiąże ręce i... wpadł w czarną dziurę nieświadomości.

Ostatnią myślą było, że któryś z tych trzech strzelił do niego bez ostrzeżenia. Szeroka twarz Bistera. Tylko, że coś w niej było nie tak... coś nie tak z Bisterem... było ważne, że to zrozumiał... bardzo dla niego ważne.

ROZDZIAŁ 15

Ocknął się z potwornym bólem głowy, który wokół oczu przechodził w niezdolne pulsowanie. Nie mógł podnieść powiek, ale skądś, z odległej przeszłości doszło do niego, że trzeba szybko działać. Zaczął walczyć o odzyskanie kontroli nad swym ciałem i umysłem. Starał się ruszyć i uświadomił sobie, że leży na ziemi, związany, i że wszelkie próby rozluźnienia więzów kończą się tylko silniejszym łupaniem w głowie.

Zerknął spod na wpół przymkniętych powiek. Był wczesny wieczór. Wokół słyszał ruch i gwar obozowego życia. Przewyciężając zamroczenie, starał się ze strzępów rozmów wyłowić jakieś informacje. Powoli, z urwanych fragmentów zdań, które do niego dochodziły, wyłonił się niewesoły obraz. To, czego obawiał się Logan, już się zaczęło. Największe stado Dumaroya zostało uprowadzone, a ślad zwierząt prowadził wprost do obozu Shosonnów na brzegu rzeki. Rozwścieczeni osadnicy najechali go w odwecie. Na szczęście, nie było zabitych, Norbisowie zdążyli uciec, ale w czasie pogoni tubylcy zranili ciężko dwóch ludzi. Teraz Dumaroy czekał na posiłki, zdecydowany wytropić Shosonnów wśród wzgórz i dać im dobrą nauczkę. Rozesłał wici zwołujące wszystkich osadników, gdyż, jak wskazywały ślady, uciekający Shosonna przecięli świeży trop Nitrów i Dumaroy obawiał się połączenia sił tubylców.

Jedna prawdziwa bitwa z Norbisami i plan Xików będzie na najlepszej drodze do pełnej realizacji. Mogli bez trudu kontynuować swoją taktykę drażnienia obu stron. To znaczy: mogliby, gdyby Storm nie dotarł do osadników. Gdy opowie swą historię Dumaroyowi, ten z pewnością będzie musiał przemyśleć swoje posunięcia i zaczekać na Oficerów Pokoju. Bister - w jakiś sposób Coli Bister odgrywał tu ważną rolę. Storm dałby głowę, że to on właśnie ogłuszył go, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Ciekawe, co wymyślił, żeby usprawiedliwić ten strzał bez ostrzeżenia i żeby skłonić pozostałych do uwięzienia Storma? To, że był on nastawiony przychylnie do tubylców, nie wystarczało - zbyt wielu spośród osadników reprezentowało taką postawę. Jako Ziemianin mógł być podejrzewany o niezrównowagę umysłową - czy Bister chciał wygrać tę kartę? Ten zarzut byłby trudniejszy do odparcia. Każdy z osadników słyszał plotki o tym, co działo się w Centrum, a Bister przebył wraz z nim całą drogę z Portu do Krzyżówki...

Nie mógł unieść głowy wyżej niż na parę centymetrów, zasięg wzroku miał więc dość ograniczony, a wszystkie postacie, które się ukazywały, były nieznajome. Dort Lancin miał posiadłość w Szczytach, jeżeli więc osadnicy mieli przyjść z pomocą Dumaroyowi, to

powinien się zjawić wcześniej czy później. Dort był filarem frakcji przyjaznej tubylcom i mógłby wstawić się za Stormem. Ziemianin zrywał się w duchu na taką stratę czasu.

Bister - nadchodził Bister. Storm instynktownie zamknął oczy. Szarpnięcie za sznur pętający mu nogi odezwało się przeszywającym bólem głowy, z trudnością udało mu się nie poruszyć. Takie samo szarpnięcie za nadgarstki. Szuranie butów... chrząknięcie. Odważył się uchylić powieki. Bister stał odwrócony, wsłuchując się w tętent kopyt. Storm przyjrzał mu się tak, jak żołnierz spogląda na wroga w czasie chwilowego rozejrnu. Facet był zagadkowy. Z niewiadomych przyczyn od pierwszej chwili żywił nienawiść do Ziemianina. Gdyby był taki, na jakiego wyglądał, to przy pierwszej lepszej okazji dążyłby do bójki. Ale Storm na początku pokonał go bez trudu i od tego czasu Bister podjudzał innych, by zemścić się ich rękami. Wyglądało to tak, jakby jego imponująca postać była tylko mylącym przykryciem zupełnie innej osobowości.

Podejrzanie, szalone i bezpodstawne, przemknęło przez oszołomiony umysł Storma. Dobrze się stało, że dzięki przejeżdżającym jeźdźcom miał chwilę na zastanowienie. Te historie, które opowiadano w ostatnich tygodniach wojny, gdy zdesperowani wrogowie sięgnęli po swe ostatnie sztuczki i tajne bronie, historie, które potem w Centrum poznał ze szczegółami. Aper!

Jeżeli Bister był jednym z tych legendarnych stworzeń - Xików, dzięki chirurgii plastycznej i intensywnemu psychotreningowi przekształconych w członków Konfederacji, to wyjaśniałoby wiele. Byłby to najniebezpieczniejszy wróg, z jakim się dotąd spotkał. Według relacji, które słyszał, aper posiadał tyle różnych umiejętności, co Mistrz Zwierząt, a może więcej.

Co prawda, opowieści o aperach były traktowane w Centrum jak niestworzone brednie. Wielokrotnie je dementowano, a lekarze i ludzie ze służb wywiadowczych zgodnie twierdzili, że taka przemiana jest właściwie niemożliwa. Oczywiście, zostawiali sobie tę furtkę: „właściwie”.

Jak gdyby jego wnioski nie były dostatecznie zaskakujące, zauważył jeszcze jedno: Bister nie sprawdzał po prostu jego więzów, on je rozluźnił! Chciał, żeby Storm się z nich uwolnił, a Ziemianin nie miał złudzeń co do powodu tej łaskawości. Łotr nie zaryzykował użycia śmiertelnej broni w czasie ich spotkania we wsi Shosonnów, ale zabić jeńca podczas próby ucieczki, to była zupełnie inna sprawa.

No cóż, w takim razie jeńiec nie będzie próbował uciekać, nawet zachęcany. Tak pogрузzył się w myślach, że nie zwrócił początkowo uwagi na głośny spór toczący się

nieopodal. Dopiero, gdy usłyszał znajome nazwisko, problem Bistera odsunął się nagle na dalszy plan.

-...Brad Quade i strzela w górę dymnymi rakietami. Mówię ci, daj spokój, Dumaroy! Jest z nim Oficer Pokoju -jeśli zaczniesz sam jakąś rozróbę z Norbisami, to odpowiesz za to w Galwadi! Nie zamierzam się stąd ruszać przed przybyciem Quade'a...

- Możesz nawet zlizywać mu kurz z butów, Jaffe. Nikt cię nie będzie zatrzymywał. Tylko, że my nie pozwolimy, żeby Dorzecze nam rozkazywało. Będziemy bronić naszej własności, a nie niańczyć te cholerne kozły! Wszyscyście widzieli trop. Prowadzi prosto do wioski i dalej, w góry. Dzikusy ukradły mi ostatnie stado! Mogę to powiedzieć każdemu Oficerowi. A co do Quade'a - gdyby wiedział, co dla niego dobre, to trzymałby się z daleka. Zginął mu szczeniak? Założę się, że wpadł w łapy tych kozłów i jego prawa rączka dynda teraz w jaskini Domu Grzmotów! Mówię jeszcze raz: ruszamy o wschodzie słońca, a jak ktoś nie chce, to niech się wynosi...

Rozległ się pomruk i kilka okrzyków. Storm, przysłuchując się, doszedł do wniosku, że prywatna armia Dumaroya nie podziela zapału wojennego swego wodza.

- Dobra! Dobra! - Ryk osadnika zagłuszył gwar tamtych. - Bierzcie konie i wynocha, ty - Jaffe i Hyke, i Palasco! Tylko nie przychodźcie do mnie, jak was kozły oskubią i zajmą wasze tereny. Idźcie wtedy do swojego Brada Quade'a, niech im pokaże na paluszkach, żeby je oddali!

- A ja jeszcze raz ci powtarzam, Dumaroy, że wciągasz Szczyty w śmierdzącą sprawę i wszyscy będziemy mieli przez ciebie kłopoty. Poczekaj lepiej na Quade'a i Oficera i posłuchaj, co mają do powiedzenia. Będą tu rano...

- Won! - w głosie brzmiała ślepa furia. - Wynoście się, mięczaki! Quade nie będzie mi rozkazywał! Może sobie być szefem w Dorzeczu, ale nie tutaj. Wszyscy się wynoście, do cholery!

To, co słyszał, było kuszące. Może by się z nimi zabrać? Próbował unieść głowę, ale przeszył ją taki ból, że zrobiło mu się ciemno przed oczami. Nie było szans na wymknięcie się Bisterowi, zanim nie ustanie efekt działania emitera. Ale to, że Quade jedzie w górę rzeki, było jakąś nadzieją. Pomimo tego, co ich dzieliło, Ziemianin miał do tego człowieka więcej zaufania, niż chciałby przyznać przed samym sobą. Był pewien, że z ludzi, których spotkał na Arzorze, jedynie Quade miał siłę charakteru i umiejętności przywódcze, które by pozwoliły przeciwstawić się piekielnemu planowi Xików. Storm musiał wykorzystać szansę ucieczki daną mu przez Bistera. Ale musiał ją wykorzystać z powodzeniem, by dostarczyć informację do obozu Brada Quade'a.

W ogólnym zamieszaniu wydawało się, że Dumaroy zapomniał o swoim więźniu. Nikt w każdym razie nie przyszedł sprawdzić, w jakim jest stanie, ani nie próbował go przesłuchiwać. Mogło to być też częścią planu Bistera. Dziwne, ale odkąd zaświtało mu podejrzenie co do jego tożsamości, Storm przyjął je za pewnik. Był jednak równie pewny tego, że gdyby chciał się podzielić tą rewelacją z osadnikami, udowodniłby im tylko, że jest jeszcze jednym stukniętym Ziemianinem - takim, jak wszyscy.

Od obozu odgradzał go mały pagórek, nie licząc więc idących po wodę do rzeki i kilku osadników rozkładających śpiwory, nie był pod stałą obserwacją. Nie odważył się wyciągnąć rąk z pętli, bo Bister mógł właśnie czekać na ten ruch. Był już w stanie unieść głowę bez specjalnych dolegliwości. Ściemniało się. Kiedy nadejdzie noc, zaryzykuje, chociaż to Bister miał w ręku wszystkie atuty.

Przed zmrokiem Durnaroy jednak przypomniał sobie o więźniu. Storm zamknął oczy naśladowując najlepiej, jak umiał, stężenie człowieka rażonego z emitera.

- Coś długo tak leży... - Dumaroy nie był może niespokojny, ale trochę zdziwiony.

Odpowiedział Bister, a Storm starał się wyłapać jakiś cień akcentu, który pomógłby zdemaskować apera.

- To Ziemianin. Oni źle znoszą promienie. Nie używają ich często.

- Może. Ale Starle mówił, że to komandos - to powinni być twardziele. Swoją drogą, dalej nie rozumiem, dlaczego musiałeś go kropnąć, Coli.

- Słuchaj, jechałem z nim od samego Portu. Ten facet lubi podstępny. Był wtedy już na pół świrnięty - jak wszyscy stamtąd. Słyszałeś pewnie, co się z nimi działo po tym, jak spalili Ziemię. Ten facet wbił sobie w głowę, że wszyscy są przeciwko niemu. Wszyscy poza kozłami. Od razu się z nimi skumał. Kiedy tak nagle zniknął z Krzyżówki, trochę się o nim dowiedziałem. To Mistrz Zwierząt. Powinieneś być widzieć, jak ujeżdżał konie Larkina. Robi ze zwierzakami, co chce. Jak taki typ przystanie do Rzeźników, a jeszcze będzie w komitywie z dzikusami, to tak, jakbyś sobie pod boki wyhodował jorisa. Nie zdziwiłbym się, gdyby brał udział w tym napadzie Shosonnów. Nie chciałem, żeby nam zwiął, zanim nie zadamy mu paru pytań. Dobrze by było schować go gdzieś, bo inaczej trzeba go będzie przekazać Oficerowi Pokoju...

- Nie może jechać, dopóki nie dojdzie do siebie - stwierdził Dumaroy. - Miej na niego oko, Coli, i daj mi znać, kiedy się ocknie. Tak, chcę mu zadać kilka pytań...

Odeszli wreszcie, ale ból w mięśniach, które Storm cały czas napinał, stał się równie trudny do zniesienia, jak pulsowanie w głowie. Więc Bister miał go mieć na oku? To dawało

bandycie sposobność do pozbycia się Tlosteena Storma bez hałasu i bez kłopotu. Gdyby była tu Surra... albo Baku... Wziął się w garść: w końcu nie może polegać tylko na zwierzętach!

Bulgotanie wody płynącej po kamieniach tłumiło odgłosy dochodzące z obozu. Na pewno Quade ze swymi ludźmi obozuje nad tym samym strumieniem. Storm nie był pewny, czy ma wystarczająco dużo siły, żeby dosiąść konia, nawet Deszcza. A czy mógłby popłynąć?

Poganiacze mieli zawsze ze sobą manierki przytwierdzone do siodeł. Ale tak duża grupa, i to w dodatku szykująca się na wyprawę w góry, musiała mieć też inne zbiorniki na wodę. Najczęściej do tych celów używano tu bukłaków ze skóry wodnych ropuch. Wyrabiały je rybackie szczepy Norbisów, żyjące na południowych wybrzeżach. Były to owalne worki, każdy wykonany z całej skóry wielkiego płaza zamieszkującego moczary. Prawie przezroczyste, pod wpływem wilgoci nadymały się jak balony. W obozie Krotaga Storm widział, jak dzieci robiły z nich tratwy. Z parą takich pęcherzy jego umiejętności pływackie nie miałyby większego znaczenia - dałby się po prostu nieść prądowi rzeki.

Pozostawał jeszcze drobiazg: wydostać się z obozu i ukraść jeden lub dwa bukłaki. Jeśli oddział miał wyruszyć wczesnym rankiem, to Dumaroy wyśle kogoś do rzeki, żeby napełnić worki. Musiały stać przez noc po dodaniu oczyszczających tabletek, bo gdyby wrzucono je rano, to przez co najmniej pół dnia woda nie nadawałaby się do picia. W czasach, gdy działał w Sekcji, sam robił tak wielokrotnie.

Był osłabiony, ale powinien dać sobie radę z jednym człowiekiem, zwłaszcza gdyby udało się go zaskoczyć. Ale Bister... to było wielkie niebezpieczeństwo. Wszystko zależało od szczęścia i od tego, czy potrafi je wykorzystać. Zaczął powoli poruszać palcami, zginać ręce w nadgarstkach i poczuł, że więzy rozluźniają się coraz bardziej.

Jedynym jego atutem było to, że jego wróg - chociaż wyglądał jak człowiek i nauczył się myśleć i działać jak człowiek - był przedstawicielem innego gatunku. Jak Coli Bister, aper, mógł być pewien, czy nie popełni jakiejś drobnej pomyłki, potknięcia, które zaprzepaściłoby jego plany? Być może, właśnie strach przed tym był powodem nienawiści do Storma. Bister potrafił rozpoznać w Mistrzu Zwierząt człowieka o niezwykłych właściwościach umysłu. Równie niezwykłych jak te, które posiadał on sam. Być może, obawa przed umiejętnościami Ziemianina rozrosła się do tych rozmiarów, że aper znacznie przeceniał rzeczywiste możliwości człowieka. I to właśnie Storm chciał wykorzystać.

Jego cierpliwość została wynagrodzona. Zza pagórka wynurzył się jeden z ludzi Dumaroya, zmierzający w kierunku rzeki z pustymi bukłakami przewieszonymi przez ramię. Pozwolił mu przejść i rozpoczął przedstawienie. Z głuchym jękiem obrócił się, walcząc z krępującymi go więzami. Mężczyzna odwrócił się, spojrzął i podszedł bliżej. Jak dotąd,

szczęście dopisywało Stormowi - nie trafił na bystrzaka. Jeszcze jeden jęk, głuchy i bardzo realistyczny - był zaskoczony własnym talentem aktorskim - i mężczyzna, rzuciwszy worki na ziemię, przyklęknął obok jeńca, żeby zobaczyć, co się stało.

Ręka Storma wylądowała na szyi tamtego. Uderzenie nie było celne - był jeszcze zbyt słaby - ale poganiacz stracił równowagę i upadł na Ziemanina. Ucisk we właściwym punkcie i nieszczęśnik, nadal zaskoczony, zwiotczał. Przez długą chwilę Storm leżał, przyciskając do siebie bezwładne ciało i czekał na krzyk, tupot nóg, zbierając siły do następnego ruchu. Nic się nie stało. Ziemanin ostrożnie wy dobył się spod mężczyzny i położył go na swoim miejscu. Podniósł bukłaki i zmuszając się do spokojnego kroku, ruszył ku rzece. Jeszcze trzy - cztery metry i będzie przy niej. Teraz nadać worki, zawiązać je i tratwa gotowa.

Rzeka stała się, niestety, uczęszczanym miejscem. Nieopodal hałaśliwa grupa brała kąpiel, a dalej prowadzono właśnie konie do wodopoju. Storm, z workami pod pachą, ukrył się w nadbrzeżnych trzcinach.

Nagle pomiędzy pojonymi końmi dojrzał swojego ogiera. Koń wyraźnie nie był w dobrym humorze. Czarny wierzchowiec zarżał prowokująco, a Deszcz jakby tylko czekał na wyzwanie. Poganiacz podjechał bliżej i trzasnął pejczem. Nie można było z Deszczem gorzej postąpić. Odkąd Storm dosiadł go w porcie kosmicznym, koń nie został uderzony, wpadł więc teraz we wściekłość. Chociaż młody, był godnym przeciwnikiem i rzucił się naprzód, gryząc i wierzgając.

Storm zsunął się do wody. Uwaga wszystkich ludzi zwrócona była ku walczącym koniom. W chwili, kiedy dostał się w nurt strumienia, zobaczył, że Deszcz wbiega do wody. Usłyszał krzyki. Rudoszary wierzchowiec zawrócił ku brzegowi i roztrącając poganiaczy popędził w step, ku górom i wolności. Potem zakręcił rzeki skrył wszystkich.

Podniecenie ucieczką dodało mu sił na tyle, żeby dostać się w główny nurt, ale teraz mógł tylko trzymać się swojej tratwy i mieć nadzieję, że Quade nie obozuje zbyt daleko. Nadeszła noc. Od gór wiał wiatr i Storm zaczął się trząść z zimna. Nad wzgórzami błysnęło i dobiegł łoskot grzmotu. Powinien mieć się na baczności, żeby we właściwej chwili skrócić ku brzegowi, zanim nadejdzie fala powodziowa. Trudno mu było jasno rozumować i dawał się po prostu unosić rzece. Stracił rachubę czasu. Myśl o tym, że przechytrzył Bistera, była przez chwilę jego małym triumfem, szybko przytłumionym przez ból i osłabienie.

Nie było widać księżyców, a i gwiazdy świeciły słabo przez strzępiaste chmury pędzone wiatrem po nocnym niebie. Storm, na wpół świadomy tego, co się dzieje, płynął wciąż na południe. Obwąchał go szczur wodny, ale chyba zapach Ziemanina nie był zachęcający, bo wielki gryzoń płynął tylko równolegle do niego przez jakiś czas. Pojawienie

się zwierzęcia uświadomiło jednak Stormowi, że może natknąć się na któregoś z większych i niebezpieczniejszych od szczura mieszkańców rzeki. Zaczął poruszać nogami, żeby przyspieszyć tempo podróży i uzyskać jakąś kontrolę nad tratwą.

Mijały godziny. Była już ciemna noc, gdy w zakolu rzeki natknął się na przeszkodę - kłębowisko splątanych gałęzi i innych resztek, niesionych przez prąd. Zanim zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakiś sęk przedziurawił jeden z bukłaków i Storm, straciwszy równowagę, dostał się pod wodę. Bystry nurt cisnął go o wysoki brzeg rzeki. Resztką sił wczepił się w tę ścianę i, poobijany i podrapany, wgramolił się wreszcie na górę. Nie był już zdolny do najmniejszego wysiłku. Upadł twarzą na trawę i zasnął.

- ...dajcie go tutaj...

- To ten Ziemianin, Storm! Ale co...

- Wygląda, jakby był w rzece.

Światło. Płomienie ogniska połączone z jasnym blaskiem polowej lampy atomowej. Ktoś go podtrzymywał, unosząc mu głowę tak, żeby mógł łyknąć z przystawionego kubka. Wszystko było jakieś zamglone, tylko jedną twarz widział wyraźnie. Tym razem mógł rozmawiać z człowiekiem, którego przybył zabić. Tak, przemierzył pół galaktyki, żeby zabić Brada Quade'a, ale teraz ta myśl była odległa i nieistotna.

- Kłopoty... - wydukał. Słowo to niezbyt precyzyjnie wyrażało to, co miał do powiedzenia. - Xikowie w Szczytach. Norbisowie... Dumaroy... Logan...

Potrząśnięto nim, najpierw lekko, potem gwałtowniej.

- Gdzie jest Logan?

Storm, pogrążając się znów w otchłań snu odpowiedział tęsknie:

- Ziemia... ziemski ogród.

ROZDZIAŁ 16

Storm szybko doszedł do wniosku, że grupa prowadzona przez Quade'a składa się z ludzi rozsądnych. Kelson z Policji Pokoju Planetarnego, wielki, wolno mówiący mężczyzna o oczach, którym nie umknął żaden istotny szczegół, i o nad wyraz analitycznym umyśle, zadał mu kilka pytań, z których każde trafiało dokładnie w sedno.

Ziemianin początkowo nie zamierzał ujawniać swych podejrzeń co do Bistera. W coś takiego mogliby uwierzyć weterani z jego Komanda, którzy wiedzieli, na co stać obcych agentów. Nie mógł jednak wymagać, żeby ci ludzie, którzy pewnie nigdy nie natknęli się na Xików, uwierzyli, że jeden z obcych żył wśród nich nie rozpoznany. Tym bardziej, że nie miał na to żadnego dowodu. A jednak, gdy Kelson wyciągnął z niego tę rewelację, zadając pytania z wprawą doświadczonego inkwizytora, nikt ze słuchaczy nie wyraził niedowierzania. Mieszkańcy tej planety byli chyba bardziej otwarci na takie opowieści niż urzędnicy, których nauczono nieufności w stosunku do nie sprawdzonych wiadomości.

- Bister - powtórzył w zamyśleniu Quade. - Co ci Bister. Ktoś go zna?

Dort Lancin odezwał się pierwszy.

- Pędził stado z Portu razem ze mną i Stormem, dokładnie, jak mówi chłopak. Wydawał się całkiem normalny. Ale słyszałem w wojsku o apercach. Pod koniec nasi złapali dwóch takich, przebranych w mundury Konfederacji, którzy sabotowali działania grupy. Gdyby nie to, że jedna z ich akcji zwróciła uwagę dowódcy, cały ten sektor wzięliby diabli. Potem wszyscy się sobie nawzajem uważnie przyglądali, chyba że pochodzili z jednej wioski. Bister nie przyleciał naszym statkiem i był nowy u Larkina. Nie wiem, skąd się wziął, Put najął go tak, jak resztę nas.

- Poczucie winy to ciekawa sprawa- zauważył Kelson. - Bister nienawidzi Ziemian i prawdopodobnie, tak jak mówisz, lęka się ciebie, Storm, bo zostaliście wyszkoleni do podobnych zadań. Gdyby nie czuł się winny i gdyby się nie bał, nie zachowałby się w sposób podejrzany. Musimy go dostać jutro, a jeszcze lepiej dziś. Jeśli Dumaroy już wyruszył, pojedziemy za nim. Ale nie będziemy zaczynać z Xikami. Są tak uzbrojeni, że będziemy potrzebować statku patrolowego, żeby się z nimi uporać. Quade, ponieważ chcesz odzyskać dzieciaka, odbijesz od nas na wschód. Ja z resztą pojedziemy naprzód i postaramy się przekonać Dumaroya. Myślę, że rozdzielenie się będzie korzystne.

Zrobili tak, jak proponował Kelson. Quade, prowadzony przez Storma, i dwóch poganiaczy odłączyli od reszty po tym, jak znaleźli opustoszały obóz grupy Dumaroya i ślady świadczące, że osadnik nie zrezygnował z pogoni za Norbisami.

Storm jechał jak we śnie. Odnajdywał punkty orientacyjne, zastanawiał się, jak mają uniknąć ewentualnych zasadzek, ale wszystko to robił mechanicznie, jak automat nastawiony na określony program. Czy był to przedłużony efekt działania promieni obezwładniających - nie wiedział, ale nic wokół nie miało dla niego większego znaczenia. Jechał przez jakiś czas obok Quade'a i odpowiadał na pytania dotyczące jego spotkania z Loganem, ich ucieczki przed Xikami, drogi przez tunel do ogrodów i w końcu nieszczęsnego spotkania z jorisem, ale cała rozmowa toczyła się jakby poza nim. Nie zauważył też, że Quade ukradkiem mu się przygląda.

Jego umysł, jakkolwiek przyćmiony, zareagował bezbłędnie na nagłe niebezpieczeństwo, gdy zostali zaatakowani. Przejeżdżali właśnie przez wąskie wejście do wąwozu prowadzącego do jaskini Gor-gola. Musieli poruszać się pojedynczo, Storm jechał jako pierwszy. Nagle ujrzał żółtoczerwone ramię i niebieskie rogi.

- Uwaga - jego ostrzeżenie zabrzmiało jednocześnie ze świstem strzał, a wokół zaroilo się od ludzi. Poczul paralizujący ból w lewym ramieniu, nie mógł nim poruszyć, gdy niebieskorogi Norbis chwycił go za pas. Zamachnął się drugą ręką, ale ciężar padającego zwałił go z nóg i potoczyli się między skały. Przez okropną chwilę starał się jedną ręką odepchnąć długi nóż od swego gardła. Uratowało mu życie to, że jego pierwsze uderzenie znacznie osłabiło tubylca. Podkurczył kolana i zepchnął go z siebie, przetoczył się na niego i ogłuszył. Zostawiwszy nieprzytomnego Nitrę na ziemi, stanął na nogi tylko po to, by znów runąć trafiony skrajem wiązki z emitera. Bezwładnie osunął się między skały nie czując, że padając całym ciężarem ciała na wbitą w ramię strzałę odłamał jej koniec i wbił ją jeszcze głębiej.

Druga dawka promieni w jakiś sposób zneutralizowała skutki pierwszej, bo gdy Storm otworzył oczy, jego umysł był jasny. Słońce przesunęło się i na ścieżce panował chłód. Chłód i cisza. Dźwignął się, opierając o skałę i wstrzymał oddech czując rwący ból w lewym ramieniu. Chyba go nie zauważono, bo Nitrowie go nie okaleczyli. Nie było żadnych ciał, ale na ziemi leżało kilka strzał i dostrzegł dwie plamy krwi. Chwiejnie podszedł bliżej i spróbował odczytać tropy. Siady butów... Więźniowie pędzeni na piechotę?

Przycisnął rękę do rany spoglądając na odciski kopyt, butów i ślady Norbisów. Opierając się o ścianę wąwozu, ruszył w kierunku jaskini. Jakoś dotarł do jej wejścia. Cicho

zawołał. Z ciemności nie nadeszła żadna odpowiedź. Poszedł dalej, prowadzony przez światło padające z jaskini ogrodów. Wejście było nadal otwarte. Zachwiał się i ukląkł na ścieżce.

- Logan! Gorgol! - zawołał słabym głosem.

Nie miał siły, żeby wstać. Gdzieś tam jednak była sosna... i zielona trawa... i zapach ojczystych wzgórz. Chłodna trawa i sosnowe gałęzie nad głową... Pragnął tego tak mocno, jak łyku wody i końca palącego bólu w ramieniu.

Poczołgał się dalej i napotkał jakąś przeszkodę, żółtoczerwone ciało. Dotknął go. Twarz Gorgola była zwrócona ku niemu, oczy zamknięte, usta uchylone. Żył. Widział pulsowanie żyły biegnącej u podstawy jednego z rogów. Nie był ranny, wyglądał, jakby spał.

- Gorgol! - Storm potrząsnął tubylcem, potem uderzył go kilkakrotnie otwartą dłonią w policzki. W końcu Norbis otworzył oczy i spojrzał trochę nieprzytomnie na Ziemianina. Ten spytał jedną ręką:

- Kto?

Gorgol uniósł się trochę, objął głowę rękami i jęknął. Ucisnął palcami oczy i wreszcie odpowiedział:

- Przyszedłem... po wodę... głowa boli... upadłem... spałem.

- Emiter! - Storm rozejrzał się. Nie było Logana, Surry, Hing ani koni.

- Nitra? - było to mało prawdopodobne. Czy tubylcy, nie znający broni osadników, potrafiliby użyć jej przeciw Gorgolowi?

- Nitra zabijają strzałami... nożem... - sygnalizował Norbis. Wtedy zauważył ramię Storma. - Nitra - tak! Tutaj?

- Zasadzka... w dolinie...

- Chodź - Gorgol wstając znów chwycił się za głowę. Podniósł Storma i podtrzymując go, poprowadził przez labirynt ogrodów. W końcu dotarli na miejsce i Ziemianin wyciągnął się na igliwiu patrząc znów w koronę sosny nad głową. Nieopodal Gorgol ułożył stosik suchych patyków i zajął się krzesaniem ognia. Kiedy drewno zajęło się, tubylec wyciągnął nóż i włożył ostrze w płomień.

Storm, wiedząc, co go czeka, ponuro przyglądał się tym przygotowaniom. Były konieczne, wiedział o tym. Logana nie było, zwierzęta znikły, jeśli mają odnaleźć ich i ludzi Quade'a, to musi być zdrowy. Kiedy Norbis podszedł do niego, Ziemianin rozciągnął usta w grymasie, który miał być uśmiechem.

- Strzała zostanie... źle! - Storm wiedział o tym wystarczająco dobrze. - Muszę wyciąć... teraz.

Zdrową ręką znalazł jakąś gałąź leżącą na ziemi i zacisnął na niej palce. - Zaczynaj! - chociaż Gorgol nie mógł zrozumieć, odczytał znaczenie tego słowa z oczu Storma. I zaczął.

Norbisowie byli zręczni i z pewnością chłopiec nie po raz pierwszy usuwał strzałę z ciała towarzysza, ale nawet gdy sprawnie była wykonywana, trudno było znieść tę operację. Storm przypomniał sobie, co Logan mówił o wyciąganiu strzał i ile to kosztuje ofiarę. Miał i tak szczęście, że trzy haczyki na grocie nie ułamały się i trzeba było poszukać tylko jednego.

Ciężko dysząc, mokry od potu, leżał spokojnie, gdy Gorgol przyłożył na ranę opatrunek z jakichś zgniecionych liści, po czym uniósł mu głowę i dał pić. Potem znów ułożył Storma na ziemi i wyciągając ręce tak, by ranny je widział, zasygnalizował.

- Idę... poszukam Logana... zobaczę, kto mnie uspił... wytropię złych ludzi...

- Nitra - Storm nie miał siły, żeby podnieść rękę, ale Norbis znowu zrozumiał.

- Nie Nitra - pokręcił prawą ręką. - Mam wciąż rękę... Nitra zabierają do Domu Grzmotów. Myślę, może być, Rzeźnicy. Zobaczymy...

Storm zamknął oczy. Obudził się, gdy poczuł na zdrowym ramieniu ciepły, miękki ciężar i coś dmuchnęło mu w ucho. Wolno otworzył oczy. Szelest nad głową. Na zwisającej gałęzi siedziała ciemna postać, a jej głowa, ozdobiona zakrzywionym dziobem, była zwrócona ku człowiekowi.

- Baku! - Orzeł odpowiedział ochryłym okrzykiem. Meer-kat zagruchał coś radośnie przy uchu Ziemianina, a z tyłu dobiegło go głośniejsze mruczenie Surry. Jeszcze nie w pełni przebudzony, leżał tak przez chwilę z leniwym zadowoleniem, nie ruszając się. Potem spróbował podnieść lewą rękę, by pogłaskać Surre i nagły ból przywrócił go do rzeczywistości. Ból jednak nie był tak silny, jak się spodziewał. Jak za pierwszym razem, to miejsce miało na niego zbawienny wpływ. W dodatku liściasty opatrunek Norbisa stwardniał osłaniając ranę i tłumiąc ból, jak gdyby rośliny te miały jakieś działanie narkotyczne.

Gorgol musiał wrócić i znowu gdzieś pójść, bo obok zobaczył stertę przedmiotów pochodzących z ich zapasów. Poobijana manierka i skrzynka z racjami żywnościowymi leżały na wełnianej derce dziadka, a za nimi, na liściu wabiły oko owoce.

Storm zjadł je z apetytem, był bardzo głodny. Z minuty na minutę czuł się coraz lepiej. Badał właśnie zakres ruchów, które mógł już wykonać chorą ręką, gdy przybiegł Gorgol.

- Znalazłeś... co?

- Logan zabrany przez Rzeźników. Rzeźnicy zabici przez Nitra. Logan... ludzie z tobą... Nitra trzymają ich w drugiej dolinie. Może być, zabijają. Nadchodzi Wielka Susza. Czarownicy Nitra robią czary dla Ciskających Pioruny, żeby przyszedł znowu deszcz. Zabijają jeńców dla Ciskających Pioruny...

- Nitra myślą, że to przywoła deszcz? - Storm starał się wyrazić swe pytanie gestami. - Nitra boją się, że deszcz nie przyjdą, jeśli nie zabiją więźniów?

Norbis żywo skinął głową.

- Ciskający Pioruny żyją wysoko w górach, dają deszcz, wszystko rośnie. Ale czasem za dużo deszczu - źle. Złe też jak za sucho. Burze są gorsze w kraju Nitra niż u Shosonna. Więc czarownicy Nitra oddają jeńców Ciskającym Pioruny... koniec Wielkiej Suszy, nie zrobią złych deszczy, jeśli pożrą jeńców.

- Jak oddają więźniów?

Gorgol zamachnął się jedną ręką, kończąc gest jak gdyby wyrzuceniem przedmiotu w powietrze.

- Rzucają z wysokiej skały... może być. Nie na pewno... Shosonna nie szpiegują czarowników. Dużo, dużo straży naokoło... zabijają tych, co patrzą, jeśli nie Nitra.

- Gdzie?

- Obóz Nitra nad krawędzią. Czekają... chyba chcą zabić Rzeźników... Shosonna też są na wzgórzach... może być, będą walczyć.

Czyżby to uciekinierzy z obozu nad rzeką, których ścigał Dumaroy? Robiło się tu tłoczno. Nie wiadomo, dlaczego, Storm czuł się całkiem pewnie. Była tu grupa Dumaroya i oddział dowodzony przez Kelsona, chyba że jedni albo drudzy natknęli się na Xików, Nitrów czy rozwścieczonych Shosonnów.

Ale w tej chwili Storma najbardziej interesowali Nitra. Kelson został ostrzeżony, a Dumaroy nie był zbyt daleko od niego - będą musieli podjąć ryzyko. A Nitra mieli Logana, Quade'a i chyba jeszcze dwóch poganiaczy. Tym musiał się zająć. Miał jeszcze jeden atut. Z Shosonnami czy innym na wpół cywilizowanym szczepem mogło się nie udać, ale tu miał do czynienia z tubylcami, którzy niewiele wiedzieli o przybyszach, zwłaszcza jeśli ci różnili się od osadników, z którymi toczyli wojnę.

Najlepiej, jak potrafił, przedstawił swój plan Gorgolowi. Ku jego zaskoczeniu, Norbis nie zaprotestował, ale odparł:

- Masz moc czarownika. Larkin mówi, że twoje imię w jego języku oznacza broń Ciskających Pioruny...

- Tak, w moim też. Gorgol kiwnął głową.

- Nitra nie widzieli takiego totemu, jak twój ptak, ani innych zwierząt, które idą z tobą. Ludzie jeżdżą na koniach, żarnie mogą chwytać. Ale frawn nie je człowiekowi z ręki ani nie ociera się o niego. Czarownicy Nitra nie rozkazują zwierzętom. Możesz wejść do ich obozu nie spotykając strzały. Ale, może być, nie wyjdiesz więcej... to co innego...

- Czy Gorgol może sprowadzić Shosonna na pomoc?

- Góry są duże, a czarownicy zaczną swe czary przed wschodem słońca. - Ręka Norhisa uczyniła znak zabijania. - Lepiej Gorgol użyje tego - wyciągnął zza pasa emiter. - Użyje na nich takiej magii.

- Został ci tylko jeden magazynek - zauważył Storm. - Kiedy go zużyjesz, zostanie ci emiter bez mocy...

- I to! - Norbis położył dłoń na rękojeści noża. - Ale będzie to wielki honor dla wojownika. Kiedy zapłonie ogień, Gorgol stanie przed nim i opowie o swych czynach dwunastu klanom i nie będzie nikogo, kto by mówił, że nie jest tak.

Storm troskliwie przygotowywał się do dzieła. Ponownie pomalował twarz zrobioną naprędce farbą. Przez zranione ramię przewiesił złożoną derkę, której końce zatknął za pas concha. Przejrzał się w jeziorku i przewiązał splecione włosy paskiem materiału. Z wody spojrziała na niego postać barbarzyńcy, która na pewno zwróciłaby uwagę zgromadzenia Nitrów, nawet bez jego drużyny.

Nie mógł nieść Baku na zranionym ramieniu przez całą drogę, więc musiał przekonać go, żeby wyleciał z jaskini, sam zaś poszedł za nim trzymając Hing. Surra szła obok. Od Gorgola dowiedział się, że orzeł wrócił poprzedniego dnia, tuż przed atakiem Rzeźników i zaraz przepadł gdzieś w jaskini, podobnie jak Surra i Hing.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Storm skoncentrował się przywołując uwagę zwierząt i przygotowując na ewentualny atak. Jeszcze raz nocny wzrok Gorgola okazał się przydatny, gdy wspinali się krętą ścieżką na wyżynę. Tej nocy jednak świeciły księżycy i gdy wydostali się z wąwozu, wyszli na jasno oświetlone zbocze.

Ziemianin szedł wolno, oszczędzając siły i przyjmując pomoc Norbisa w trudniejszych miejscach. Wiatr był zmienny, niósł ze sobą niski pomruk, naśladujący łoskot grzmotu. Dotarli do skalnego stopnia, na który musieli się wspiąć. Dalej ścieżka wiodła wokół występu, przez łukowate przejście aż do szerokiej platformy, gdzie pod przewieszką znaleźli stos suchych patyków. Gorgol kopnął je i pokazał:

- Zły lotnik.

Stąd Norbis musiał ścigać zranionego stwora aż do Doliny Zamkniętych Grot. Wyglądało na to, że ptak był samotnikiem, jego gniazdo nie zostało też zajęte przez innego mieszkańca.

Musieli pokonać jeszcze jeden skalny stopień i Storm, podtrzymywany przez Gorgola zastanawiał się, ile jeszcze będzie musiał wytrzymać dzisiejszej nocy. Ale droga okrążyła

zbocze i w oddali ujrzeni czerwony blask ognia. Nagle w górę sypnęły zielone iskry i poczuli duszący swąd.

- Czarownicy! - zamigotały palce Gorgola.

Storm zobaczył, że znajdują się na równej płaszczyźnie, pozbawionej roślinności, ale pokrytej tu i ówdzie wyrzeźbionymi przez deszcze skałami, w półmroku przypominającymi dziwaczne postacie. Do dwóch takich form przywiązano czterech mężczyzn - osadników, sądząc po strojach. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniała gromada Norbisów przykucniętych dookoła ogniska i wpatrzonych w dwóch współplemieńców, którzy uderzając w małe bębniaki wydające odgłos naśladujący grzmot, tańczyli rytmicznie wokół płomienia.

Storm przyglądał się uważnie. Albo Nitra czuli się tu zupełnie bezpieczni, albo ich wartownicy byli bardzo dobrze ukryci. W każdym razie żadnego nie widział. Ale tuż przy jeńcach siedzieli tubylcy.

- Idę... - zasygnalizował do Gorgola.

Nadał wezwanie do Baku, który musiał krążyć gdzieś nad ich głowami, przy nogach czuł krzepiące ciepło ciała Surry. Powoli zszedł na płaszczyznę, wydając dźwięk przywołujący drużynę.

Z czerni nieba wynurzył się Baku - pierzasta cząstka nocy obdarzona własnym życiem. Storm zachwiał się trochę, gdy orzeł wczepił się szponami w derkę okrywającą jego zranione ramię, ale szybko doszedł do siebie i z Hing na piersiach, z Surrą, drapieżnie szczerzącą kły, przy nodze, wszedł pewnie w krąg ogniska.

ROZDZIAŁ 17

Oto nadchodzi Zabójca. Potworów, obuty w jego mokasyny,

Odziany w ciało zrodzonego z burzy.

Oto nadchodzi Zabójca Potworów,

Cięciwa napięta, strzała gotowa do lotu.

Oto nadchodzi Zabójca Potworów,

Gotów do walki...

Storm nie był Śpiewakiem, ale słowa same przysły do niego, układając się w rytmy mocy. Czuł, że chroni go niewidzialna zbroja tego, który rozmawiał z Odległymi Bogami i był równy Duchom Przodków. Czuł, że moc wzbiera i ogarnia go. Czyż z takim wsparciem potrzebował jakiejś broni? Nie widział, jak szeregi Nitra rozstępują się, tworząc drogę ku ognisku. Nie zdawał sobie teraz sprawy z niczego, oprócz tej pieśni i mocy, i tego, że on, Hosteen Storm, był w tej chwili małą, ale istotną częścią czegoś znacznie przekraczającego wszelkie możliwe ludzkie dążenia...

Nie czuł bólu, jaki sprawiał siedzący na chorym ramieniu Baku. Stał teraz bez ruchu oko w oko z niebieskorogim czarownikiem trzymającym uniesiony w górę bębenek. Osłupiały Nitra wpatrywał się w to niespodziewane zjawisko.

- Ahuuuu! - Storm wydał okrzyk wojenny swych przodków. - Ahuuu!

Czarownik uderzył w bęben, odpowiedział mu głuchy pomruk grzmotu, ale Ziemianin wyczuł w tym geście jakieś wahanie. Tubylec przemówił świergoczącym głosem. Storm nie użył mowy palców. Nie należało zdradzać swego pokrewieństwa z osadnikami i ich zwyczajami. Zwrócił się ku więźniom. Logan rozpoznał go, w oczach Quade'a błysnęło zdziwienie.

Moc jest w jego ramieniu, moc jest w nim.

Zabójca Potworów odziany w jego ciało

Kroczy w nim...

Surra stąpała obok, dostosowując się do jego dostojnego kroku. Wypuścił Iling. MeerkatJak cień ożywiony blaskiem ognia, pomknął ku najbliższej skale. Wspiąwszy się na

tylne łapy, rzucił się z zębami i pazurami na więzy krępujące jeńców. Na gest Storma Surra równie szybko pospieszyła na pomoc Loganowi i drugiemu z poganiaczy.

Kapłan Nitra zaskrzeczał jak rozwścieczony joris i potrząsając bębenkiem skoczył ku Ziemianinowi. Baku załopotał skrzydłami i krzyknął groźnie przesywając tubylca wzrokiem. Uniósł się nieco w powietrze i zaatakował, zupełnie jak wtedy, gdy w wiosce Krotaga spotkał się z zamlem. Nitra musiał ustąpić przed tym uosobieniem furii i ptak pogonił go wokół ogniska. Z gardeł obserwujących ich wojowników wydarł się wysoki okrzyk zdumienia.

- Nasza, jest moc! - Storm zaintonował pieśń, którą pewnie tylko jeden ze słuchaczy mógł zrozumieć. Ale jeśli nawet słowa były nieznane, to jej wymowa była całkiem oczywista i gdy postąpił naprzód, Nitrowie rozpierzchli się przed nim.

Quade zrobił krok do przodu i Storm kątem oka zauważył, że zrzuca przecięte więzy. To Gorgol, ukryty w mroku, wypełniał swe zadanie. Osadnik skoczył, by podtrzymać staniającego się Logana, ale chłopak oparł się przez chwilę na łbie Surry - kot nie pozwolił dotąd na taką poufałość nikomu poza Stormem - i odzyskał równowagę.

- Kroczy w mocy... - głos Ziemianina zagłuszył wojenne okrzyki Baku. Surra prowadziła cofającą się grupę, za nią szedł Quade wspierający syna i poganiacze. Hing podbiegła do Storma i wspięła się do góry po nodze.

- Kroczy w mocy - przynaglająco powtórzył Indianin. Oddzielał uciekających od poruszonych tubylców. Nie wiedział, jak długo jeszcze uda mu się ich powstrzymać, ale nie miał wątpliwości, że w tej chwili ma nad nimi władzę. Tylko kilka razy w życiu doświadczył tego poczucia wewnętrznej prawdy, uczucia, że jest częścią większej, działającej bezbłędnie, całości. Pierwszy raz wtedy, gdy jego zwierzęta po raz pierwszy usłuchały rozkazu. Dwukrotnie w czasie służby, gdy wykonały szczególnie trudne zadanie. Ale tym razem było to coś jeszcze innego. Tym razem siła płynęła przez niego.

On kroczy w mocy,

On posiada moc,

On wypełnia wolę Przodków,

Przodków, którzy kroczą w pięknie,

On służy...

Uciekinierzy wydostali się poza krąg światła.

- Ssssst...

Nadleciał Baku. Z ręki czarownika ciekła krew. Zamiast bębna trzymał nóż, a z oczu biła nienawiść. Gdy orzeł usiadł na ramieniu Storma, Nitra skoczył ku niemu, tylko po to, by paść na ziemię jak rażony piorunem. Z grupy wojowników dobiegł lament. Storm roześmiał się. Tej nocy nic nie mogło się nie udać! Gorgol użył emitera w najlepszym momencie tak, jak przedtem użył noża. Niosła ich fala fenomenalnego szczęścia, która czasem unosi człowieka poza granice jego możliwości. Śpiewacy mieli rację. Przepęłniała go wiara w niewidoczne moce opiekujące się jego ludem, wiara, która rozbijała wszelkie wątpliwości. Był jak natchniony. Żaden Nitra ani Xik nie mógł mu się teraz oprzeć.

Krok za krokiem cofał się ku ciemnościom. Tam będzie się musiał wspinać na zbocze.

- Tędy, Storm - usłyszał w mroku. Nitrowie zaczęli krzyczeć coś wojowniczo, ale żaden z nich nie kwapił się do pościgu. Jakaś ręka chwyciła go za ramię i poprowadziła w górę.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał Quade. - Myśleliśmy, że nie żyjesz!

Storm znów się zaśmiał. Był nadal w transie.

- Wręcz przeciwnie. Ale lepiej wynieśmy się stąd, zanim oprzytomnieją...

Jego uniesienie trwało przez całą drogę, aż do Doliny Zamkniętych Grot. Ale przy wejściu do jaskini zatrzymał się.

- Słuchajcie! - jego ton był tak rozkazujący, że wszyscy zamilkli.

Był to nie tyle hałas, ile wibracja przenoszona przez kamienne ściany i ziemię pod ich stopami.

- Statek Xików! - od dawna znał to drżenie. Ileż to razy obserwował odlot wroga z ukrytych portów. Rozgrzewający się, obcy statek powodował takie właśnie drgania.

- Co? - nie zrozumiał Quade.

- Statek Xików... szykuje się do startu. Opuszczają Arzor! Quade, jedną ręką obejmując Logana, drugą przyłożył do ściany.

- Co za wibracje!

Zbyt silne, Storm nagle zdał sobie z tego sprawę. Maszyna, którą widział w ukrytej dolinie, nie była transportowcem, była niewiele większa od statku zwiadowczego. Te drgania były za mocne! Jeszcze jeden pojazd ukryty gdzieś niedaleko? Teraz warkot zaczął się urywać...

Huk przeszył noc i rozbłysło światło tak silne, że oświetlało wszystko w obrębie kilku mil dookoła. Ściany wokół nich trzęsły się, osypywały się z nich miniaturowe lawiny, a ludzie i zwierzęta zbili się w przerażoną gromadkę.

- Silniki! Musiały wybuchnąć silniki! - Storm stanął na nogi ściskając ramię, które znowu przesywał paraliżujący ból. Ocknął się z transu i poczuł ogromne znużenie.

- Jakie silniki? - pytanie Logana dobiegło jakby zza gęstej mgły.

- Xikowie zakopali częściowo swój statek, żeby go ukryć. Kiedy uciekłeś, właśnie go odkopywali. Nie mieli czasu. Może próbowali wystartować nie odkopawszy silników albo... - zerknął na przerażony kłębek skulony na jego piersi - albo to sprawka Hing. Kiedy próbowali odlecieć - silniki wybuchły!

- Więc wysadzili się w powietrze! - Brad Quade rozprostował ramiona. - Dobrze byłoby tam zajrzeć. Może był tam ktoś z naszych i potrzebuje pomocy?

- W ogrodzie... - wtrącił się słabo Logan - w północnozachodniej ścianie jest wejście zwrócone w tym kierunku. Gdyby prowadziło do tunelu, moglibyśmy się tamtędy przedostać...

Pomimo wstrząsów, jakie odczuwali na zewnątrz, jaskinia ogrodów była nietknięta. Nowo przybyłych zaskoczyło to nagromadzenie okruchów nieznanych światów, ale nie zwalniali kroku. Gorgol pognął naprzód, a pozostali starali się dotrzymać mu kroku. Dotarli wreszcie do kraty, którą odkrył Logan.

Pokonali zamek i ujrzeli jeszcze jeden tunel, czarny i wypełniony martwym powietrzem. Tym razem nie mieli latarki i musieli zanurzyć się w absolutnym mroku. Surra z Gorgolem szli na przedzie, a reszta podążała za nimi. Wszystkich gnało dręczące pragnienie, by mieć tę drogę już za sobą.

Łatwo było stracić orientację w tym ciemnym i krętym korytarzu. Czy była to naturalna formacja skalna, czy też budowniczości chcieli zmylić ewentualnego wędrowca, Storm nie potrafił stwierdzić, w każdym razie po dwóch zakrętach całkiem się pogubił. Zdawało mu się, że idą ku jaskini, z której wyszli. Baku na jego ramieniu poruszył się niespokojnie. Zatoczył się na niewidoczną ścianę. Obok słyszał sapanie któregoś z towarzyszy, a potem głos Logana, który szorstko zapewniał ojca, że może się sam utrzymać na nogach.

Jeszcze jeden zakręt i zobaczyli światło, odbłask gigantycznego ogniska. Pospieszyli w tę stronę. Dogonili Gorgola i zajrzeli w studnię pełną ognia. Płomienie ogarniały tarasowate zbocza. Żar bil w górę i dochodził aż do nich. Iskry niosły się z prądem powietrza wysoko w niebo. Patrząc na kłębowisko płomieni Ziemianin był przekonany, że nikt nie wyszedł żywy z eksplozji.

Gorgol wyśliznął się za zewnątrz, a Storm poszedł w ślad za nim, posyłając Baku w górę na poszukiwanie ścieżki, która by ich stąd wyprowadziła. Minęli małą, otoczoną

ścianami platformę, która mogła służyć za punkt wartowniczy i od pożaru oddzieliła ich grań. Blask ognia nawet tutaj dorównywał światłu dziennemu. Ujrzeni Surre czekającą na nich u szczytu schodów, które były w istocie tylko zagłębieniami wydrążonymi przez wiatr i wodę. Przejście tedy było ryzykowne, ale była to droga w dół, wyprowadzająca ich z piekła doliny.

Zwierzęta z gatunku Surry były doskonałymi wspinaczami. Pумы, z którymi skrzyżowano jej pustynnych przodków, potrafiły pokonywać skalne ściany i krawędzie, na które nie odważyłby zapuścić się człowiek ani pies gończy. Ale nawet ona przyglądała się uważnie zejściu, wysuwając ostrożnie jedną łapę, jak gdyby chciała sprawdzić stabilność stopnia. Wynik tego badania okazał się jednak pomyślny, bo pomknęła w dół i po chwili ujrzeni ją jakieś trzydzieści metrów niżej, na płacie skalnej znacznie obszerniejszej od tej, na której zatrzymali się Storm i Gorgol. Ziemianin podążył za kotem, z tym, że on pokonał schody na czworakach. Kiedy dotarł do półki, zobaczył, że w dół od niej prowadzi wycięta w zboczu skalna droga.

- Droga... - zasygnalizował Gorgol w świetle księżyca. - Niżej szersza... biegnie tam... - wskazał na południowy wschód.

Być może, był to poszukiwany przez nich trakt, którym Rzeźnicy pędzili do dolina skradzione zwierzęta. Jeżeli tak, to idąc nim w przeciwnym kierunku, powinni wydostać się na równiny. - Wróc - nadał Storm. - Sprowadź resztę...

Gorgol już wspinał się zwinnie z powrotem. Storm ruszył naprzód, poprzedzany przez Surre. Czuł, że musi iść dalej, że jeśli się zatrzyma, to nic będzie w stanie zrobić kroku. Poszedł wąską dróżką wykutą w ścianie góry, miejscami osłoniętą skalnymi przewieszkami. Sądził, że wszystkie Szczyty mogą być wydrążone przez dawnych najeźdźców i stanowić płataninę tunelów, jaskiń i innych ukrytych ścieżek. Trzeba było o tym powiadomić Sekcję Badawczą.

Nagle z mroku wynurzyła się Surra i zagroziła mu ostrzegawczo drogę. Storm zachwiał się, ale utrzymał równowagę i zaczął nasłuchiwać. Usłyszał delikatny szmer. Szuranie butów po skale? Zgrzyt metalu o kamień? Ktoś szedł w górę. Mógł to być równie dobrze Nitra-zwiadowca, co jakiś ocalały z pożaru Xik.

Z tyłu dobiegały głosy. To Quade'owie z poganiaczami zbliżali się, prowadzeni przez Gorgola. Ten w dole też na pewno ich usłyszał. Pochylił się ku Surre.

- Znajdź go... - szepnął niemal bezgłośnie, nadając jednocześnie silny sygnał telepatyczny. Kot bezszelestnie ruszył do akcji, by wypłoszyć z ukrycia wroga, który - być może - urządził w dole zasadzkę. Storm miał tylko długi, myśliwski nóż. Wyciągnął go przed sobą jak szpadę. Wszystko zależało od tego, kim był nieprzyjaciel. Gdyby to był Nitra, mogło

się udać, ale Xikowie nie walczyli na noże. A jaką szansę miał przeciw rozpylaczowi lub tasakowi?

Biegł chwiejnie w dół zatrzymując się co kilka metrów i nasłuchując. Surra jeszcze nie trafiła na przeciwnika. Ścieżka zakręcała serpentyną, Storm pokonał ten łuk dysząc. Nie przyszło mu do głowy, że mógłby skorzystać z pomocy swych towarzyszy. Zbyt przywykł do samotnej walki. Ostatnie przygody z Xikami spowodowały, że poczuł się jak w czasach służby, więc teraz, na wpół zamroczony ze zmęczenia i bólu, był przekonany, że czający się w dole wróg jest jego prywatną sprawą.

Jeszcze jeden zakręt. Ścieżka stała się szersza i mniej stroma. Po lewej, w zboczu góry była głęboka, ciemna szczelina. Stamtąd nagle padł strumień światła, który chwycił koniuszek ogona Surry.

- Ahuuuu! - krzyknął Storm i rzucił się w lewo, przylegając do skały. Światło błysnęło znowu, oświetlając miejsce, w którym stał przed sekundą.

Jego taktyka okazała się skuteczna. Surra zaatakowała. Światło przez chwilę tańczyło szaleńczo, po czym latarka upadła na ziemię. Storm musiał przekroczyć jej promień idąc z pomocą kotu.

Nagle w świetle księżyca ukazała się jakaś, zawzięcie młócaca ramionami, postać. Osadnik? A może przebrany Xik? Storm ruszył w kierunku latarki, chcąc oświetlić walczącego z Surra człowieka. Kot nie chciał zabić, drażnił tylko przeciwnika.

Były komandos zatrzymał się, podniósł niezgrabnie latarkę i zwrócił ją w tamtą stronę. Nie było wątpliwości - Bister!

- Ssst...

Surra przypadła do ziemi, warcząc. Uszy położyła po sobie, ogon uderzał po obu stronach zjeżonego grzbietu. Nie zamierzała się wycofać.

Storm spostrzegł, że tamten sięga po broń.

- Nie ruszaj się! - rozkazał.

Potężny mężczyzna, którego twarz wyrażała emocje równie czytelnie, jak zachowanie Surry, pochylił się do przodu i niechętnie, bardzo powoli uniósł rękę.

- Ziemianin! - wykrztusił z siebie, jakby to słowo było obelgą. - Treser...

- Mistrz Zwierząt! - Storm poprawił go swym łagodnym tonem, którego używał w chwilach największego napięcia.

Zatknął nóż za pas i podszedł niespiesznie, oświetlając cały czas Bistera, aż zbliżył się na odległość ramienia. Wtedy zwinnie wyciągnął z kabury tamtego emiter i rzucił w przepaść.

Ale Bister też był szybki. Jego dłoń chwyciła nóż. Stał ostrzem błysnęła jak błękitny płomień, gdy przykucnął w pozycji doświadczanego nożownika. Storm zdał sobie sprawę, że - aperi czy nie - przeciwnik potrafił obchodzić się z tą bronią.

- No, czemu nie poszczujesz swojego kota, bydlęcy treserze? - Bister wyszczerzył zęby. Były prawie tak ostre jak Surry. - Już ja się nim zajmę... ciebie też wypatroszę... Ziemianinie!

Storm cofnął się, podniósł rękę i wcisnął latarkę w skalną szczelinę. Wiedział, że było głupotą wdawać się w walkę z Bisterem. Ale coś zmuszało go, by zmierzyć się z nim - kimkolwiek czy czymkolwiek by ten był - na noże. Dawny obyczaj dzikich wojowników: pokonać przeciwnika własnymi rękami.

- Surra... - Storm dał znak kotu, który został tam, gdzie był, błyszczącymi oczami przyglądając się dwóm mężczyznom na ścieżce. Nie poruszyły się bez rozkazu.

Indianin znów trzymał nóż w ręce. Na chwilę zapomniał o znużeniu, świat zawęził się do dwóch nagich ostrzy. Słyszał, ale nie zwrócił uwagi na okrzyk, który dobiegł z góry, gdy jego towarzysze ujrzeni, co się dzieje. Bister jednak zwrócił na niego uwagę i rzucił się do przodu, chcąc zakończyć sprawę, zanim nadejdzie odsiecz dla Storma.

Ziemianin odskoczył, ale przestraszyła go własna powolność. Chociaż poczuł uniesienie podobne jak w obozie Nitra, tym razem jego ciało nie reagowało tak szybko i posłusznie.

Bister też był tego świadomy. Wiedział, że Storm nie jest tym człowiekiem, który stawiał mu czoła w drodze z Portu do Krzyżówki. Jego uderzenie było szybkie i celne.

ROZDZIAŁ 18

Brzęknęła stal, gdy Storm odparł atak. Bister jednak nacierał dalej - poruszał się pewnie, zmuszając Ziemianina do odwrotu. Ten próbował, atakując i wycofując się, wciągnąć obcego w promień latarki, który by go oślepił. Ale Bister, świadomy niebezpieczeństwa, nie posuwał się naprzód.

Mógłby skończyć z Xikiem w mgnieniu oka, gdyby wezwał Surre. Storm wiedział o tym, ale wiedział też, że jeśli nie zmierzy się z Bisterem sam, nigdy nie będzie już w stanie dowodzić drużyną.

Czas przestał płynąć. Ich buty szurały ostrożnie po skalnej platformie. Po odparciu jego pierwszego ciosu Bister zachowywał się bardziej uważnie, chciał wyczerpać słabszego Ziemianina. Storm poczuł, że po ramieniu okrytym kocem spływa ciepła strużka. Rana otworzyła się i krwawienie osłabiało go coraz bardziej. Nogi zrobiły się ciężkie i powolne właśnie wtedy, gdy powinny być silne i szybkie.

To on był teraz wciągany w snop światła. Wiedział, że gdyby to się Bisterowi udało, nie miałyby żadnych szans. Gorączkowo zaczął przypominać sobie wszystko, co wiedział o aperach. Ich ciałom nadano ludzki wygląd, wytrenowali ludzkie zachowanie, ale wewnątrz nadal musieli być Xikami, bo inaczej nie byłoby przydatni swoim zwierzchnikom. A co mogłoby wyprowadzić Xików z równowagi, co mogłoby ich zranić? Przed czym czuli strach? Dlaczego zawsze toczyli z ludźmi wojnę na śmierć i życie?

Storm wymykał się, tańczył, o milimetry unikał groźnych ciosów. Dlaczego Xikowie bali się i nienawidzili Ziemian? Jaka była ukryta przyczyna tego strachu, przyczyna, którą mógłby teraz wykorzystać?

Myśl przerwał zgrzyt ostrza o ostrze. Uderzenie było tak silne, że na chwilę zdrętwiało mu ramię.

Nagle spłynęło na niego olśnienie. Wiedział, co jest słabym punktem Xika, bo była to w jakiś sposób jego własna, odziedziczona po przodkach słabość, która jednocześnie stanowiła źródło ich siły.

- Zostałeś sam - przemówił spokojnie w języku galaktycznym. - Twoi ludzie wysadzili się w powietrze, Bister. Nie czeka na ciebie żaden statek. Sam! Samotny wśród nienawidzących cię obcych. Nigdy już nie ujrzysz domu!

W tym samym olśnieniu zrozumiał, dlaczego Xikowie zniszczyli Ziemię. Mieli nadzieję, że rozbiją tym Konfederację. Ale Ziemię zamieszkiwały różne rasy, a kolonie zdążyły się już uniezależnić od macierzystej planety, więc ten plan zawiódł.

- Sam! - rzucił to słowo silnym głosem Śpiewaka, starając się włożyć w nie moc, którą czuł stojąc przed czarownikiem Nitra. Bister był sam, on, Storm, też. Ale w tej chwili nie sprawiało mu to bólu.

- Sam! - widział ciemne, szeroko otwarte oczy Bistera, a w nich płomień rozpaczy. Aperi był bliski wybuchu, a Storm musiał ten wybuch przyspieszyć.

- Nikt ci nie pomoże, Bister. Żadnych braci z ognia, żadnych towarzyszy broni. Jedyny Xik, jaki pozostał na Arzorze - zwierzyna łowna...

Strzępy zasłyszanych informacji na temat zwyczajów najeźdźców pojawiły się, wyraźne, gotowe do użycia, podczas gdy stopy ani na moment nie przerywały swego wojennego tańca.

- Kto cię osłoni, Bister? Kto cię wezwie po imieniu? Nikt z twoich braci nie będzie wiedział, jak zginąłeś i nie zaznaczy twojego krążka na Stu Tablicach w Wewnętrznej Wieży twego miasta. Bister umrze i będzie tak, jakby się nigdy nie narodził. Żaden syn z imienia nie przejmie po tobie Czterech Praw...

Usta Colla Bistera były rozchylone, a twarz zroszona potem. Obcy błysk w oczach stawał się coraz wyraźniejszy.

- Bister umrze, to wszystko. Nie ma dla niego przebudzenia w dniu Wzywania-po-Imieniu.

- Aaaa!

Aperi zaatakował. Storm ostrzegło chwilę przedtem stężenie ciała przeciwnika, zrobił szybki unik, ale ostrze sięgnęło srebrnego naszyjnika Ziemianina i boleśnie drasnęło pierś. Pchnięty ciężarem napastnika znalazł się na krawędzi platformy. Aperi nie był ranny i miał dość siły, by strącić Storma w dół. Jediną obroną mogły być chwytaki poznane w czasach służby. Przy pomocy jednego z nich uwolnił się i jednym susem znalazł się pod ścianą.

Z gardła Bistera wydarł się przenikliwy skowyt. Oczy zupełnie straciły już ludzki wyraz, był w nich tylko ból i samotność. Wróg, którego nienawidził najbardziej ze wszystkich, uświadomił mu śmierć idei, które wiodły go w bój. Teraz miał już tylko jeden cel - zabić - nieważne, czy będzie musiał za to zapłacić życiem.

Nie rozumował już rozsądnie. Był przez to bardziej niebezpieczny, ale też łatwiej było sobie z nim poradzić. Storm zaczął się cofać, a Bister szedł za nim usiłując chwycić go zakrzywionymi palcami. Człowiek uniósł rękę w pogotowiu, potem odwrócił się nieco i

osiągnął to, do czego dążył. Światło latarki uderzyło prosto w twarz Bistera, oślepiając go na chwilę. Ta chwila wystarczyła, by dłoń Storma uderzyła niespiesznie i precyzyjnie, jak na ćwiczeniach. Aper wydał dźwięk będący czymś pośrednim między kasznięciem a chrząknięciem, upadł powoli, najpierw na kolana, a potem na twarz i tak pozostał. Storm cofnął się, aż jego prawe, zdrowe ramię oparło się o skałę. Patrzył, jak Surra podczołgała się i obwąchała Bistera. Prychnęła i uniosła łapę z pazurami gotowymi do uderzenia, ale Ziemianin syknął zabraniająco.

Brad Quade przeciął snop światła, przyklęknął przy obcym i usiłował wyczuć bicie serca pod rozdartą koszulą.

- Nie zabiłem go - głos Storma był w jego własnych uszach bardzo słaby i daleki. - To naprawdę Xik.

Zobaczył, że Quade podnosi się szybko i idzie ku niemu. Pomimo zmęczenia, Storm nie mógł pozwolić, by tamten go dotknął. Odsunął się od ściany unikając wyciągniętej ręki osadnika. Ale tym razem ciało nie usłuchało rozkazów woli. Osunął się bezwładnie i upadł tuż obok nieruchomego ciała Bistera.

Obraz był częścią snu. Ale był tu nadal, gdy Storm otworzył oczy i leżał na wąskim łóżku, nie mając siły się ruszyć. Cała ściana pokryta była plamami śmiałych kolorów, które znał i kochał. Były tam kanciaste ostańce z pustyni południowego zachodu, ponad nimi zaś symetryczne, okrągłe kopuły chmur przedstawiane tak przez malarzy Dinehów jeszcze w czasach, gdy ich jedynym tworzywem był piasek. I był wiatr wiejący wokół ostańców. Prawie go czuł, widząc rozwiane włosy namalowanych jeźdźców i grzywy ich plamistych kuców. Fresk pokrywał ścianę obok łóżka i Storm spał obrócony ku niemu, więc pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, gdy miał dość siły, by podnieść ciężkie powieki, byli jeźdźcy na wietrze.

Artysta, który stworzył to malowidło, musiał sam znać pustynne wiatry ojczystych stron, musiał czuć zapach wełny i szaławii, rosochatej sosny i ciemnego, nagrzanego słońcem piasku. Patrzeć na ten obraz to było jak przebudzić się pod sosną w jaskini ogrodów. A nawet więcej. Bo to dzieło sztuki zostało stworzone przez człowieka jego rasy. Tylko Dineh mógł je namalować...

Scena z fresku była dla niego bardziej prawdziwa niż ci, którzy opiekowali się w tym czasie jego ciałem. Lekarz z Portu i milcząca kobieta o ciemnej twarzy, która pojawiała się i znikwała, oboje byli zaledwie bezcielesnymi zjawami. Nie potrafił się wydostać z namalowanego świata także wtedy, gdy przy jego łóżku pojawił się Kelson, by zadać kilka pytań - trudniej mu było zauważyć Oficera Pokoju niż najbliższego plamistego kuca. Nie

wiedział, gdzie jest i nie dbał o to. Był zadowolony, że zarówno godziny czuwania, jak i znacznie dłuższe okresy snu może spędzać w towarzystwie jeźdźców ze ściany.

Stopniowo jednak coraz więcej czasu przypadało na jawę. Ciemna kobieta upierała się, by podłożyć mu pod plecy poduszki i posadzić go, ale wtedy nie mógł wygodnie przyglądać się malowidłu. Zdał sobie sprawę, że kobieta mówi do niego w języku Dinehów, krótko, nawet ostro, jakby ktoś zniecierpliwiony przemawiał do upartego dziecka. Starał się trwać przy swoich marzeniach, ale przerwał je nagle Logan, który przykuśtykał do jego łóżka. Twarz chłopca wygoiła się i Storm zauważył coś więcej niż tylko rysy Dineha, jakieś dręczące podobieństwo do kogoś, kogo nie mógł sobie dokładnie przypomnieć.

- Podoba ci się? - młodszy Quade patrzył na fresk ponad ramieniem Storma.

- To dom... - odpowiedział Storm czując, że słowa i ich ton ujawniały wszystko.

- Tak też sądzi mój ojciec...

Brad Quade! Prawa ręka Storma przesunęła się po okrywającej go derce w znajome pasy. To był spadek po Nat-Ta-Hayu, a w każdym razie pled o identycznym wzorze.

Nat-Ta-Hay i przysięga, której zażądał od Storma. Przysięga dokonania zemsty na Bradzie Quade.

Ziemianin leżał, oczekując ukłucia znajomej ostrogi nienawiści. Ale nie nadeszło. Był zdolny do jednego tylko uczucia - tęsknoty za przedstawionym na fresku światem. A jednak musiał wypełnić zadanie, dla którego przybył na Arzor, nawet, jeśli nie było w nim gniewu.

Storm zapomniał prawie o Leganie, gdy młodzieniec podniósł się z krzesła i podszedł do ściany przyglądając się jeźdźcom. Na jego twarzy malowała się zaduma.

- Jak to było - zapytał nagle. - Jak czuł się człowiek jadąc przez ten kraj?

Zdał sobie sprawę z tego, że wspomnienia mogą sprawić Stormowi ból i ciemny rumieniec wypełził mu na twarz. Odwrócił się z zakłopotaniem do łóżka.

- Opuściłem te strony - Storm ostrożnie dobierał słowa - gdy byłem dzieckiem. Wracalem dwukrotnie i nigdy nie było to już to samo. Ale to trwa, gdzieś w głębi duszy ten świat nadal żyje. Żył też dla tego, kto namalował ten obraz. Nawet tutaj, o tyle lat świetlnych od Ziemi.

- Dla tej... - sprostował cicho Logan.

Storm usiadł gwałtownie. Nie wiedział, że jego rysy stwardniały nagle. Ale nie dane mu było zapytać. Ktoś stanął w drzwiach. Postawny mężczyzna o błękitnych oczach. Ten, którego Storm miał odszukać, ale nie chciał spotkać. Brad Quade „podszedł do łóżka i spojrzał badawczo na Storma. Ten zaś wiedział, że to musi być ich ostatnie spotkanie, że

pomimo swojego dziwnego wewnętrznego oporu musi zrobić, co do niego należy, i być przygotowanym na konsekwencje tego czynu.

Z dawną szybkością Ziemianin wyciągnął rękę, wyszarpnął nóż zza pasa Logana i zwrócił ostrze w kierunku Brada Quade'a, opierając rękę na kolanie.

Wyraz niebieskich oczu nie uległ zmianie, osadnik oczekiwał chyba takiego ruchu albo nie rozumiał, o co chodzi, ale w to Storm nie wierzył.

I miał rację. Quade wiedział - przyjmował wyzwanie - albo przynajmniej znał jego przyczynę, bo zapytał:

- Jeśli między nami jest stal, chłopcze, to dlaczego uwolniłeś mnie z rąk Nitrów?

- Życie za życie, aż się policzymy. Uratowałeś mnie w Krzyżówce. Wojownik Dinehów płaci długi. Przybywam od Nat-Ta-Haya. Jego honor i honor jego rodu splamiłeś przelaną krwią... i inną hańbą...

Brad Quade zbliżył się do nóg łóżka. Logan drgnął, ale tamten ruchem ręki powstrzymał go.

- Nie było żadnego przelewu krwi między rodem Nat-Ta-Haya a mną. - Odpowiedział dobitnie. - I żadnej hańby!

Odpowiedź zmroziła Stormą. Nie uwierzyłby, że Quade wyprze się winy. Od pierwszego spotkania był przekonany o uczciwości osadnika.

- A co z Nahani? - spytał zimno.

- Nahani! - Quade był zaskoczony. Pochylił się i chwycił poręcz łóżka. Oddychał szybciej. Storm nie mógł nie zauważyć prawdziwego zdumienia w jego głosie.

- Nahani - Ziemianin powtórzył dobitnie. Potem uświadomiwszy sobie możliwe wytłumaczenie zdziwienia tamtego, dodał: - A może nie znałeś imienia człowieka, którego zabiłeś w Los Gatos?

- Los Gafcos? - Brad Quade nachylił się chcąc spojrzeć Stormowi w oczy. - Kim... ty... jesteś? - cedził powoli, jakby każde słowo było wyszarpięte ostrzem trzymanym przez Storma.

- Jestem Hosteen Storm... syn Nahaniego... wnuk Nat-Ta-Haya...

Wargi Quade'a poruszały się przez chwilę bezgłośnie, aż w końcu wydukał:

- Ale on powiedział... powiedział Raquel... że umarłeś... na febrę! Ona... ona musiała o tym pamiętać przez całe życie! Wróciła po ciebie do wioski, a Nat-Ta-Hay pokazał jej zamurowaną jaskinę... powiedział, że cię tam pochował... To ją prawie zabiło! - odwrócił się, ukazując bezbronne plecy. Zaciśnął dłonie w pięści i uderzył w ścianę, jak gdyby bił w coś innego, w jakiś cień, zbyt nieuchwytny, by można go było ukarać.

- Niech go diabli! Specjalnie ją dręczył! Jak mógł zrobić coś takiego własnej córce?!

Nagła wściekłość opadła, Quade uspokoił się. Pięść stała się na powrót dłonią, która delikatnie dotknęła malowidła.

- Jak mógł to zrobić? Nawet, jeśli był tak zawzięty? - spytał jeszcze raz. - Nie zabiłem Nahaniego. Zmarł od ukąszenia węża. Nie wiem, co ci powiedział... najwyraźniej nieprawdę... - Mówił spokojnie, a Storm wsparł się znów o poduszki. Jego świat zachwiał się, nie mógł wzbudzić w sobie gniewu. Trzeźwy głos Quade'a był zbyt przekonujący.

- Nahani został przydzielony do Sekcji Badawczej - mówił zmęczonym głosem osadnik. Przyciągnął krzesło i opadł na nie, wciąż uporczywie patrząc w oczy Storma. - Ja też. Pracowaliśmy razem nad kilkoma problemami i, być może, nasze indiańskie pochodzenie przyczyniło się do tego, że się zaprzyjaźniliśmy. Na jednej z zewnętrznych planet były jakieś kłopoty z Xikami i w czasie któregoś z ich podjazdów schwytali Nahaniego. Uciekł i odwiedziłem go w szpitalu w bazie. Próbowali go „warunkować”...

Sfcorm zeszywniał i zadrżał. Quade skinął głową, widząc tę reakcję.

- Tak, możesz sobie wyobrazić, co to znaczyło. Było źle... był... odmieniony. Lekarze sądzili, że może uda się pomóc mu na Ziemi. Odesłano go tam na rehabilitację. Ale już w pierwszym miesiącu zniknął ze szpitala. Dowiedzieliśmy się później, że uciekł w rodzinne strony. Byli tam jego żona i dwuletni synek... Zewnętrznie wydawał się normalny. Jego teść Nat-Ta-Hay był jednym z nieprzejednanych. Nie przyjmował do wiadomości żadnych zmian czy potrzeby zmian w trybie życia Indian. W tym punkcie jego fanatyzm graniczył z szaleństwem. Powitał w Nahanim Dineha, który uratował się przed przekształceniem w Ziemianina. Ale Raquel, żona Nahaniego, wiedziała, że jej mąż potrzebuje fachowej pomocy. Bez wiedzy ojca powiadomiła władze. Poproszono mnie, żebym pojechał po niego wraz z lekarzem, bo miałem akurat urlop i byłem jego przyjacielem. Liczyli na to, że uda mi się go namówić na dobrowolne leczenie. Kiedy dowiedział się, że przyjeżdżamy, znowu uciekł. Raquel i ja pojechaliśmy za nim na pustynię. Kiedy odnaleźliśmy jego kryjówkę, już nie żył - został ukąszony przez węża. A kiedy Raquel wróciła do domu swego ojca po dziecko, ten zachował się jak szaleniec - oskarżył ją o zdradę i odpędził grożąc strzelbą. Przyjechała do mnie prosić o pomoc i udaliśmy się tam ze strażnikami... żeby zobaczyć grób, zamurowaną jaskinię. Raquel zemdlła, potem miesiącami chorowała. Później pobraliśmy się, wystąpiłem z wojska i przywiozłem ją tutaj, mając nadzieję, że łatwiej jej będzie tu zapomnieć. Myślę, że była szczęśliwa, zwłaszcza po urodzeniu Logana. Ale żyła tylko cztery lata... Taka jest prawdziwa historia!

Nóż leżał porzucony na kocu. Storm zakrył oczy rękami, odgradzając się od otoczenia i zagłębiając w siebie, w tę ciemność kryjącą dziwne niebezpieczeństwo, któremu musiał sam stawić czoła tak, jak stawił Bisterowi tam, w Szczytach.

Widział zamglony ciąg lat, które oddzielały go od tego dnia, gdy Nat-Ta-Hay narzucił swą wolę małemu, przerażonemu chłopcu. Był w jego oczach tak wielki i potężny jak Przodkowie. Jego duch przenikał wszystkie wspomnienia i sny o Ziemi, zniszczonej ojczyźnie. Przywarł do cienia tego człowieka i do przysięgi, którą złożył i uczynił z nich punkty oparcia w niepewnym świecie. Pieścił i hodował nienawiść do Quade'a, bo miał dzięki niej jakiś cel w życiu. Teraz zobaczył to jasno.

Dlatego wycofał się, gdy spotkał osadnika po raz pierwszy. Dopóki mógł odkładać spełnienie swego zadania, dopóty mógł żyć. Potem życie nie miałoby już sensu.

Nat-Ta-Hay był symbolem wszystkiego, co utracił. Trwając przy misji, którą ten wyznaczył, w jakiś sposób nie przyjmował końca Ziemi do wiadomości. W Centrum mieli rację. Nie uniknął szaleństwa ludzi bez świata. Przybrało ono jedynie inną, dziwniejszą formę.

Teraz był pustką. Pustką i oczekiwaniem na strach czający się już za skruszoną barierą, żeby wpełznąć i opanować go. Nat-Ta-Hay nie zostawił mu żadnego oparcia oprócz złudzeń. Storm znalazł się na tej samej wąskiej granicy między zdrowiem a obłędem, na której balansował przedtem Bister. Tacy jak on potrzebowali korzeni: ziemi... bliskich...

Nie zdawał sobie sprawy, że drży, że zapadł się w poduszki szukając zapomnienia, które nie miało odejść. Ręce opadły i leżały wiotkie na wzorzystej derce. Oczy miał nadal zamknięte. Nie ośmieliłby się teraz spojrzeć na malowidło ani na człowieka, który wyjawiał mu prawdę i zmusił do stanięcia twarzą w twarz z własną klęską.

Poczuł ciepły ucisk wokół nadgarstków. Czyjeś palce zacisnęły się, jakby chcąc go wyciągnąć z ogarniającej ciemności.

- Tutaj też jest rodzina...

Początkowo słowa te były tylko dźwiękami, stopniowo nabierały znaczenia, odbijając się echem w pustym umyśle. Storm otworzył oczy.

- Skąd wiedziałeś? - pragnął zapewnienia, że słowa te płynęły z prawdziwego zrozumienia jego potrzeb, a nie były dziełem przypadku.

- Skąd wiedziałem? - Brad Quade uśmiechnął się. - Myślisz, synu, że mądrzy są tylko Dinehowie? Czy tylko jedno plemię szuka korzeni w ojczystej ziemi? To jest twój dom - zawsze na ciebie czekał. Twoja matka go stworzyła. Tylko ty się trochę spóźniłeś, jakies - czekaj no - osiemnaście ziemskich lat.

Storm nawet nie próbował odpowiedzieć. Popatrzył znów na malowidło. Ale teraz był to tylko namalowany obraz, nostalgiczny, piękny, ale nie mający już na niego magicznego wpływu. Usłyszał cichy śmiech dobiegający od drzwi i spojrzał w tamtą stronę. Logan musiał przedtem wyjść, teraz wrócił. Stał tam, z Baku na ramieniu i Surrą płaczącą się pod nogami. Wielki kot podszedł do łóżka, wspiął się na nie przednimi łapami i przyglądał badawczo swemu panu, podczas gdy Hing gruchała radośnie usadowiona w zagięciu łokcia Logana.

- Deszcz jest w korralu. Będzie musiał jeszcze parę dni poczekać na spotkanie z tobą - Brad nadal ścisnął rękę Storma. - Tutaj jest twoja rodzina - to także jest prawdą!

Storm westchnął głęboko, z trudem hamując wzruszenie. Leżał bez ruchu, czerpiąc siłę z ciepłego uścisku rąk Quade'a.

- Yat-ta-hay - powiedział. Był zmęczony, ogromnie zmęczony, ale pustkę w jego sercu wypełniła fala spokoju i zadowolenia, która nie miała nigdy opaść. Tego był pewien - bardzo, bardzo dobrze!